

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/255

1968



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

Z. BAUMAN : **O FRUSTRACJI I O KUGLARZACH**

PELIKAN : **SUMA NIENAPISANYCH KSIĄŻEK**

P. PREISS : **MÓZGI NA ŚMIETNIKU**

J. GIDYŃSKI : **PROJEKT NOWEGO KODEKSU
KARNEGO**

SPIS RZECZY

—	<i>Wpłaty na Fundusz „Kultury”</i>	3
Zygmunt Bauman:	<i>O frustracji i o kuglarzach</i>	5
Pelikan:	<i>Suma nienapisanych książek</i>	22
Paulina Preiss:	<i>Mózg na śmietniku</i>	27



Witold Gombrowicz:	<i>Fragment z dziennika</i>	35
--------------------	-----------------------------------	----

W I E R S Z E

Józef Łobodowski:	<i>Tryptyk o zamordowanym kościele</i> ...	45
-------------------	--	----

OBSERWATORIUM

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Drogi pisarzy</i>	51
—	<i>Nowe oświadczenie pisarzy czeskich</i> ..	54
—	<i>Dialog</i>	56

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>„Malaria”</i>	60
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	67

K R A J

Józef Gidyński:	<i>Projekt nowego kodeksu karnego</i>	75
—	<i>Czarna lista</i>	89

S Ą S I E D Z I

S. W. Kozłowski:	<i>Przegląd niemiecki</i>	91
E. Żagiel:	<i>Emigracje wsch.-europejskie w Austrii</i>	95
Alfred Znamierowski:	<i>Czyżby kontrrewolucja?</i>	97
—	<i>„Damoj”</i>	99

SPRAWY I TROSKI

George J. Flemming:	<i>Antypody (3)</i>	101
---------------------	---------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Andrzej Nakov:	<i>Sumienie krytyki</i>	107
Adam Sutkowski:	<i>„Listy delfińskie”</i>	111
—	<i>Komunikat o Kongresie Nauki Kultury Polskiej na Obczyźnie</i>	120

K S I Ą Ż K I

Stanisław Wygodzki:	<i>Losy mojej książki</i>	122
Zygmunt Nagórski, sr.:	<i>Raporty amb. Lipskiego</i>	125



J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	132
------------	----------------------------------	-----



J. Maurer, Cz. Miłosz, P. Raina, A. Tarnowski:	<i>Listy do Redakcji</i>	140
--	--------------------------------	-----



—	<i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1968</i>	147
---	--	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Grudzień - Décembre

1968

INSTYTUT



LITERACKI

**REDAKCJA „KULTURY” SKŁADA SWOIM
PRENUMERATOM I CZYTELNIKOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE
I NOWOROCZNE**

NOTY BIOGRAFICZNE

BAUMAN Zygmunt, ur. w 1925 w Poznaniu. Okres ostatniej wojny spędził w ZSSR, służył w 4 DP. W 1950 ukończył ANP; w 1954 uzyskał magisterium z filozofii na Uniwersytecie Warszawskim; w 1956 r. doktorat na UW; w 1960 habilitacja; od r. 1961 red. nacz. *Studiów Socjologicznych*; od 1964 do marca 1968 kierownik katedry socjologii og. UW; od października 1968 profesor socjologii na Uniwersytecie w Tel Avivie.



OLASEK Tadeusz, ur. w Wilnie w 1912 r. Studia w Poznaniu. Kampania wrześniowa, obóz jeniecki w Niemczech; po wojnie kontynuacja studiów w Göttingen. Przebywa w USA od 1952 r. Publikował przed wojną w *Kulturze*, *Tęczy*, *Verbum*, *Marcholcie*, po wojnie w *Wiadomościach* londyńskich.

**PRZYPOMINAMY
O ODNOWIENIU
PRENUMERAT
« KULTURY » I
« ZESZYTÓW HIST. »
NA ROK 1969**

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Jerzy Antosiewicz, Padwa (Włochy)	F. 25,00
E. B., Reading (W. Brytania), po raz siódmy	F. 60,00
F. Bahyrycz, Portage La Prairie, Man. (Kanada), po raz trzeci	F. 22,50
Maria Bielczyńska, Kopenhaga	F. 24,00
J. Binkiewicz, Toronto, Ont. (Kanada), po raz drugi	F. 135,00
Jan Błaszczyna, Flushing, N.Y. (USA), po raz drugi	F. 49,00
Dr A. Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA)	F. 50,00
Prof. Zbigniew Brzeziński, Englewood, N.J. (USA), po raz czwarty	F. 98,00
C. K. i Ł. P. W. (Szwecja)	F. 24,50
Romuald Czyżewski, Chicago, Ill. (USA)	F. 24,50
Olga Diadyniuk, Bloomfield, N.J. (USA)	F. 24,50
Zofia i Władysław Dembscy, Fitzroy, S.A. (Australia)	F. 110,00
L. B. Demby (W. Brytania), po raz dziewiąty	F. 12,00
H. Dolatowski, Knutange (Francja), po raz trzeci	F. 35,00
Wiesław Domaniewski, Bronxville, N.Y. (USA), po raz drugi ..	F. 98,00
Federacja Polskich Organizacji w Victorii (Australia)	F. 112,00
Henryk Gutglas, Paryż	F. 25,00
Hasińscy z Philadelphii — zamiast życzeń świątecznych i Nowo- rocznych dla miłych przyjaciół we Francji	F. 24,50
Alicja Iwańska, Albany, N.Y. (USA)	F. 147,00
Z. A. Jordan, Londyn	F. 60,00
Z. J. Kamasa, Sollentuna (Szwecja)	F. 300,00
W. Kądziołka, St. Louis, Sask. (Kanada)	F. 45,00
W. Kinastowski, Welland, Ont. (Kanada), po raz siódmy	F. 90,00
Henry Korab, Short Hills, N.J. (USA)	F. 490,00
Zofia i Stefan Korbońscy, Washington	F. 98,00
Andrzejostwo Kozłowski, Paryż, po raz szósty	F. 100,00
Książd ukraiński, Toronto, Ont. (Kanada), po raz drugi	F. 22,50
K. W. Kubiak, Royal Oak, Mich. (USA)	F. 49,00
ks. Józef Lach, North Tonawanda, N.Y. (USA), po raz trzeci ..	F. 24,50
Stanley Leszczyński, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 67,00
Jerzy Lubiejewski, Caracas (Wenezuela)	F. 245,00

Paweł Łysek, Flushing, N.Y. (USA)	F. 24,50
Nadia Łytwynenko, New York	F. 49,00
Dr Edward Majchrowicz, Oxon Hill, Md. (USA)	F. 63,00
Barbara Matuszewicz, Paryż	F. 25,00
Ilse Maybach, Heilbronn (Niemcy), po raz piąty	F. 71,00
S. J. Mintek, Oak Park, Ill. (USA)	F. 245,00
Joseph Müller, Dingolfing, (Niemcy)	F. 54,00
Józef Osinski, Tallmadge, Ohio (USA)	F. 24,50
Zdzisław Pechnik, 92-Meudon (France)	F. 200,00
Helena Pieńkowska, Wittlich (Niemcy)	F. 25,00
J. Radomyski, Londyn	F. 30,00
Olga Scherer, Paryż	F. 60,00
Inż. L. W. Skonieczny, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 122,50
Szczesny — zamiast życzeń Świąteczny i Noworocznych dla pp. Sław-Góralików w Philadelphii	F. 24,50
A. Sztupak, New Britain, Conn., (USA)	F. 98,00
Dr Wit Tarnawski, Moumonth (W. Brytania), po raz drugi	F. 12,00
F. Toruńczyk, New York	F. 50,00
Józefa i Marian Turscy, St. Anne de Bellevue, Ont. (Kanada), po raz osiemnasty	F. 225,00
W. Twierdochlebow, Washington	F. 24,50
J. S. Wiland, Downsview, Ont. (Kanada), po raz siódmy	F. 71,00
Halina i Józef Wittlinowie, New York	F. 73,50
Stefania Wojnarowska, Jackson Heights, N.Y. (USA)	F. 147,00
Józef S. Wysocki, Londyn	F. 600,00
Dr Zieliński, Bruksela	F. 25,00
W. Zwoliński, Sorel, Que. (Kanada)	F. 9,00
Bezimiennie z Brukseli — „Pamięci prof. Dr. Jana Rostafińskiego” ..	F. 49,00
Bezimiennie z L'Etang la Ville (Francja)	F. 25,00
Bezimiennie z Forest Hill, N.Y. (USA)	F. 49,00
Bezimiennie z Genewy	F. 98,00
Bezimiennie z Kopenhagi	F. 147,00
Bezimiennie z Montrealu	F. 90,00
Bezimiennie z New Yorku	F. 24,50
Bezimiennie z Nottingham (W. Brytania)	F. 120,00
Bezimiennie z Quebecu — po raz drugi	F. 45,00
Bezimiennie z Waszyngtonu	F. 49,00

DZIĘKUJEMY!

O frustracji i o kuglarzach

Wszystko wokół nas się zmienia i trwałe
jest tylko to, co się będzie kochało jutro tak,
jak kochało się dziś.

(prawie z J. J. Rousseau)

Badaczy marcowego przewrotu podzielić można, z gruba i w uproszczeniu, na dwie kategorie. Jedni, ufni w logikę historii i podejrzliwi wobec logik prywatnych, szukają praw dziejowych wszechpotężnych i nieubłaganych, winnych temu, że w marcu 1968 bojówkarze w robotniczym przebraniu *musieli* okładać pałkami studenckie karki. Drudzy, oglądający historię oczyma Szpanowa i Agaty Christie, entuzjaści detektywistycznego pojmowania dziejów, nie ustają w poszukiwaniu owego biurka w jakimś z tajnych pałaców Warszawy, za którym zrodził się złowieszczy plan nowego etapu w dziejach powojennej Polski. Jedni i drudzy nie dają wprawdzie zembrzeć sędziwej kontrowersji między fatalistami i heroistami ale tajemnicy marca rozgryźć nie umięją. Marcowy atak na rewolucyjny młodোসocjalizm studencki i na niezależność polskiego świata intelektualnego nie był dziełem bezosobowej Historii ani nie był pomysłem zrodzonym z niczego w mózgach paru awanturników z ulicy Rakowieckiej. Był kuglarzką próbą wykpienia się od odpowiedzi na problemy, postawione przez historię. W dziejach Polski lat ostatnich, w tendencjach rozwojowych społeczeństwa polskiego nie było nic takiego, co czyniłoby wydarzenia marcowe nieuniknioną koniecznością. Ale też bojówkarze z Rakowieckiej prowadzili na dziedzińcu uniwersyteckim — w dostępnym im i zrozumiałym dla nich języku pałek — dialog z historią.

Ustawiczny konflikt między normami uznanymi kulturowo za słuszne a warunkowanymi przez realia możliwościami ich urzeczywistnienia rodzi stan chronicznej frustracji. Frustracja powoduje

gromadzenie się zasobów agresywności, domagających się wyładowania. Agresywność jest nieukierunkowana lub ukierunkowana niejednoznacznie, nie-do-końca-ukierunkowana, i spryt władców wyraża się w podłączaniu kanałów odpływowych sztucznych i względnie bezpiecznych na miejsce bardziej naturalnych i bardziej niebezpiecznych.

Wychowanie socjalistyczne — wbrew nadziejom jego profesjonalnych przeciwników i podejrzeniom tajemnym jego etatowych entuzjastów — wywarło głębokie piętno na sposobie myślenia społeczeństwa polskiego. Jednym z najtrwalszych bodaj i najbardziej powszechnych jego efektów jest przeświadczenie, że ludzie są równi i że niejednakowość ludzkich szans zadaje gwałt zasadom sprawiedliwości społecznej i jest racją społecznego protestu. Młodym, urodzonym i wyrosłym w atmosferze nasiąkłej socjalistycznym dekalogiem, ideał egalitaryzmu dostarczał formuły negacji i rekonstrukcji zastanego świata.

Zdaniem psychologów stadium społecznego dojrzewania młodego człowieka znamionuje się tym, że psychologiczna potrzeba orientacji zaczyna być zaspokajana przez drogowskazy ponadosobowe, abstrakcyjne — ideologie, programy polityczne, kodeksy moralne. Że w licznych niszach nowoczesnego społeczeństwa owa potrzeba psychologiczna kanalizowana bywa w ideologiach protestu i rewolucji — jest już skutkiem prawidłowości socjologicznej natury: szczególnego, brzemienneho napięciem zadania adaptacyjnego, wyznaczonego młodzieży przez strukturę nowoczesnego społeczeństwa. W tym bowiem okresie, w jakich ich psychologiczna potrzeba orientacji nabiera społecznego zabarwienia, młodzi dokonać muszą karkołomnego skoku z macierzystej struktury rodzinnej, w której przypadła im rola pasywnego odbiorcy dobrodziejstw gry o sumie większej od zera, gry kierowanej zasadami pomocy wzajemnej i opieki — do struktury zawodowej, w jakiej pełnić muszą aktywną rolę uczestnika walki konkurencyjnej w grze o sumie zerowej. Pierwsza struktura nie dostarcza żadnych umiejętności niezbędnych do swobodnego poruszania się w strukturze drugiej. Wszystkie nawyki z niej wyniesione przeszkadzają raczej niż pomagają w konkurencyjnych zmaganiach typowych dla „dorosłego” świata. Werdykt młodych jest więc prosty: świat jest źle zorganizowany, świat wymaga przebudowy, jego zasady — rewizji, jego normy — odrzucenia. Im przejście od macierzystej struktury rodzinnej do dorosłej struktury zawodowej mniej naturalne, bardziej zależne od osobistego wysiłku młodych, im wyższe minima pomyślnej realizacji — tym większa skłonność do buntu i totalnego odrzucenia ofert dorosłej rzeczywistości. Dlatego buntują się dziś bardziej studenci, niż młodzi robotnicy, a wśród studentów najbardziej ci przybyli z wyższych pięt społecznej budowli.

Nazwy dla swego buntu lepią młodzi z dostępnego wokół kulturowego tworzywa, nazwy dla choroby świata — z etykiet zdołanych normy najbardziej dokuczliwe i najtrudniejsze do realizacji. Jedne nazwy są ponadustrojowe, zdeterminowane przez na-

turę nowoczesnej struktury społecznej, inne utrwalają lokalny koloryt społeczno-politycznej odmiany systemu. Amerykańskich *hippies* i warszawskich studentów z marca 1968 łączył bunt przeciw podziałowi świata na aktorów i widzów, postulat przywrócenia jedni i pełni społecznej osobowości, zwrócenia podmiotowości ludziom skazanym na odbiór. Rozbieżności było wszakże więcej. *Hippies* buntowali się przeciw przymusowej konsumpcji, przeciw kulturze znakującej osobowość społeczną symbolami nabywanymi na rynku. Rewolucyjna młodzież polska popaździernikowej epoki nie ma powodu buntować się przeciw nadmiarowi spożycia. Ale protestuje przeciw pogłębiającej się nierówności konsumpcji, przeciw nowym podziałom na uprzywilejowanych i upośledzonych, owym niechybnym wskaźnikom krystalizacji nowej struktury klasowej. Widzi te podziały jaskrawo i wyraźnie, bo patrzy na świat przez okulary socjalistycznej wersji pojęć dobra i zła.

Jej poprzednicy z października 1956 buntowali się głównie przeciw rządowi irracjonalizmu i samowoli, przeciw gwałtowi fizycznemu i duchowemu, przeciw zacieraniu identyfikacji narodowej. Protest przeciw nierówności rozlegał się względnie niemrawo na peryferiach październikowych wydarzeń; wszak i „żółte firanki”, ówczesny symbol gwałtu zadanego ideałom egalitaryzmu, kryły się wstydliwie z dala od zgiełku placów publicznych. Po dwunastu latach gwałt fizyczny przestał być obserwowalny na co dzień a duchowy nabrał salonowej ogłady, zmagania z planistycznym sztywniactwem zostały wkalkulowane w uposażenie zawodowych egzegetów scentralizowanej woli, a ambicjom narodowym składano okresowo faryzeuszkowe hołdy przy pomocy przebiegańców na milenijnej defiladzie i radosnej twórczości w zakresie „pomników walki i męczeństwa”. Być może dlatego, że zatarły się kontury dolegliwości dawnych, a być może dlatego że rządy popaździernikowe właśnie w dziedzinie rozwarstwiania społecznej struktury przejawiały najwięcej inicjatywy — w połowie lat sześćdziesiątych ideologiem buntu młodych był ten, kto przymierzał rzeczywistość społeczną do ideału społeczeństwa egalitarnego. Dlatego ideologami buntu młodych byli Kuroń i Modzelewski, autorzy manifestu egalitarystów przeciw uprzywilejowaniu rządzących i rządowi uprzywilejowanych.

Październik zdarł żółte zasłony z nierówności społecznej. Rezultat był jednak ten, że nierówność wyszła z konsumowanych schronów na ulice, przywdziała szaty jaskrawe i z daleka widoczne, wydorosła i spotężniała, nabrała manier wulgarnych i brutalnych. Systematycznie i konsekwentnie, choć zapewne bez z góry powziętego planu, a być może i bez świadomości sensu swych czynów, rządy popaździernikowe przenosiły zaspokajanie coraz to nowych potrzeb społecznych z budżetu „dochodów niedzielnych” na rynek. Coraz więcej rzeczy można było dostać za pieniądze, i coraz więcej rzeczy można było dostać *tylko* za pieniądze. W przeświadczeniu, że „mówi socjalizm”, głosił wódz narodu: „nie bójcie się, towarzysze, nie będziemy podnosili cen tych

wędlin, które jada klasa robotnicza"; towarzysze się nie bali, a w sklepach mięsnych pojawiła się wędlina za 15 zł, ta oficjalnie przeznaczona dla klasy robotniczej, i za 120 zł, kiełbasie przywrócono rangę znaku klasowej pozycji. Pojawiły się koszule za 70 zł i za 700, wczasy za 500 zł i za 15 tysięcy, wszystko to obok siebie, w zasięgu wzroku i ręki. Babula w kolejce po „robotniczą szynkę” (kaszanke) dowiadywała się z rozmów swych eleganckich sąsiadek, że znów zabrakło koniaku po 454 zł butelka. Łańcuchy sklepów powoływane do życia dla obsługi tej lepszej i zasobniejszej części społeczeństwa, rychło dewalutowały się w roli rozdawców nuworyszowskiego splendoru, nacisk nowobogackich na symbole społecznych szczytów potęgniał z roku na rok, trzeba było budować sklepy coraz wykwitniejsze, z coraz wymyślniejszym towarem, sprzedawanym po coraz bardziej wyśrubowanych cenach. Zakłamanym, ale przestrzegany w pozorach egalitaryzm chędogiej przedpaździernikowej ulicy zastąpiono groteską demokracji pieniądza. Piramida elitarnego zbytku wyrastała na zamarłej, nie ruszającej się z miejsca podstawie więcej niż ubogiej stopy życiowej większości narodu. Nierówność, bizantyjska w stylu, bezwstydną w swej nagości, rzucała się sama w oczy, gdy w uszach dźwięczały jeszcze tradycyjne modły oficjalne na intencję socjalistycznej równości szans.

Epoka popaździernikowa zadała cios także i tej zasadzie programu socjalistycznego. W pierwszych latach po wojnie — zarówno dzięki drastycznym przeobrażeniom społecznym, jak i ze względu na zawrotne tempo powojennej odbudowy gospodarczej — stopa ruchliwości społecznej w kraju była nader wysoka: profesor Jan Szczepański (w swej słynnej październikowej „Próbie diagnozy”) upatrywał w niej nawet jedną z centralnych przyczyn społecznych zaburzeń. Opinia społeczna przyzwyczaiła się szybko do myśli, że jest w kraju wiele miejsca jeśli nie na szczycie, to w każdym razie na średnich szczeblach społecznej drabiny, że droga do awansu jest w zasadzie otwarta przed każdą jednostką ambitną i obdarzoną specyficznymi zdolnościami, że wachlarz szans rozszerza się z roku na rok i że jutro perspektywy drogi w górę będą obszerniejsze niż dziś. I z tą myślą trzeba się było w ostatnim okresie rozstać.

Po pierwsze, osłabło tempo ekspansji gospodarczej, rozpoczęło się przycinanie inwestycji, a wraz z tym zakończono etap ekstenzywnego mnożenia miejsc do pracy. Pracy — w szczególności pracy skrojonej na miarę rozbudzonych już ambicji — zaczynało brakować. Oficjalne plany państwowe zakładały zamrożenie na najbliższe lata relacji między ludnością rolniczą a miejską, a więc zadawały cios dotkliwy przemożnym pragnieniom młodzieży wiejskiej zdobycia zawodu miejskiego i osiedlenia się w centrach kultury zurbanizowanej.

Odczucie kurczenia się perspektyw pogłębiał jeszcze wpływ „wyżu demograficznego”. Najlichniesze po wojnie roczniki, urodzone w latach bezpośrednio powojennych, zaczęły właśnie w połowie lat sześćdziesiątych pukać do bram „dorosłego” społeczeń-

stwa w poszukiwaniu samodzielnej pozycji w życiu. Kanały oświaty, przysposobienia zawodowego, adaptacji pracowniczej, przystosowane do rozmiarów „normalnych” roczników, nie mogły teraz pomieścić wszystkich chętnych. Po raz pierwszy w dziejach powojennej Polski tłumy młodych odchodziły z kwitkiem od bram uczelni i szkół zawodowych, tracąc szanse życiowe w kraju, w którym dyplom stawał się coraz bardziej drogą do legitymacji pracowniczej. Poczucie zawodu, rozgoryczenia, braku perspektyw pogłębiał jeszcze nader niefortunny sposób, w jaki organa propagandy masowej potraktowały — z inicjatywy najwyższych instancji partyjnych — cały problem „wyżu”. Zamiast powitać z radością zastępy młodych, najzdrowsze fizycznie, najlepiej wykształcone, najładniejsze w dotychczasowych dziejach Polski pokolenie, jako upragnione wzbogacenie sił cielesnych i duchowych narodu — politycy i dziennikarze zaczęli skwapliwie obliczać, ileż to „państwo musi płacić” za przygotowanie jednego nowego miejsca pracy dla jednego nowego robotnika, jaki to straszny koszt i kłopot dla władzy. Stwierdziwszy, że nowe miejsce pracy „kosztuje państwo” 450 tys. zł, *Trybuna Ludu* zwróciła się nawet z apelem do młodych małżonków, by przed przystąpieniem do czynności związanych z rozmnażaniem zastanowili się przez chwilę, jaki przez to kłopot Państwu sprawią. *Timbre* wyżowej propagandy podchwycił znakomicie Mrozek w słynnej fraszce o „lojalnej obywatelce, która zamiast syna urodziła dowód osobisty”. Zamiast otwartych przyjaźnie ramion, czekały młodych na progu samodzielnego życia kwaśne twarze zasiedziały lokatorów. Jak to zwykle w podobnych sytuacjach bywa, jedni spośród młodocianych „intruzów” starali się za pomocą wzmoczonego konformizmu i gorliwego schlebienia wkraść się w łaski mocodawców życiowej przestrzeni. Inni szczyli przez zęby ze wzbierającą irytacją: posuńcie się starzy, do diabła... Jeszcze inni wypatrywali (nie bez skutku) takich mocodawców, którzy pozwoliliby „posunąć starych” bez wystawiania na szwank konformistycznego komfortu.

Dojrzewanie wyżowych roczników w połączeniu z przyhamowaniem rozwoju gospodarczego miało między innymi jeden skutek uboczny o nader doniosłych konsekwencjach społecznych: „deficytowienie” wszystkich środków społecznego awansu, wszystkich narzędzi plasowania jednostek ludzkich w społecznej strukturze. Dostęp do wyższych uczelni i do atrakcyjniejszych szkół zawodowych stał się dobrem najbardziej deficytowym, obiektem najzacieklejszej walki konkurencyjnej, ogniskiem krystalizacji społecznych zawiści i antagonizmów. I to zjawisko propaganda oficjalna potraktowała w właściwy sobie zgrabny sposób. Jeśli na rynku brakowało kiszonych ogórków, gazety podnosiły larum: dlaczego planiści nie zapewnili podaży zgodnej z popytem. Jeśli jednak brakowało miejsca w szkołach, gazety oburzały się: dlaczego nierozsądni rodzice nie mogą zrozumieć, że plan rozwoju gospodarczego kraju nie wymaga kształcenia całej młodzieży? Niechęć do zwiększenia podaży oświaty ogólnej i zawodowej, która ma przecież sens nie tylko bezpośrednio utylitarny, nie tylko

„przysposabia do posady”, lecz i podnosi ogólny poziom kultury narodu, będący wartością autoteliczną — nie wynikała chyba tylko z rozrachunkowo-gospodarczej tępoty. Jak zobaczymy dalej, była też chyba wynikiem nacisku — może nieświadomego — ze strony nowych klasowych *vested interests*. Dyplom uniwersytecki stawał się szybko znakiem klasowej pozycji, i nadmiernie szerokie rozwarcie bram uczelni musiałyby niechybnie spowodować dewaluację tego znaku. Nie byli w tym zainteresowani ci, którzy mogli ów znak przywileju zapewnić swym dzieciom także i wtedy, gdy był on deficytowy. A tak się dziwnie złożyło, że ci właśnie ludzie współdecydowali o podziale funduszy inwestycyjnych.

Nowe klasowe *vested interests*... One to właśnie są, jak się zdaje, łączną podstawą społeczną wszystkich odstępstw od założeń socjalistycznego programu, jakie w praktyce dokonały się w Polsce lat sześćdziesiątych. Ekonomiczna i polityczna degradacja starych klas panujących, połączona z ich administracyjną dyskryminacją, oraz rozległa skala awansu społecznego wychodźców ze środowisk dawniej upośledzonych, gruntowna rewaloryzacja tradycyjnych wartości klasowych, liczne zmiany w teoretycznych i praktycznych kryteriach i wskaźnikach prestiżu i wpływu — wszystko to w sumie sprawiało, że w pierwszym okresie powojennym trudno było mówić w Polsce o wyraźnej strukturze społecznej klasowego typu. Nazbyt były płynne, zamazane, zmienne wszystkie kontury syn- i dia-chronicznych przedziałów i granic społecznych. Wprawdzie rozwarstwianie (ze względu na nowe kryteria) społeczne w dziedzinie dostępu do dóbr konsumpcyjnych, do wpływu, do sformalizowanego prestiżu rozpoczęło się zaraz po wojnie — ale praktyczny stan rzeczy w Polsce ówczesnej bardziej odpowiadał temu, co Amerykanie określają teoretycznie jako uwarstwienie społeczne, niż klasycznym schematom markowskim klasowego konfliktu. Nie każde uwarstwienie społeczne w sferze rozdziału dóbr musi rodzić czy kwitować podziały klasowe. Jedną z najistotniejszych cech, charakteryzujących każdą strukturę klasową, a niezwiązanych w sposób konieczny ze schematem teoretycznym stratyfikacji — to dziedziczność przywilejów i upośledzeń. Cechą niezbędną każdej struktury klasowej jest istnienie pewnych pozycji strategicznych, pozwalających macierzystej pozycji rodzinnej „odcisnąć się” na strukturze zawodowej. Otóż dopiero w połowie lat sześćdziesiątych do bram struktury zawodowej społeczeństwa dotarli potomkowie warstw uprzywilejowanych pod względem konsumpcji i wpływu już w socjalizmie i już na podstawie „socjalistycznych” kryteriów. Tym samym dopiero w tym okresie system społeczno-polityczny ukształtowany w Polsce po wojnie został w praktyce poddany próbie odporności na „klasowienie”. Próba wypadła negatywnie. Równość szans okazała się iluzją, a nierówność szans — dokładną niemal projekcją nierówności przywilejów w „świecie rodziców”. Monopolizując środki, pozwalające odtwarzać swą atrakcyjną pozycję w przyszłych pokoleniach, warstwa uprzywilejowana przekształcała się w uprzywilejowaną klasę. Obdarzeni wpływem i bogactwem

dóbr doczesnych wyzyskiwali skwapliwie wszystkie swe przewagi dla zapewnienia potomstwu upragnionych a deficytowych środków awansu z dyplomami uniwersyteckimi na czele.

W obliczu jaskrawego rozejścia się rzeczywistości społecznej z ideałami, w imię których wzywano naród przez lata do odwracania się z pogardą od płytkich uciech codziennych oferowanych przez kapitalistyczny jarmark próżności — starzy ideowcy, weterani wiary w wyższość moralną zasad socjalistycznych odsuwali się po prostu, zgorzkniali i zmęczeni, na margines społecznego życia, starając się co najwyżej namiastką pracy organicznej załatać dotkliwy brak rzeczywistego społecznego wpływu. Młodzi natomiast, zorientowani wedle socjalistycznego radaru, reagowali na rzeczywistość cynizmem i nihilistyczną wzgardą, lub sposobili się do buntu. Sposobili się do buntu ci najlepsi, nie przeżarci jadłem cynizmu, nie zubożnięci jeszcze, wciąż jeszcze przejęci głęboką troską o przyszłość swego narodu, pragnący dawać, a nie brać, mówiący „to moje” o tym, co zrobili, a nie o tym, co kupili. Tym się różnili od pozostałych sfrustrowanych (a sfrustrowani byli wszyscy), że ukierunkowywali świadomie swe pragnienie walki zgodnie z własnym rozeznaniem przyczyn doznanego zawodu.

Buntujący rekrutowali się głównie spośród studentów. Z przyczyn przecie zrozumiałych: studenci, zawieszeni przejściowo w społecznej próżni między macierzystą strukturą rodzinną a przyszłą strukturą zawodową społeczeństwa, nie mający jeszcze żadnych *vested interests* przykuwających ich do ustalonego porządku rzeczy, względnie wyizolowani od rodzinnych środowisk dorosłych a zatem względnie wolni od konformizujących pułapek dorosłej codzienności — mają z racji trudności swych zadań adaptacyjnych szczególnie wiele powodów do buntu, a z racji swego względnego nieskrępowania — szczególnie wiele możliwości buntowania się. Nie bez znaczenia jest i ten fakt, że to właśnie studenci uprawiają refleksję z natury swych zajęć „służbowych” i że mają dlatego szczególnie wiele okazji do krytycznego spojrzenia na otaczający ich świat.

Wzbierający bunt młodzieży budził od dawna niepokój władzy, reprezentującej konserwatywne interesy *establishment*. Do magano się od uniwersyteckich środowisk intelektualnych rozprawienia się żelazną ręką z „buntowszczakami”. Natrafiano jednak z reguły na odmowę i zdecydowaną niechęć do przywdziewania policyjnych uniformów. Środowiska intelektualne miały własne powody do frustracji. Stopniowe, ale coraz wyraźniejsze ograniczanie swobody wyrazu, konsekwentne rozbudowywanie uprawnień cenzury, nasycanie społeczności uniwersyteckich donosicielami i premiowanie gorliwe postaw konformistycznych wobec interesów konserwatywnych — wszystko to godziło wprost i dotkliwie w wymogi funkcjonalne uniwersyteckiego zawodu i powołania intelektualisty. Po rozgoryczeniach i rozczarowaniach Października środowiska intelektualne były zbyt słabe i rozproszone, by zdobyć

się na opór zorganizowany i czynny, by sformułować choćby program pozytywnego działania. Miały one jednak przesłanki obiektywne dla zachowania postawy nie do końca uległej, dla oporu pasywnego. Tą podstawą względnej swobody działania intelektualistów były resztki uniwersyteckiej autonomii. Profesorowie wyższych uczelni stanowili do marca 1968 jedyną w Polsce kategorię zawodową, której członkowie otrzymywali nominacje dożywotnie i byli praktycznie (jeśli tylko nie dokonali przestępstw kryminalnej natury) nieusuwalni ze stanowisk. Dawało to im poczucie osobistego bezpieczeństwa, jakiego nie mieli ludzie innych odłamów inteligencji, a owo poczucie osobistego bezpieczeństwa jest, jak wiadomo z socjologicznego abecadła, przesłanką demokratycznego sposobu bycia i swobody myślenia i poszukiwań twórczych. Nic dziwnego, że resztki wywalczonej w Październiku autonomii były w oczach rządzących grzechem pierworodnym środowisk uniwersyteckich. Ich likwidacja była jednym z podstawowych celów marcowej prowokacji. Rząd, opierający swe działania na strachu i układający swe przepisy prawne w ten sposób, aby każdego obywatela w miarę potrzeby można było powołać do odpowiedzialności — nie mógł z natury rzeczy znieść środowiska wyposażonego we względny immunitet osobisty i — co gorsza — decydującego na własną rękę o tym, kto jest godzien wejść w jego skład.

Osobną kategorię frustratów, zasługujących na odrębną i baczniejszą uwagę, stanowiła „nowa klasa średnia”, złożona z licznych rzesz urzędników średniego szczebla, administratorów politycznych i gospodarczych, funkcjonariuszy partyjnych, oficerów zawodowych. Należy jej się uwaga szczególna nie dlatego, by jej cierpienia i rozczarowania były głębsze i tragiczniejsze niż w innych warstwach społeczeństwa. I nie dlatego, że jest to klasa szczególnie liczna — jej liczebność sama przez się nic jeszcze nie mówi o jej rzeczywistej sile i znaczeniu. Frustracje nowej klasy średniej są o tyle zjawiskiem socjologicznie i politycznie doniosłym, o ile jest to klasa, na której niepozornych działaniach opiera się na co dzień funkcjonowanie władzy, i od której (w warunkach nader scentralizowanego systemu społeczno-politycznego współczesnej Polski) zależy w tysiącu spraw drobnych i znacznych życie codzienne i losy każdego obywatela. Jest to więc klasa w systemie władzy kluczowa, o olbrzymiej z tego tytułu *bargaining power*. Każda klika rwąca się do władzy lub pragnąca władzę w swych rękach utrzymać musi sobie przede wszystkim zapewnić poparcie tej właśnie klasy. Programy i insynuacje każdej kliky muszą być skrojone głównie na miarę interesów i tęsknot tej klasy.

A nowa klasa średnia miała nader liczne powody do frustracji. Przede wszystkim, po raz pierwszy w dziejach powojennej Polski (wskutek przyhamowania ekstensywnego mnożenia stanowisk urzędniczych) czterdziestoletni zaledwie funkcjonariusz zaczynał z troską myśleć o tym, że niewiele nowego czeka go już w życiu, że jego kariera jest właściwie skończona, że jeśli przyjdzie mu czekać na śmierć swego aktualnego przełożonego, niekiedy młód-

szego od niego, w najlepszym wypadku starszego o parę zaledwie lat, to następnego awansu nie będzie, chyba że zdarzy się cud, chyba że coś wprawi w niespodziewany ruch zastygającą w rutynie maszynę urzędową... W wyniku rewolucyjnych przeobrażeń z okresu początków władzy ludowej drabina wieku w urzędach polskich, w kaście oficerskiej i na średnich szczeblach aparatu partyjnego jest nader spłaszczona, i problem awansu — najbardziej dotkliwy z problemów każdej biurokracji — nie może być rozwiązywany w Polsce przy pomocy automatycznego mechanizmu „wysługi lat”. W dawnych latach rozwiązywano więc ten problem przy pomocy bądź masowych czystek, bądź sztucznego rodmuchiwania etatów. Od dwunastu lat nie stosowano w Polsce ani jednej ani drugiej metody. Okres dostatecznie długi, by nagromadziły się spore zastępy ambitnych i sfrustrowanych.

Sądziectwo ambitnych i sfrustrowanych frustrowało także i owych mniej ambitnych, funkcjonariuszy o defensywnym raczej usposobieniu. Atmosfera urzędów nasiąkała zwolna zagrożeniem, niebezpieczeństwo czało się wszędzie, wrogiem był każdy energiczny i pewny siebie współpracownik. Pamiętajmy, że pod względem bezpieczeństwa osobistego sytuacja urzędnika była dokładnym przeciwieństwem sytuacji pracowników uniwersytetu. Można było zwolnić urzędnika bez podania jakichkolwiek przyczyn pod warunkiem wypłacenia mu trzymiesięcznego odszkodowania. Jeśli robotników, których obecni władcy Polski o ouvrierystycznym usposobieniu boją się jak ognia, mało która administracja odważy się usunąć z pracy (nawet jeśli są ekonomicznie zbędni) z obawy przed strajkami i zorganizowanym protestem załogi — żadne związki i żadna siła w rozproszonym, zatamizowanym i zastrachanym środowisku urzędniczym nie weźmie w obronę kolegi, na którego wskazał palec przeznaczenia. Wyposażony w tak wątłe podstawy własnego bezpieczeństwa, urzędnik nie mógł być pewien swego losu w obliczu potężniejących zastępów nieusatsfakcjonowanych konkurentów.

Dotyczy to zwłaszcza szczególnego odłamu nowej klasy średniej — złożonego z ludzi bez dyplomów i bez systematycznych kwalifikacji zawodowych i zawdzięczających swą pozycję osiągnięciom na polu wartości nie związanych z pragmatyką wykonywanego zawodu. Z tych, którzy brak wiedzy fachowej łątali nadmiarem poslušnościwa i wierności dla władzy, a brak dyplomów specjalistycznych uczelni — dyplomami uznania wręczanymi na akademiach okolicznościowych. Technokratyczne tendencje, drażące sobie podskórną drogę (choć nigdy nie dominujące) w popaździernikowej Polsce, forowały między innymi kult fachowości i dyplomu. Przeprowadzono w pewnym okresie wymianę aparatu partyjnego powiatowego szczebla, wprowadzając masowo młodych z dyplomami. „Wierność” spadła pozornie w cenie, papierki premowano wyżej od zasług, błady strach padł na tych, którzy mogli się wykazać tylko wiernością i „zasługami”. Frustracja była najsilniejsza wśród tej zatem części nowej klasy średniej, która nie miała szans w konkurencji toczącej się w układzie odniesienia

wyznaczonym przez kwalifikacje merytoryczne, fachowe — która więc była żywotnie zainteresowana w zmianie zasad gry.

W sumie — środowisko urzędnicze było w Polsce u progu 1968 siedliskiem frustracji wyjątkowo głębokiej. Nikt w tym środowisku nie mówił o władzy „my”. Wszyscy mówili „co oni tam wyprawiają”. Klasa na której wspiera się władza w Polsce, miała z władzą na pieńku...

A za tym wszystkim czaiła się wielka niewiadoma — klasa robotnicza. Wykazała wprawdzie ostatnimi laty wytrzymałość niezwykłą — przełknęła bez odruchu buntu kolejne podwyżki cen i nowe ciężary finansowe dotkliwie godzące w jej — i tak przecież bynajmniej nie wysoką — stopę życiową. Ale mało kto na górze wierzył w pozorny spokój załóg fabrycznych. Wprawdzie była to nowa klasa robotnicza, wczoraj jeszcze „wsiowa”, zafascynowana na razie i zafrasowana kłopotami związanymi z przystosowaniem do nowych i dziwnych warunków miejskiego życia, niepomna, że kiedyś istniały walczące związki zawodowe robotników i pozbawiona własnej, „wewnętrznej” robotniczej elity. Wprawdzie skrępowano ją mocniej i pewniej, niż za czasów najbardziej policyjnych reżymów, więzami zakupów ratalnych i książeczek oszczędnościowych „docelowych”, zmuszając ją do obrony nie tyle aktualnego jej stanu posiadania, co nadziei na dobra przyszłe. Wprawdzie zdołano ją „zbuergeryzować” do tego stopnia, że w marcu zniechęcał ją najbardziej do studenckich manifestacji argument, że odbywały się one w godzinach powrotu ludzi z pracy i ze względu na zakłócenia w komunikacji miejskiej uniemożliwiły „przyzwoitym ludziom” zasłużony odpoczynek domowy. Wprawdzie pilnowano bacznie, by ta „panująca klasa” pozbawiona była własnej organizacji i swobód przedwstępnie warunkujących organizowanie się. Tym niemniej „góra” pamiętała o rewolucyjnej przeszłości robotników, i tej sprzed września i tej sprzed października, i bała się własnej klasy robotniczej panicznie, ten strach był głównym motywem jej dziennej krzątaniny i nocnych widziadeł sennych. Były okresy w których zawodowi działacze zjednoczonej partii robotniczej bali się rozmawiać z robotniczymi załogami, a przy ostatniej przed marcem podwyżce cen (tym razem mięsa) oficjalna instrukcja odgórna kazała powstrzymywać się przed argumentowaniem, że to w imię robotniczego dobra, i przed reagowaniem na objawy niezadowolenia...

Milcząca, ale tajemnicza i mająca dość powodów do niezadowolona klasa robotnicza, naładowana dynamitem młodzież, rozgorączkowane środowiska intelektualne i sfrustrowana nowa klasa średnia, ów rdzeń „ludowej” władzy, a nad tym wszystkim przeżona, niepewna wszystkich i wszystkiego góra partyjna — oto plon dwunastu lat popaździernikowego amcienia; oto sytuacja, którą wedle wszelkich zasad leninowskiej analizy określić wypada jako rewolucyjną. W takiej sytuacji panem wydarzeń staje się siła lepiej przygotowana, lepiej zorganizowana, zasobna w sprytniejszą taktykę działania i bogatsze narzędzie czynu.

Sytuacja opisana wyżej niewiele ma w sobie cech specyficznie

polskich. Problemy społeczne i źródła frustracji wyżej przedstawione są w części wspólne wszystkim krajom industrializującym się, a do niedawna zacofanym, a więc przebywającym z konieczności etap ostrych napięć społecznych. W jeszcze większej części są one wspólne wszystkim krajom socjalistycznego Wschodu. Tymczasem sposób wyjścia z kryzysowo-rewolucyjnej sytuacji był w Polsce zupełnie inny, niż w pozostałych krajach przeżywających podobne problemy. Trzeba zatem przyjąć, że w samej „sytuacji obiektywnej” nie było nic, ale to absolutnie nic, co by determinowało konieczność przyjętego w Polsce właśnie rozwiązania. Sytuacja wymagała *jakiegoś* rozwiązania. Jakie to jednak było rozwiązanie, zależało nie tyle od układu stosunków klasowych i stanu psychiki społecznej samych przez się, co od stanu sił zorganizowanych i zdalnych do zdyscyplinowanego wysiłku. Ba, zależało nawet od takich „niepoważnych” i niesocjologicznych czynników, jak osobiste upodobania i cechy charakteru osobników podejmujących inicjatywę działania. Na podobną sytuację obiektywną Rumunia reagowała wysiłkiem ekspansji gospodarczej, wspartej na niezależnej polityce zagranicznej, Jugosławia konsekwentną demokratyzacją gospodarki, Czechosłowacja zrywem demokracji politycznej. Każde z tych trzech państw, choć każde w inny sposób, próbowało uderzyć wprost w źródła narodowej frustracji i społecznych kłopotów, unicestwić przyczyny zła, nie ograniczając się do parowania jego rewolucjonizujących konsekwencji. Władcy Polski zareagowali prowokacją i kuglarskim zmyleniem kierunków buntu.

Zareagowali prowokacją.

Jeśli dokumenty tej prowokacji istnieją, nie prędko zostaną udostępnione badaczom. Można się więc dziś zdobyć co najwyżej na zewidencjonowanie poszlak, na opis zjawiskowy. Ale logika zdarzeń marcowych nie pozostawia cienia wątpliwości, że krył się za nimi spisek uknuty przez osobników mętnie wspominających z lekcji historii pożar Reichstagu i zabójstwo Kirowa. Nie mogło być przypadkiem, że na hasło rzucone przez anonimowych lub dotąd nikomu nieznanymi dziennikarzy objawiły się we wszystkich kluczowych instytucjach centralnych zgrane skoordynowane i zdyscyplinowane zespoły ludzi, dotąd niczym się nie wyróżniających, nie wypowiadających się publicznie, nie oglądanych nigdy w roli aktywistów, teraz zaś wyposażonych w przygotowane z góry listy imienne lokalnych „wrogów” i w obszerne akty oskarżenia kompilowane z faktów jakie zaczerpnięte być mogły tylko z akt tajnej policji. Nie mogło być przypadkiem, że cenzura na parę tygodni z góry zapowiedziała, że przedstawienie „Dziadów” 30 stycznia będzie przedstawieniem ostatnim (fakt bez precedensu w dziejach Polski; jeśli już cenzura coś „likwidowała”, czyniła to bez „okresu wypowiedzenia”). Nie mogło być przypadkiem, że już na parę tygodni przed 30 stycznia informowano w Warszawie każdego kto chciał i kto nie chciał słuchać, że przed Teatrem Narodowym będzie manifestacja. Nie mogło być przypadkiem, że na Placu Teatralnym w fatalną noc styczniową czekały zaczajone

budy policyjne i że grupkę manifestujących studentów (z której, *nota-bene*, wyłowiono z góry upatrzone osoby) potraktowano z brutalnością nie usprawiedliwioną bynajmniej powagą sytuacji (trzeba znać niezamieszkałą, ciemną pustynię Placu Teatralnego w styczniową noc, aby zrozumieć, że tylko szpicle na nocnym dyżurze mogli być czytelnikami studenckich transparentów), ale obliczoną na to, „żeby się rozniosło” i żeby „się buntowali”. Nie mogło być przypadkiem, że rzekomych „przywódców demonstracji” relegowano z uczelni z pogwałceniem wszelkich obowiązujących w tej materii przepisów, wystawiając na próbę poczucie sprawiedliwości i instynkt samoobrony studenckiego ogółu. Nie mogło być przypadkiem, że z nadspodziewaną tolerancją i z przy-mrużeniem oka potraktowano ogłoszenia o wiecu 8 Marca, rozlepiane na parę dni wcześniej na murach Uniwersytetu. Nie mogło być przypadkiem, że prowadzący zebranie otwarte uniwersyteckiej organizacji partyjnej na dwa dni przed datą wiecu nie dopuścił do głosu przedstawicieli młodzieży, oświadczając im, „że jak chcą dyskutować, to mogą to czynić na swoich wiecach”. Nie mogło być przypadkiem, że bojówkarskie pałki spadły na studenckie plecy już po tym, jak rektor zgodził się przyjąć studencką delegację i jak studenci uznali wiec za zakończony, spsobiając się do opuszczenia dziedzińca. Nie mogło być przypadkiem, że już nazajutrz po tym zdarzeniu w określonych dziennikach warszawskich ukazały się obszerne akty oskarżenia przeciw czasowi upatrzonym obiektom „pięciu minut nienawiści” — akty, których skłecenie wymagało badawczego wysiłku i natężenia fantazji i żadną miarą nie mogło być owocem natchnionej nocy samotnego dziennikarza. Nie mogło być przypadkiem, że już w dwa dni po wydarraniach uniwersyteckich publikowano listy „organizatorów”, ułożone bez żadnego związku z tym, co naprawdę działo się na uniwersyteckim dziedzińcu. Nie mogło być przypadkiem to wszystko, jak i wiele innych szczegółów zdarzeń marcowych i pomarcowych, wskazujących zgodnie na z góry przygotowany i konsekwentnie zza kulis sterowany plan prowokacji. Prowokacji o kuglarskim celu.

Zamierzeniem prowokatorów było wytworzenie sytuacji, w której możliwe będzie rozładowanie nagromadzonych w wyniku powszechnej frustracji zasobów społecznej agresywności. Rozładowanie w kierunku określonym przez organizatorów prowokacji i przy pomocy metod dla nich wygodnych i przez nich zalegalizowanych. Wybuch narodowego oburzenia musiał prędzej czy później nastąpić. Szło więc o jego „pokojuowe wykorzystanie”, o to, by odbył się w momencie wygodnym dla władzy i zastał władzę przygotowaną, zdolną wyzyskać go we własnych celach. Żywiołową energię ludowego buntu miano wykorzystać dla kuglarskiej groteski, dla obrony i utrwalenia tych samych chorób ustrojowych przeciw którym bunt ów spontanicznie się kierował.

Chciano więc:

— ujawnić, odcedzić i obezwładzić elitę duchową młodzieży polskiej, światłe umysły tych młodych, którzy zdolni byli przetłu-

maczyć na język programu politycznego działania, odruchy moralne i niepokoje swego pokolenia;

— przy okazji rozprawić się, pod wygodnym pretekstem, z resztkami autonomii wyższych uczelni, owego chybotliwego już zresztą i zmurszałego fundamentu niezależności myśli ideowej, i narzucić profesorom „instytutową” reformę, przekształcającą uczonych w mianowanych i usuwanych dowolnie urzędników od oświaty;

— skierować agresywność sfrustrowanej nowej klasy średniej przeciw młodzieży i intelektualistom, odwołując ją od kierunków nieporównanie dla góry niebezpieczniejszych, choć nieporównanie racjonalniejszych;

— wprowadzając do czcigodnych gabinetów urzędniczych atmosferę ogólnej czystki, zbiorowej hysterii i publicznej legalizacji klikowych walk podjazdowych, dać nową szansę outsiderom i ludziom zawodowych marginesów, przegrywających w konkurencji czysto profesjonalnej i dlatego szczególnie sfrustrowanych i marzących o rewanzu;

— przy okazji przywrócić utracony prestiż i walory premijące wzwyżnietym wartościom „wierności” i „posłuszeństwa ideowego”, które przegrywały były na wielu odcinkach we współzawodnictwie z wartościami kwalifikacji fachowych trudniej poddających się manipulacji;

— wyładować nabrzmiewającą tęsknotę za zdradzonymi ideałami egalitaryzmu i narastające w narodzie (głównie wśród klasy robotniczej i wśród młodzieży) nastroje antydygnitarskie; stąd umizgi do antyinteligentkich popędów robotniczych i teorie bananowości i Wysp Kanaryjskich w stosunku do studentów, z których wielu zawdzięczało swe obiady koleżeńskie pomocy;

— wyładować w bezpiecznym kierunku narastające poczucie niezaspokojenia postulatów niezawisłości narodowej — szczególnie na tle przykładów Rumunii, Jugosławii i Czechosłowacji.

I tu potrzebna jest dygresja, odwołująca od czysto socjologicznego wątku rozważań.

Gomułka doszedł do władzy w 1956 roku jako — dla wielu — symbol i ucieleśnienie postulatów niezależności narodowej. Dwanaście lat jego rządów nie tylko nie osłabiło, lecz pogłębiło odczucie niezaspokojenia dążeń niepodległościowych. Stało się tak między innymi z przyczyny swoistej gomułkowskiej koncepcji „polskiej racji stanu”. Ale nie tylko z tej przyczyny. Były także inne, poważniejsze.

Po pierwsze, z nieporównanym talentem zdołał Gomułka pozbyć się w ciągu lat dwunastu poparcia wszystkich klas i ugrupowań społecznych, które wyniosły go do władzy jako swego charyzmatycznego wodza — nawet poparcia sporej części zawodowego aparatu partyjnego. Jego utrzymywanie się przy władzy jest więc w coraz większym stopniu zależne „od przyjaźni i pomocy” zagranicznej, od powtarzanych przez kolejnych przywódców ZSSR oświadczeń, że „Gomułka jest prawdziwym przyjacielem Związku Sowieckiego”, co w ezopowym języku kremlofskich konserwa-

tystów znaczy tyle, że Związek ów tolerować będzie tylko władzę z Gomułką na czele.

Po drugie, popaździernikowa władza Polski, rezygnując z wspierania spójni rządu z narodem na takich błahych podstawach, jak demokracja czy rosnąca stopa życiowa, postanowiła wesprzeć ją na jednej, coraz bardziej samotnej podstawie: uparcie antyniemieckiej polityce rządu, wspartej na przekonaniu, że naród jest wciąż i z przyrodzenia spontanicznie antyniemiecki i dlatego wszystko wybaczy każdemu rządowi, który schlebiać będzie jego antyniemieckim instynktom. W rezultacie nie ze względów polityki zagranicznej, lecz z istoty swojej polityki *wewnętrznej* cała koncepcja rządzenia jest dziś w Polsce oparta na utrzymywaniu Niemiec (zachodnich, oczywiście) w roli etatowego wroga, na upieraniu się przy rozdziale państwowym najliczniejszego w Europie narodu. W rezultacie też rząd polski nie posiada dziś żadnej alternatywnej koncepcji *modus vivendi* ze swym zachodnim sąsiadem — na przykład ze zjednoczonymi Niemcami po drugiej stronie Odry. „Dogadywanie się” coraz to nowych krajów socjalistycznych z Niemcami Zachodnimi zadaje więc cios śmiertelny nie tylko i nie tyle polityce zagranicznej obecnej ekipy rządzącej w Polsce, ile całej koncepcji współżycia z własnym narodem, i to w jej najbardziej newralgicznych punktach. W tej sytuacji nocną zmorą dzisiejszych władców Polski musi być widmo porozumienia Moskwy z Bonn. Aby odpędzić tę marę piekielną, gotowi są pójść wobec wschodniego sąsiada na każde ustępstwo. A sąsiad patrzy to chyba wykorzystać.

Po trzecie, ile się gorzkich słów w Październiku nie wypowiedziało na temat nowohuckiego giganta Metalurgicznego, uwiązującego przymysł polski do sowieckiego garnuszka surowcowego — nonsens „Rurociągu Przyjaźni” przyćmił zdecydowanie fatalne skutki Nowej Huty. Wystarczy dziś, by ktoś na Uralu przekreślił kurek, by w Polsce znieruchomiały wszystkie silniki spalinowe. Zależność osobista i polityczna wspiera się zatem — jak to zresztą teoretycznie być powinno — na coraz silniejszej zależności ekonomicznej.

Wszystko to nie mogło nie drażnić ambicji narodowych Polaków. Naturalny kanał rozładowania frustracji ambicji narodowych jest jednak z przyczyn zrozumiałych nie do użytku — trzeba było znaleźć kanał zastępczy. Wszystko razem wymagało — zgodnie zresztą z tym, co współczesna psychologia powiada o frustracji i wyrastającej na jej gruncie agresywności — kozła ofiarnego.

Do roli kozła ofiarnego kuglarze wybrali Żydów.

Błąkały się im w zakamarkach pamięci wspomnienia o tym, że jeśli przedwojenne rządy w Polsce cieszyły się ludową sympatią, to zawdzięczały ją m.in. „współdzwicznemu” swjej polityki z antyżydowskimi nastrojami pewnych odłamów społeczeństwa. Władcy Polski dzisiejszej wierzyli być może, że naród polski jest w 1968 roku „spontanicznie i powszechnie” antysemitcki i że hasła antyżydowskie zapewnią rządowi ludową sympatię. Ta rachuba była mylna. Jeśli dla „ludowego” antysemityzmu były w przedwo-

jennej Polsce realne przesłanki ekonomiczne w postaci choćby konkurencyjnej walki o stragan, o rozdział skąpych sum przeznaczonych we wtórnym podziale dochodu narodowego na opiekę zdrowotną, czy w postaci walki chłopów przeciw wyzyskowi ze strony zbożowego hurtownika — to nic z tych rzeczy nie istnieje w Polsce po wojnie. Większość dzisiejszych chłopów polskich i robotników nie widziała na oczy żywego Żyda, a dwadzieścia lat indoktrynacji haseł socjalistycznych także nie minęło bez śladu. Antysemityzm w Polsce 1968 roku jest zjawiskiem sztucznie okrojonym, spreparowanym odgórnie, i znajdującym oddźwięk tylko w jednej klasie społeczeństwa — nowej klasie średniej — i to z tego tytułu, że dla tej klasy „antysemityzm” i antysemickie aluzje są etykietą, nazwą eufemiczną dla spraw całkiem innych, pozostających w bezpośrednim związku z bynajmniej nie narodowymi interesami pewnej części tej klasy. Antysemickie zabarwienie wydarzeń pomarcowych w Polsce nie jest w żadnym stopniu wynikiem spontanicznego odruchu narodu. Jest dziełem rozmyślnym organizatorów prowokacji, za które tylko oni ponoszą odpowiedzialność.

Jeśli jednak rachuby prowokatorów na „ludowość” polskiego antysemityzmu zawiodły — nie znaczy to, by Żydzi polscy nie posiadali paru cech istotnych, predestynujących ich do roli kozła ofiarnego.

Znów wedle współczesnych teorii psychologicznych, kandydat na kozła ofiarnego musi odpowiadać trzem przynajmniej wymagom: (a) musi być dostatecznie słaby, by można było na nim bezpiecznie wyładować popędy agresywne; (b) musi być dostatecznie silny, by zwycięstwo nad nim przywracało poczucie wartości własnej i było powodem do dumy; (c) musi wreszcie pozostawać w logicznym lub quasi-logicznym związku z uznanym stereotypem przyczyn frustracji. Otóż Żydzi polscy posiadali w jakimś stopniu wszystkie te trzy cechy. Po pierwsze, byli słabi — 25 tysięcy w łonie trzydziestomilionowego narodu, a nadto rozproszeni, wrośnięci głęboko korzeniami w polskie społeczeństwo i kulturę i nie zespoleni świadomością wspólnoty narodowej ani, tym bardziej, więziami organizacyjnymi. Po drugie, byli silni, jak to skwapliwie i z olbrzymim nakładem wysiłków udowodniła wyposażona w „tajne” dokumenty oficjalna propaganda: byli przecież odnogą potężnej mafii, sprzymierzonej z lucyferem bońskim i panującej z ukrycia nad senatem Stanów Zjednoczonych, Pentagonem i światowymi środkami masowego przekazu na czele z „Wolną Europą” i paryską „Kulturą”. Piętnując więc na publicznym zebraniu przy akompaniamencie histerycznego tłumu zastrachanego urzędnika z wytartymi łokciami marynarki, można było mieć błogie poczucie, że gromi się oto i unicestwia stugłową hydrę dławiającą kraj ojczysty. Po trzecie wreszcie, bez szczególnego trudu można było powiązać Żydów polskich z sowieckimi wpływami na Polskę, jako że jest prawdą, iż większość Żydów w Polsce pozostałych opowiedziała się wyraźnie po stronie rządów komunistycznych. Mógł więc Moczar w prasowym wywiadzie powie-

dzieć o „politykach, którzy w oficerskich szynelach przyszliznęli ze Wschodu”, mrużąc filuternie oko do czytelnika: ja wiem a pan rozumiesz, tu niby o Żydach mowa, ale tu o całkiem innej rzeczy idzie, he he... Z większym już znacznie trudem można było wyładować na Żydach nastroje antydygnitarskie a szczególnie rewindykacje egalitarne. Tu jednak wysiliła się propaganda, zmyślając na poczekaniu bajki o Wyspach Kanaryjskich, kreując nieśczęsną budę taneczną „Babel” do roli w przedwojennych „strachach na lachy” granej przez łoża masońskie, i ustawiając na wiecach robotniczych obok siebie transparenty: „dzieci robotników i chłopów na wyższe uczelnie” i „oczyszczyć wyższe uczelnie ze syjonistów”, których bliskość fizyczna sugerować miała związek przyczynowo-skutkowy...

Ale to wszystko razem wyjaśnia tylko, dlaczego dla posunięć praktycznych w ramach pomarcowego przewrotu posłużono się tym właśnie a nie innym szyldem, szyfrem, etykietą. Wybór szyfru był problemem wtórnym wobec tego, czego chciało się dokonać naprawdę, w sferze nie tyle świadomości społecznej, co rzeczywistego układu sił. Sądzę nawet, że pewne elementy w kierownictwie partyjnym, przywiązane wciąż jeszcze do starych haseł komunistycznych, z niechęcią i ociąganiem się przyjęły podsuniętą etykietę, czując odrazę do ceny, jaką trzeba będzie zapłacić za posługiwanie się nią w rozprawie z protestem społecznym, do spustoszenia, jakie poczynić ona musi w świadomości narodu. Problem żydowski w pomarcowym przewrocie był tylko instrumentem. Celem było co innego: obezwładnienie potencjalnej opozycji, rozbicie resztek ośrodków krystalizowania się niezależnej myśli socjalistycznej, zastraszenie opornych i ośmielenie palących się do czynu ale tchórzliwych gorliwców, odzykanie najważniejszego dla władzy fundamentu: poparcia ze strony nowej klasy średniej. O to szło, i odwrócenie uwagi światowej opinii publicznej od tego celu głównego przy pomocy dymnej zasłony antysemityzmu było jeszcze jednym z kuglarskich wyczynów autorów marcowej prowokacji. Choć wybór etykiety przez nich dokonany nie jest obojętny i sam przez się budzić musi żywy sprzeciw moralny,

Powiadają, że dziś władze partyjne pragną „skończyć z walką ze syjonizmem”, ale „masy” (jest to termin eufemiczny dla oznaczenia funkcjonariuszy partyjnych niższego szczebla, stanowiących publiczność w czasie „rozmów przywódców z narodem”) domagają się kontynuowania walki i żądają ukarania winnych jej przedwczesnego przyhamowania. Znaczy to, że nowa klasa średnia, a szczególnie jej najbardziej sfrustrowane, outsiderowskie elementy, są rozczarowane mizernością myszy, jaką spłodziła góra pomarcowej buńczucznej propagandy. Zwolniło się dla spragnionych awansu niemiłosiernie mało intratnych stanowisk, miejsc u żłobu nie przybyło, żądania dyplomów nie ustały, pewności siebie nie przybyło ani na jotę. „Masy” nie chcą zadowolić się etykietą, żądają całej butelki z całą zawartością. Jak zapędzić do flaszki nieopatrznie uwolnionego dzina — oto problem, nad jakim głowić się będą musieli w najbliższych miesiącach autorzy

marcowej prowokacji. Nowy kozioł ofiarny jest potrzebą chwili. Czy wymyślono już dlań ponętną nazwę?

Prawdziwe masy narodu jeśli nie są rozczarowane pomarcowym przewrotem, to tylko dlatego, że niewiele się po nim spodziewały. Dzieci robotników i chłopów nie wypełniły uniwersyteckich aul, mimo że wypędzono z nich syjonistów. „Walka z dygnitarstwem” okazała się rozprawą z paroma tylko określonymi dygnitarzami. Rat do płacenia przybywa, a nie ubywa, a zawartość koszyka jak się kurczyła, tak się i kurczy. Więc kto miał powody do frustracji, ma je nadal. Tyle, że prawdziwe masy na razie nie „naciskają na władzę” i nie domagają się ukarania nikogo. Po mordzie, dokonanym z zimną krwią na Czechach, winnych umiłowania wolności, prawdziwe masy nie prędko zaczną naciskać i domagać się.

Już po moim wyjeździe z kraju przywódca dzisiejszej Polski z tego samego strachu przed tą samą frustracją własnego narodu, do której powstania walczyć się swą polityką przyczynili a w której rzeczywistym rozładowaniu dopomóc narodowi nie potrafią lub nie chcą dokonali nowej zbrodni, wyznaczając żołnierzowi polskiemu rolę nieporównanie haniebniejszą niż przed półtora wiekiem obcy władca wyznaczył mu na San Domingo. Droga, której jednym z etapów była prowokacja marcowa, okazuje się śliską ponad wszelkie spodziewanie. Dokąd ona jeszcze zaprowadzi ludzi o kwalifikacjach kuglarzy a nie polityków, zasłużonych w podnoszeniu stopy frustracji zamiast stopy życiowej, i jaką jeszcze cenę zapłacić będzie musiał naród za ich kurczowe czepianie się władzy, ile przeżyć na tej drodze cierpień?

I kto je wszystkie zbierze i policzy?

Zygmunt BAUMAN

Suma nienapisanych książek

Interwencję w Czechosłowacji kazano w Polsce uznać za kompletny sukces, tak pod względem ideowym, jak moralnym, niemal kazano nam pokochać to wydarzenie, jako coś specjalnie drogiego i zaszczytnego w życiu narodu ostatnich miesięcy. W obszernej aparaturze propagandowej zapaliły się znowu wszystkie lampki. Dzięki temu mieliśmy na spektakl czechosłowacki (określonego stylu i obrządku, aż się prosi tu powiedzieć: wschodniego obrządku) także swój własny punkt widzenia i własną lekcję polegającą na porównaniu dwóch rodzajów opinii, tych uczciwych i logicznych — z tymi amoralnymi i absurdalnymi, z inspiracji i na rzecz państwa. My, w kraju, prawie zawsze mamy taki nadprogramowy, własny punkt obserwacji i reakcji uczuciowych, co również składa się na spektakl, tylko bardziej przygnębiający i dotkliwszy, bo od środka, a z takiego przedstawienia wyjść nie można. Mogło się w jakimś momencie wydawać, że mniej ważna jest klęska różnych nadziei politycznych w Czechach, niż kolejna klęska tego, co chyba można nazwać imperatywem prawdy albo potrzebą prawdy jako składnika życiodajnego. Więc znowu, jak to się mówi, ogarnęło nas bezprzykładne zażenowanie, co jest tylko takim odruchowym frazesem, bo zażenowanie i jego powody wcale nie były bezprzykładne, przecież w ciągu tego jednego roku zdarzyło się co najmniej po raz drugi, że normalnie myślący człowiek bez żadnej winy ze swojej strony wpadał między te specyficzne nożyce dwóch wykluczających się prawd: tak było na wiosnę i tak było w jesieni, a sezon, zdaje się, jest w pełni. A może, kto wie, trzeba sobie gratulować, że tym kolejnym szokom towarzyszyć zaczyna przyzwyczajenie, czynnik ochronny, bo na ogół dramat myśli jest ciężki do zniesienia, to jakaś obraza umysłu, na którą nie można odpowiedzieć należytych rękoczynem i wtedy drętwieje w człowieku poczucie godności. Ciekawe, jak to się zaraz samo transmituje w strefę emocji: teraz w Polsce odczuwa się po prostu smutek i bezradność. A jeżeli brakuje tego podstawowego czynnika apro-

wizacyjnego, jakim jest rzetelna informacja — czy można żyć, niejako na odwrocie tego medalu, chlebem smutku i wodą strachu, jak się wyraził kiedyś burgundzki kronikarz. W roku 1416 bogaty kanonik Nicolas d'Orgemont, ofiara zemsty Armaniaków, ubrany w fioletowy płaszcz i tegoż koloru czapkę został przewieziony przez Paryż w wozie na śmieci, aby towarzyszyć przy ścięciu dwóch innych przestępców, zanim sam zostanie skazany na dożywotnie więzienie, „na chleb smutku i wodę strachu” (*au pain de douleur et à eau d'angoisse*). Średniowieczny patos tej przenośni jest piękny, przesada jest wspaniała i czyni na współczesnym człowieku poważne, liturgiczne wrażenie, bo w określaniu i pokazywaniu uczuć jesteśmy dalecy od przesady. Poza tym kwintesencja tego obrazu, ów chleb smutku, bardzo nadaje się do moich rozważań, jest trafnym punktem odniesienia.

Tak się złożyło a raczej, tak wypadło w rzadko kiedy pomyślnym planowaniu rządu, że właśnie w tym samym okresie, gdy trzeba było mistyfikować sprawę czeską — jednocześnie musiano popychać tak zwaną powszechną dyskusję przedzjazdową, co zrodziło się ze zwykłego strachu przed skutkami desperackiej polityki odwetowej zapoczątkowanej na wiosnę. I właśnie teraz, w jesieni, przypadek jej moment ironiczny: z jednej strony zachęcało się do uwielbienia gwałtu w Czechosłowacji, z drugiej strony wystąpiono z licznymi formalnymi zaproszeniami do otwartej dyskusji na wszystkie możliwe tematy. Gazety zaczęły nakłaniać do szczerości z pośpiechem dwuznacznym, którego nigdy dotąd nie objawiano, jakby właśnie teraz szczerość stała się kwestią niecierpiącą zwłoki — na co każdy chętnie zgodziłby się, gdyby w tym przedsięwzięciu było choć trochę dobrej woli. W ważniejszych pismach codziennych i periodykach, na przykład w *Życiu Warszawy* i w *Polityce*, ukazały się tłusto drukowane zapewnienia, że tylko otwarta dyskusja społeczna, bez ograniczeń tonu i zakresu, może wpłynąć na zaradzenie tzw. brakom i niedociągnięciom. Tak to mniej więcej u nas się formuluje, z niesłychaną pruderią — a musi to starczyć w miejsce wszystkich innych bezpośrednich określeń, które w normalnych warunkach informacyjnych i semantycznych wskazałyby bez owijania w bawełnę na katastrofalny brak kompetencji, głupotę czy wręcz nieuczciwość w wielu dziedzinach życia państwowego. „Braki i niedociągnięcia” są jedną z eufemistycznych skłerek, którymi rząd częstuje niekiedy społeczeństwo i siebie samego, bo trzeba widzieć z jaką to się dzieje delikatnością i zachowaniem pod własnym adresem: to jest ten *bon-ton* autokratyczny i *my self gentle*, w końcu jest w tym dużo logiki, bo gospodarka w kraju i wszelkie w nim stosunki stanowią obwód całkowicie zamknięty i za jego złe funkcjonowanie od dawna już nie można winić społeczeństwa, powinien odpowiadać za to tylko jeden czynnik — rząd.

W zaproszeniu do publicznej dyskusji była zawarta — inaczej tego rozumieć nie można — gwarancja, że wszystko, co ludzie nadesłali będzie drukowane i omawiane. Może być, że w końcu wydrukowano większość nadesłanych artykułów, a w tym rzeczy

względnie pożyteczne. Ale znacznie ciekawszym byłoby dowiedzieć się, ile potencjalnych artykułów w ogóle się nie ukazało i to tylko dlatego, że autorom tych ewentualnych artykułów ani do głowy przyszło bawić się wysyłaniem swoich opinii, z którymi zdradzać się niebezpiecznie, a których nikt nie ogłosi, wbrew wszelkim gwarancjom. Każdą dyskusję w Polsce, i tę ostatnią dyskusję na niby, otacza tutejszy pas cnoty, szeroka strefa minusowa, coś w rodzaju prawa fizycznego, którego działanie rozciąga się na wszystkie, czy prawie wszystkie dziedziny życia. Jakże udowodnić istnienia, a tym bardziej wartości czegoś, co nie miało okazji się ujawnić? Nikt nie robi statystyki artykułów, których obywatele PRL nie wysłali do gazet, za to gazety zrobią minę, że kwestia została wyczerpana.

No, dobrze, niechże jeden, przynajmniej, obywatel zabierze głos w sprawie podlegającej dyskusji. Proponuję temat literacki, a więc stosunkowo mało drażliwy, tak się może wydawać: dlaczego w Polsce nie powstała wielka powieść współczesna, w ogóle wielka książka o polskim życiu po wojnie, mającym przecież tyle cech dramatycznych i odrębnych w stosunku do okresu międzywojennego, a także w stosunku do życia innych społeczeństw. To jest naprawdę olbrzymi temat, mogłaby na ten temat powstać ogromna, fascynująca książka. Nie należy, nie mamy prawa kwitować tej kwestii sloganem o braku talentów pisarskich. Są w Polsce ludzie utalentowani, którzy udowodnili swoich możliwości i skłonności pisarskich, ale ich pióra uciekają od najważniejszego zadania, jakim byłaby powieść współczesna. Nie dzieje się tak bez przyczyny i to jest doskonały przedmiot rozprawy. Andrzejewski, Bocheński, Strykowski trzymają się konsekwentnie tematów odwróconych tyłem do współczesności, albo uciekają się do paraboli. Konwicky wieje w partyzancką przeszłość. Brandys nie zgodził się na wznowienie „Obywateli” i nurza się w eseiście powieściowej, której gęszcz intelektualna jest dostatecznie skomplikowana i dostatecznie anonimowa. Mrozek posługuje się dwuznacznikami, które świetnie grają w mroku sceny, ale ostatecznie są jeszcze jednym przykładem literackiego uniku. Próby Putramenta są wzruszające, poza tym to jest takie udawanie (w które nawet on nie wierzy) że starszy wędkarz-impetyk odważy się na wszystko. To są fakty, których żadna Zatorska (już jej nie ma na dawnym miejscu) nie potrafi wyjaśnić w obowiązującym duchu.

Uchodzi za pewnik, że wielka sztuka, wielka literatura nie rodzi się z sytości, ale wprost przeciwnie — z niedostatków wszelkiego rodzaju, również z braku wygod moralnych: aprowaduje się tym, co średniowieczny kronikarz nazwał *pain de douleur*. Posługując się tym pewnikiem powinniśmy prędko wywnioskować — gdybyśmy rozumowali z perspektywy księżyca — że w Polsce już jest, albo zaraz zostanie napisana wspaniała książka o tutejszym życiu tak bogatym w gorycz, wszelkiego rodzaju zawody i ból. Ale widocznie prawo, które wyżej powtórzyłem za innymi, ma swoje granice i warunki, a tych warunków nie ma w Polsce.

Założmy na chwilę, że specyficznie złe strony życia polskiego mogłyby u niektórych ludzi pióra wywołać takie napięcie twórcze, że w warsztacie przynajmniej jednego z nich powstałoby pięćset, czy tysiąc, czy choćby sto stron wścieklej prozy, opartej na bezkompromisowej analizie, wyposażonej w pyszne obrazy, nasyconej wielokierunkową refleksją. Taka książka poszłaby do szuflady. Nie! Do szuflady nie pisze się rzeczy inspirowanych przez namiętność, w pewnym momencie przeszkadza temu rozpacz, w pewnym momencie opadają po prostu ręce — i nic się nie pisze. Taka książka w ogóle nie mogłaby tutaj powstać.

Dlaczego? Bo prawda jest pewną całością, bo ma naturę integralną. Rozważając to bronie się przed mistyfikacją, o którą tak łatwo, gdy się wymawia wielkie słowa, a do takich należy słowo prawda. Nie można jednak nie zauważyć, że to pojęcie oznacza pewną niewzruszoną całość. Zdobyta różnymi środkami świadomości, obserwacją i wewnętrznym dociekaniem — prawda nie daje się następnie, w zastosowaniu np. literackim, podzielić — tak jak każdy inny zasób umiejętności i środków. Każda próba częściowego zastosowania prawdy w sformułowaniu literackim mechanicznie obniża, a nawet anuluje jego wartość. Przepuszczam, że prawda, to nic innego, tylko pewien stan wewnętrzny, jeden ze stanów równowagi i nie da się nim frymarzyć. Cenzura w Polsce sugeruje autorom, że tym wewnętrznym stanem i tą całością można dowolnie rozporządzać i dostosowywać je do nakazów specyficznego poczucia bezpieczeństwa, jakimi się kieruje rząd. O to się sprawa rozbija, że starcia zostaje na ogół miał i cegła. KUP PAN CEGŁĘ! — mówi się w Polsce w rozmaitym metaforycznym znaczeniu.

Nie może być u nas wielkiej książki, bo w literaturze albo trzeba mówić całą prawdę, albo rezygnować, próba reglamentacji od razu odbija się na wewnętrznej konsekwencji i jakości książki, po prostu z góry uniemożliwia jej wielkość. W strefie sztuki panują stosunki tego rodzaju — nazwijmy to absolutną integracją — że nie można powiedzieć „a” i zwolnić siebie od powiedzenia „b”: od razu następuje krach, katastrofa o skutkach łańcuchowych, która rujnuje kształt i odbiera smak temu, co zostało stworzone. Wyobrażam sobie, że można wziąć próbkę młodości z ciała osiemnastoletniego człowieka i wycinek tkanki natychmiast zaświadczy o jakości, o którą chodzi. Młodość jest sprawą bezkompromisową, równie bezkompromisową sprawą jest prawda w utworze literackim. Dziś, po dwudziestu paru latach doświadczeń z cenzurą nikt z prawdziwych pisarzy nie ma ochoty eksperymentować w dziedzinie, gdzie rządzą prawa tak samo konsekwentne i niezmiennie, jak prawa przyrody. Na próżno reżym tęskni, czy raczej udaje, że tęskni, do wielkiej powieści współczesnej. Gdybym był etatowym doradcą, to bym w odpowiednim memoriale napisał: zaniechajcie i ciescie się, bo gdyby wskutek jakiegoś magicznego odwrócenia tych praw, o których wyżej była mowa, równie ważnych jak prawa przyrody, utalentowani polscy pisarze zaczęli wydawać książki prawdomówne i wybitne — to

wy, reżymowcy mielibyście kłopoty. Prawdopodobność należy w Polskę do opozycji.

Ale nie ma obawy. Wszystkie formy opozycji w Polsce są siłą rzeczy zlokalizowane we wspomnianej już strefie minusowej, gdzie nic się nie ujawnia i która otacza nasze życie, jak ochronny pas cnoty. Jestem przekonany, że po wypadkach wiosennych i teraz, po rozpaczliwej awanturze czechosłowackiej, opozycja polska rozwinęła się w formach istotnych i nowych, które należałoby dobrze zanalizować, a to nie jest łatwe. Tę opozycję cechuje w dalszym ciągu milczenie, ale jest to milczenie, które z miesiącami i latami sumuje się i wzrasta, które prawdopodobnie przekształca się w pewną siłę. Wielkiej książki nikt nie napisze i w tym stwierdzeniu jest rozpacz, ale z drugiej strony nasuwa się myśl, że suma nienapisanych wielkich książek może stanowić pewną niebezpieczną wartość energetyczną, która w końcu powinna znaleźć ujście.

PELIKAN

HENRYK GRUBER

WSPOMNIENIA I UWAGI

1892 — 1942

Trzy części:

- I. **BUG WPADA DO WISŁY** — Autor przedstawia życie w prowincjonalnym miasteczku Sokalu, pobyt we Lwowie i Wiedniu, udział w kampanii wojennej w Legionach Piłsudskiego oraz w wojnie przeciwko bolszewikom w 1920 roku.
- II. **ANATOMIA POCZĄTKÓW** — to okres służby państwowej na różnych stanowiskach a przede wszystkim jako Prezesa P.K.O. i Prezesa Banku P.K.O. oraz udział w doniosłych konferencjach gospodarczych na najwyższym szczeblu państwowym.
- III. **CZART PROWADZI BAL** — przejścia w Paryżu i zdarzenia w Londynie widziane przez autora z Argentyny.

576 stron!

Ilustracje!

Cena: £3.0.0 plus koszt przesyłki!

SKŁAD GŁÓWNY:

KSIĘGARNIA KOMBATANCKA

20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7.

Nadto do nabycia we wszystkich księgarniach polskich.

Mózgi na śmietniku

„Teoria zapałki”. Dość często zdarza mi się rozmawiać z ludźmi którzy uważają się za ideowych komunistów. Mam na myśli ludzi których system wartości zawiera aksjomat o ideowych pobudkach działania — „działanie jest usprawiedliwione tylko wtedy, gdy kierują nim motywy ideowe”. Posługując się terminologią Pareta można stwierdzić, że ludzie ci, aby pozostawać w zgodzie ze swym systemem wartości, muszą tworzyć derywacje — konstrukcje myślowe dowodzące zgodności ich działania z tymi wartościami. Derywacje są szyldem wywieszanym zarówno na użytek własny jak i dla otoczenia, kryjącym residua — prawdziwe pobudki, takie jak dążenie do zapewnienia sobie bezpieczeństwa, bodźce ekonomiczne, miłość własną etc.

Otóż jest rzeczą godną uwagi, że z reguły w rozmowach z tymi ludźmi uderza jaskrawy kontrast między ich ogólnym poziomem umysłowym, jaki wykazują np. w sprawach ściśle zawodowych, a poziomem derywacji, którymi się posługują. Osobniki zdolne do bardzo sprawnego i poprawnego myślenia na wysokim szczeblu abstrakcji posługują się w tych przypadkach derywacjami rażąco prymitywnymi, zawierającymi wewnętrzne sprzeczności i niezgodnymi z obiektywną rzeczywistością.

Jedną z częściej spotykanych derywacji jest „teoria zapałki”. Często posługuje się nią też oficjalna propaganda. — „Oczywiście nie wszystko jest u nas tak jak być powinno. ALE jesteśmy na dobrej drodze. Musimy pamiętać o punkcie wyjścia; to może banalne i wyświechtane, ale ciągle prawdziwe — przed wojną polski chłop dzielił zapałkę na cztery części. NIKT nie może temu zaprzeczyć. A dzisiaj...”

Izolacja Polski od świata i dezinformacja obywateli jest jednym z czynników sprawiających, że do dziś nie porzucono tego argumentu.

W okresie Drugiej Rewolucji Przemysłowej, w kraju objętym tą rewolucją, porównywanie aktualnych warunków życia ze stopą

zyciową sprzed lat trzydziestu, jest anachronizmem, w każdym razie jeśli uzyskane tą drogą wskaźniki traktuje się jako miarę rozwoju. Jediną miarą może być porównywanie naszego tempa rozwoju z tym co dzieje się w innych krajach objętych rewolucją przemysłową. Jak wiadomo, dystans dzielący Polskę od innych krajów zwiększa się z roku na rok.

Siły ekonomiczne wyzwolone przez Drugą Rewolucję Przemysłową były przez pewien czas potężniejsze niż destruktywna siła komunizmu. Postęp w porównaniu z rokiem 1938 czy 1945 dokonał się mimo tego i wbrew temu co robili komuniści w Polsce. Ten punkt widzenia odwraca „teorię zapałki” o 180 stopni, ale jest nie do przyjęcia dla autorów derywacji, gdyż wpędziłby ich w dręczące sprzeczności.

„Teoria zapałki” jest eksploatowana z braku innych argumentów. Dlaczego nasza rzeczywistość nie była w stanie ich dostarczyć? Na podstawie długotrwałych obserwacji w wielu różnych środowiskach doszłam do przekonania, że jednym z istotnych czynników destruktywnej siły komunizmu w tym kraju jest zabicie zdolności i możliwości twórczego działania człowieka.

Warunki twórczego działania

Spośród całego wachlarza niezbędnych warunków twórczego działania człowieka proponuję dla celów tego szkicu wybrać cztery. Oto one —

- koncentracja energii na celu twórczości
- dostęp do niezbędnych materialnych środków działania
- swoboda wyboru drogi
- prawdopodobieństwo uzyskania pożądanego ekwiwalentu

Stan niemożności

Kliniki psychiatryczne, kawiarnie i restauracje niższych kategorii są dziś w Polsce najbardziej obiecującym terenem poszukiwania twórczych talentów. Nie ma w tym stwierdzeniu przesady; mogłabym zestawić dość długi rejestr osobiście mi znanych ludzi którzy albo stoczyli się na margines społeczny, albo coraz bardziej ku niemu grawitują, na skutek obiektywnej niemożności wyładowania swych sił twórczych.

W nowej powieści Sołżenicyna spotykamy uczonych, którzy w pełni mogą się skoncentrować na celu swego twórczego działania. W więzieniu. Na celu wyznaczonym przez rządzącą biurokrację. W Polsce współczesnej też nie marnuje się ani jeden erg energii twórców pracujących dla potrzeb policji i wojska. Ale nie wszyscy chcą i nie wszyscy mogą pracować w tej dziedzinie. Co się dzieje z pozostałymi?

Kto wybiera drogę twórcy-indywidualisty, pracującego samodzielnie i na własny rachunek, łudząc się, że w ten sposób za-

pewnia sobie maksimum swobody, ten albo rozpoczyna tym samym powolne samobójstwo albo, w najlepszym wypadku, zamyka się w celi klasztoru o najsurowszej regule. Klasztor — dla tych, co pracują w dziedzinie nie wymagającej koniecznie oparcia o czynnik gospodarczy i organizacyjny, a więc dla artystów i myślicieli. Jeśli ktoś godzi się z perspektywą tworzenia do szuflady, akceptując wszystkie życiowe konsekwencje tej decyzji, ten na ogół może się bez większych przeszkód skoncentrować na swojej pracy.

W pozostałych dziedzinach — w nauce, technice — wszędzie tam gdzie twórczość wymaga coraz bardziej rozwiniętej bazy materialnej, indywidualista skazuje się na szybkie bankructwo, na klęskę finansową i na załamanie psychiczne. W pierwszym etapie swych prac może się wprawdzie skupiać na osiągnięciu celu, ale przychodzi moment kiedy społeczna akceptacja tego co osiągnął jest niezbędna dla dalszej twórczości. Na tym etapie wyrasta przed nim mur obojętności. Czysty, kliniczny przypadek polega teraz na tym, że zaczyna się bicie głową o mur. Zazwyczaj pęka głowa.

W tak zbiurokratyzowanym systemie po prostu nie ma miejsca na działanie poza aparatem biurokratycznym.

Wielu ludzi rozumie tę prawidłowość i chcąc zapewnić sobie realniejszą możliwość działania podporządkowuje się temu aparatowi, staje się jego częścią. Padają teraz ofiarą innego złudzenia — że za cenę rezygnacji ze swobody będą mogli przynajmniej skupiać energię na urzeczywistnianiu niektórych celów. Na przykład na tworzeniu lepszych podręczników szkolnych, na budowaniu lepszych mieszkań, na lepszym organizowaniu pracy przemysłu, na sprawniejszym przewożeniu ludzi do pracy. Szybko jednak okazuje się, że tylko znikomą część energii mogą skupić na tych celach działania. Ogromna jej część spala się w jałowych działaniach usiłujących bezskutecznie pokonać biurokratyczny opór.

Spośród elementów biurokratycznego oporu warto wyróżnić trzy.

(1) Rozbieżność między pozornym a rzeczywistym celem każdej organizacji biurokratycznej w tym kraju.

Cel pozorny, uwzględniony w nazwie organizacji i jej oficjalnym programie, polega na tworzeniu podręczników, projektowaniu mieszkań itp. Cel rzeczywisty to utrzymywanie i umacnianie władzy grupy ulokowanej na szczycie biurokratycznej piramidy. Faktyczne działanie organizacji zawsze jest podporządkowane celowi rzeczywistemu przede wszystkim, przesłanki wynikające z tego celu zawsze górują nad przesłankami specjalistycznymi, fachowymi.

Twórca ulokowany wewnątrz aparatu biurokratycznego pada ofiarą nieporozumienia, biorąc cel pozorny za cel rzeczywisty. Rozwija na tej podstawie działalność która szybko staje się albo obojętna wobec celu rzeczywistego albo z nim sprzeczna. W tym momencie napotyka na opór.

Można to zilustrować przykładem z dziedziny współczesnej polskiej architektury. Przed kilku laty zaczęto wywierać bardzo silną presję na architektów, by obniżyli standard osiedli i mieszkań projektowanych dla masowego lokatora, znacznie poniżej minimum jakie można było akceptować w polskich warunkach kulturowych. Środowisko architektów uznało te wymagania za sprzeczne ze swymi podstawowymi zasadami zawodowymi, przynoszące nie tylko zupełnie fikcyjne oszczędności, ale na dłuższą metę wręcz straty także z ekonomicznego punktu widzenia. Oczywiście opór środowiska był minimalny, podporządkowano się wymaganiom. Nieliczni architekci którzy entuzjastycznie wyszli naprzeciw zarządzeniom biurokracji, szybko porobili kariery. Ci umieli odróżnić cel pozorny od rzeczywistego, orientowali się że rzeczywistą funkcją biur projektów nie jest podnoszenie poziomu budownictwa mieszkaniowego w kraju, lecz popieranie biurokracji w jej rozgrywkach taktycznych i strategicznych kampaniach.

(2) Centralizacja aparatu biurokratycznego.

Maksymalna centralizacja jest jednym z filarów monopolu władzy. W odniesieniu do twórców ma to następujące konsekwencje; każda innowacja zależy od decyzji podejmowanych w górnych rejonach aparatu, często na samym jego szczycie. Decydują zaś ludzie kompetentni w swoistej technice rządzenia, lecz zazwyczaj zupełnie niekompetentni w danej, wyspecjalizowanej dziedzinie. Uzyskanie decyzji zgodnej z intencją twórcy, nawet przy najbardziej sprzyjających okolicznościach, zależy w tej sytuacji od przypadku. Specjalistyczne argumenty twórcy są bowiem niedostępne dla decydującego.

(3) Rutynizacja aparatu biurokratycznego.

Kolejny element biurokratycznego oporu polega na immanentnym zrutynizowaniu biurokratycznego aparatu. Jest to zjawisko od dawna znane w socjologicznej teorii biurokracji, które w Polsce występuje ze szczególną siłą.

Merton wprowadził pojęcie „przesunięcia celów” w aparacie biurokratycznym. Organizacja biurokratyczna narzuca personelowi przepisy mające na celu zapewnienie niezbędnego konformizmu działania w odniesieniu do programu tej organizacji. W toku działania biurokratów następuje u nich emocjonalne przesunięcie celów; wierność biurokratycznym przepisom, skrupulatność i drobiazgowość w ich stosowaniu stopniowo przestaje być środkiem do osiągnięcia celu organizacji, do wypełniania jej oficjalnie i nieoficjalnie sformułowanego programu, staje się natomiast celem samym w sobie. (Niektórzy późniejsi socjologowie stwierdzili też, że to przesunięcie celów chroni personel przed przełożonymi, np. w przypadku popełnienia błędów).

W ogromnej większości istniejących dziś na świecie organizacji przepisy są z natury rzeczy statyczne, zakładają kontynuowanie jakiegoś *status quo*. Przesunięcie celów usztywnia organizację,

prowadzi do jej zrutynizowania, ogranicza zdolność przystosowania się do zmian w świecie zewnętrznym jak i wewnątrz samej organizacji. Jeśli użyć terminu z dziedziny polityki, to można powiedzieć że mechanizm przemieszczenia celów nadaje organizacji charakter reakcyjny.

Każda twórczość zawiera element innowacji, zmiany. Twórca uwikłany w system organizacji biurokratycznej zostaje zmuszony do zużywania znacznej części swojej energii na pokonywanie oporu biurokratycznego. Bardzo często po krótkim czasie okazuje się, że brakło już energii na twórczą działalność.

Obok oporu biurokratycznego występuje też z dużą siłą inny czynnik, uniemożliwiający koncentrację energii na celach twórczości. Jest to opór ludzi którzy czują się zagrożeni konkurencją. Sam fakt, że w tej samej instytucji, w tej samej dziedzinie pojawia się i wyrasta ktoś wybitny, odczuwany jest przez środowisko jako niebezpieczeństwo. Żeby zrozumieć mechanizm tej reakcji trzeba sobie uświadomić, jakie procesy selekcji dokonują się przy przechodzeniu na wyższe szczeble hierarchii biurokratycznej, w każdej dziedzinie, oraz jak wielka istnieje dysproporcja między szansą awansu a liczbą czekających na awans.

O awansie decydują dwa kryteria — przydatność jednostki dla grupy na szczycie biurokratycznej hierarchii oraz stopień bezwzględności jednostki w dążeniu do awansu. Talent, pracowitość etc. mają niekiedy pewne znaczenie, ale nigdy nie decydują. (Jest wyjątek — fizyka teoretyczna i matematyka, dziedziny hermetyczne, izolowane od społeczeństwa. Choć i tutaj bywa, że odwołuje się sezon ochronny — vide afera Instytutu Badań Jądrowych).

Zagrożeni konkurencją są jak amerykańska policja — najpierw strzelają.

Pokonywanie oporu zagrożonych konkurencją pożera resztki energii nie zużytej na walkę z oporem biurokratycznym.

REASUMUJĄC: poza systemem organizacji biurokratycznej skoncentrowanie energii na celu twórczości jest praktycznie niemożliwe. Wewnątrz tego systemu — też nie jest możliwe. W pierwszym przypadku przeszkadza monopol biurokratyczny. W drugim — współczesne czynownictwo w poprawionym, nadwiślańskim wydaniu.

Przedmioty

W drugiej połowie dwudziestego wieku nie zmienia się świata przy pomocy pomysłowych przyrządów zmagistrowanych w starym garażu, choć filmy *science fiction* z uporem eksploatują ten wątek. W większości dziedzin objętych twórczym działaniem człowieka postęp uwarunkowany jest dziś dostępem do wielkich środków materialnych. Nie tylko postęp w technice ale i w bardzo wielu innych dziedzinach.

Jeszcze kilka dziesięcioleci temu jednostka genialna, wyposażona w kilka przyrządów z gimnazjalnego laboratorium przyrodniczego, ołówek i wystarczającą ilość niezapisanego papieru, mogła dokonać przełomu w jakiejś dziedzinie nauki, mogła nawet zmienić całą naszą koncepcję świata materialnego. Dziś ten etap należy do historii. Geniusz z ołówkiem i kartką papieru skazany jest na dreptanie po śladach mniej genialnych może, lecz uzbrojonych w komputery badaczy.

Problemy współczesnego człowieka stały się tak skomplikowane i w tak wielkim stopniu uwarunkowane kulturowo, że dadzą się rozwiązywać w sposób twórczy tylko w dużych zespołach ludzi, wyposażonych w niezmiernie kosztowne urządzenia.

Współczesna Polska ma wiele wspaniałych mózgów, które są praktycznie odcięte od nowoczesnego warsztatu pracy. Każdy rok zwiększa zapóźnienie kraju w stosunku do innych, przodujących krajów świata. Dysproporcja będzie się zwiększać w postępie geometrycznym — genialne koncepcje sprawdza się dziś w Polsce przy pomocy maszynek do liczenia na korbkę, takich jakie na Zachodzie trudno znaleźć na pchlim targu czy na Petticoat Lane.

Uderza w Polsce zjawisko które nie może pomieścić się w głowie człowiekowi już po kilku miesiącach pobytu na Zachodzie. Na każdym kroku brak najprostszych, elementarnych przedmiotów, jakie w bardziej cywilizowanych krajach można dostać na każdym rogu ulicy. Architekci podróżują z miasta do miasta żeby zdobyć jakieś tam kalki, kartony, przyrządy kreślarskie. Całe agregaty w wielkich fabrykach zatrzymują się nagle z braku jakiejś prymitywnej części, której nie wyrabia się w kraju. (Często po kilku tygodniach okazuje się przypadkiem, że zapas takich części leży wśród rupieci przeznaczonych na złom w sąsiedniej fabryce).

Cały kraj jest w wiecznej pogoni za jakimiś przedmiotami, których nigdy nie ma w dostatecznej ilości a jak się je zdobędzie, to się okazuje że są tak kiepskie, że z ledwością można się nimi posłużyć.

Być może nie byłoby w tym nic złego w innych warunkach. Nie jestem absolutnie pewna, że przedmioty są tym właśnie, co może uszczęśliwić człowieka. Faktem jest jednak, że Polska cywilizacja znalazła się na tej samej drodze co kraje Zachodu. A w krajach tych powszechna dostępność w miarę skomplikowanych i niezawodnie działających przedmiotów, narzędzi, jest jednym z warunków przetrwania i postępu.

Polska jest w tej mierze karykaturą Zachodu. Z tryumfem obwieszcza się narodowi postępy urbanizacji, ale w nowych dzielnicach miast ludzie gnieźdzą się odcięci od reszty organizmu miejskiego, z braku dostatecznie sprawnie działających środków komunikacji. Pchnięto kraj na drogę rozwoju motoryzacji poprzez prywatny, indywidualny samochód, ale kto go wreszcie zdobędzie, nie ma dostępu do części zamiennych, warsztatów obsługi itd. Jest to więc motoryzacja fikcyjna, bez żadnego zaplecza techniczne-

go, organizacyjnego i ekonomicznego. (Za to wykazująca się największą chyba na świecie liczbą śmiertelnych ofiar na jeden milion przejechanych kilometrów). W ramach modernizacji polskiego życia pojawiły się ostatnio w polskich sklepach kuchenki turystyczne na gaz-butan. Znakomite. Tylko że nigdzie nie można dostać gazu.

Konsekwencje obiektywnego braku dostatecznej ilości odpowiednio skomplikowanych, funkcjonalnych i porządnie wykonanych przedmiotów potęguje zamieszanie, przypadkowość i bezplanowość w gospodarowaniu tym co udało się wyprodukować czy sprowadzić z zagranicy. To co teraz napiszę nie jest anegdotą lecz faktem, który każdy może łatwo sprawdzić w czasie kilkudniowego pobytu w Warszawie. W partyjnym instytucie doskonalenia kadr kierowniczych zainstalowano przed kilku laty całkiem nowoczesny (wówczas) komputer z importu zachodniego. W każdym innym kraju takie wspaniałe narzędzie pracy oddaje się natychmiast w ręce specjalistów którzy marzyli, by otrzymać wreszcie tę szansę rozwiązania swych problemów. Godzinę przestoju oblicza się jako stratę sięgającą zawrotnych sum. Warszawski komputer miesiącami stał beczynny aż wreszcie znudzony personel zaczął się rozrywać, każąc mu komponować muzykę.

REASUMUJĄC — twórcze działanie w każdej niemal dziedzinie w Polsce współczesnej jest paraliżowane przez brak dostępu do niezbędnych środków materialnych.

Blokada mózgu

Mózg człowieka jest zdolny do rzeczy niesłychanych pod warunkiem, że może pracować swobodnie. W Polsce współczesnej tylko nieliczne jednostki mogą zafundować swojemu mózgowi ten luksus.

Przymus konformizmu w mniejszym lub większym stopniu dotyka niemal wszystkich. Pisałam kiedyś, że jest to czynnik deformujący osobowość ludzi w Polsce na masową skalę. Z równą siłą działa on jako czynnik paraliżujący zdolność twórczego myślenia.

Ulubionym tematem w powieściach z dreszczykiem jest skończony łańdź, wyzuty z wszelkich hamulców i wyposażony w znakomicie działający mózg. Nic z tych rzeczy w Polsce. Człowiek zmuszony do ciągłego czuwania nad swym mózgiem (często zresztą podświadomie) by nie zaprowadził go na niebezpieczne manowce nonkonformizmu, podobny jest do kierowcy sportowego samochodu, który wciska do końca dźwignię gazu, na pierwszym biegu; niszczy doskonałe, precyzyjne narzędzie. Mózg pod presją autokontroli po pewnym czasie przestaje nadawać się do użytku.

Jest to jedna z przyczyn dla których tak zacofane są w Polsce wszystkie niemal dziedziny w których mózg decyduje.

Ameryka uprawia drenaż mózgów. W Polsce co lepsze mózgi wyrzuca się na śmietnik.

Ekwiwalent

Całkowicie bezinteresowna twórcza działalność zdarza się częściej niż sądzą cynicy, nie tylko w dziedzinie sztuki i nauki. Ale w skali społecznej, tam gdzie decydują wielkie liczby, istotny jest procent urzeczywistnionego potencjału twórczego. Tu działa między innymi pewna prawidłowość, której nie można pominąć milczeniem — że stopień realizacji potencjału twórczego tkwiącego w danym społeczeństwie jest także funkcją społecznego zapotrzebowania, wyrażającego się ekwiwalentem ofiarowywanym twórcom.

Poza nielicznymi wyjątkami (artyści zdobywający powodzenie w świecie) ekwiwalent ten jest odwrotnie proporcjonalny do ilości i jakości twórczego wysiłku.

Jeśli na przykład technik chce zabezpieczyć sobie w miarę dostatni byt, zaspokajać swe zróżnicowane potrzeby, podróżować etc., to zaangażowanie się w twórczą pracę, w nowatorskie przedsięwzięcia, z reguły zaprowadzi go w odwrotnym kierunku. I przeciwnie — jeśli nastawi się na seryjną robotę, na powielanie sztampy, to przy niezbędnej dozie hochsztaplerstwa ma spore szanse powodzenia. Jeśli architekt jeździ porządnym samochodem i buduje sobie domek, to w 99 wypadkach na 100 jest to partacz „odwalający robotę od metra”. Nieskorumpowani geniusze klepią biedę.

Nad Polską od Tatr po Bałtyk unosi się koszarne widmo wszechobecnej i wszechwładnej chałtury, rozwalonej na wszystkich piętrach — w katedrze uniwersyteckiej i w biurze projektów, w instytucie przemysłowym i w krawieckiej spółdzielni pracy.

Z punktu widzenia statystyki ludzie robią to, za co się im płaci. W Polsce nie płaci się dziś ani za dobre pomysły ani za dobrą robotę. Trzeba więc sporej siły charakteru by nie stać się w tym kraju chałturszczykiem. Liczba osobników obdarzonych takim charakterem kształtuje się według krzywej Gaussa. Jest więc ich zawsze dość mało. Większość to średniacy pod każdym względem.

Postać hochsztaplera w dzisiejszej Polsce zasługuje na osobne studium. Osaczeni, stłamszeni twórcy kryją się po kątach areny — powstała w ten sposób pustkę wypełnia tłum hochsztaplerów.

Paulina PREISS

Fragment z dziennika

XI. ZAKOŃCZENIE

22 kwietnia 1968 dobiłem do Europy, w Barcelonie. Następnego dnia pędziłem Mistralem z Cannes do Paryża. Wysiadłem na Gare de Lyon i ja, anonimowy Gombrowicz argentyński, wcieliłem się bez trudu w Gombrowicza-pisarza, który tu po cichu dojrzewał już od dość dawna i czekał na mnie.

Ale okno otwierałem w moim hotelowym pokoiku, niedaleko Opery... bo brakowało mi powietrza, coraz gorzej było z oddychaniem.

Nie wiedziałem dotąd dokładnie dlaczego rozstanie z Argentiną było takie rozzdzierające. Teraz zaczynałem rozumieć. Europa, dla mnie, to była śmierć. Ten powrót mi mówił: już się stałeś. Jesteś skończony.

Berlin. Dotarłem na koniec do miejsca demonicznego, które i mnie ongiś zrujnowało. Wytrzymałem w Berlinie rok okrągły z wątpliwym uśmiechem na ustach, o krok od Polski, ściszony i spopielały. Grypa. Była to grypka niewielka, z małą gorączką, ale lekarz mi mówi, niech pan przeniesie się na kilka dni do kliniki, łatwiej mi będzie pana leczyć, więc ja dwudziestego drugiego lutego (dwa) 1964-go (suma cyfr 20) przenoszę się do kliniki. Na parę dni? Na dwa miesiące. Ta grypka maleńka nie chciała ustąpić, nie jedna a cztery grypy przewinęły się przeze mnie, skombinowane z innymi przypadłościami, wreszcie struty antybiotykami — 20 kilo straciłem — wyfrunąłem do Francji, ledwie żywy.

Po paromiesięcznym pobycie w Royaumont pod Paryżem, w Vence zamieszkałem na zboczach Alpes Maritimes, nad morzem, między Cannes a Niceą.

Powoli wracałem do sił. Argentyńskie biedowanie się skończy-

ło. Mój dochód miesięczny przekroczył wreszcie sto pięćdziesiąt dolarów. Słoneczny zachód, piękna jesień, obfity plon. Coraz więcej wydań w obcych językach, *Prix International de Litterature*. Wygody. mieszkanko, samochodzik; kobieta, życie rodzinne... Tak, otom „pisarz”, przekroczywszy sześćdziesiątkę mogłem powiedzieć o sobie co normalny student mówi po uzyskaniu dyplomu lekarza, inżyniera: jestem kimś, zrobiłem siebie.

Cóż kiedy Ręka (która wydobyła mnie z wojny i wsadziła w Argentynę) sprawiła że te smakołyki mogłem lizać tylko przez szybkość... Szybkość zrobioną z braku... z braku powietrza. Ręka zmusiła mnie do ascezy i przyjąłem to bez protestu, przeświadczenie że moja literatura nie może mi dostarczyć materialnych korzyści było we mnie zakorzenione od samego początku; nie liczyłem na to.



OPERETKA. — *Kosmos* wykończyłem już w Vence. Trzeci tom *Dziennika* (lata 1961-66) ukazał się po polsku (ale nie w Polsce, gdzie wciąż jestem na indeksie). Ku memu zdziwieniu moje sztuki teatralne, pущzone w ruch przez Lavellego w Paryżu, przedostały się na inne sceny i wcale nieźle zaczęły dawać sobie rady. Wyciągnąłem tedy bruliony *Operetki*, sztuki którą zacząłem pisać kiedy jeszcze w banku pracowałem — i zarzuciłem — potem znów się z nią użerałem w Tandilu — i znów odłożyłem...

Rafą o którą rozbijały się moje wysiłki było, że styl operetkowy, bosko idiotyczny i doskonale sklerotyczny, jak wszystkie monumentalne i skryształizowane style nie toleruje niczego co by w nim nie mieściło się bez reszty. W operetce postacie muszą być operetkowe, akcja operetkowa, świat operetkowy, mity operetkowe, a ja usiłowałem władować w nią za dużo. Dopiero więc gdy te treści zawarł w metaforach ściśle operetkowych, jak strój, rewia mód, wszystko bardziej składnie mi się zamknęło.

Operetka jeszcze nie przedostała się do teatru, tłumaczenia jeszcze nie są ukończone. Ci, co ją czytali, rozmaicie mówią: jedni, że okrutne i tragiczne, drudzy, że wypełnione optymistyczną wiarą w odżywającą nieskończenie nagą ludzkość młodość.



POLITYKA. — Wie pan, otrzymałem list od jednego z moich przyjaciół, pełen oburzenia, że *Operetka* jest antylewicowa, czyli prawicowa! Pierwszy raz zdarza mi się coś takiego, nigdy jak dotąd moje dzieła nie były interpretowane w sensie politycznym... przynajmniej na Zachodzie. *Operetka* nie jest naturalnie

ani z prawa, ani z lewa, jest — na to zgoda — proklamacją bankructwa wszelkiej ideologii politycznej, bankructwa *stroju*.

R.: — Czy jednak pan rzeczywiście jest apolityczny?

G.: — Jako artysta? Jakżeby sztuka mogła być polityczna? Chce pan żeby posąg Fidiasza wygłosił mowę przeciw imperializmowi, żeby mozartowska symfonia podpisywała protesty, żeby Gioconda zabrała głos w sprawie murzyńskiej? Zostawcie w spokoju garstkę wizjonerów, marzycieli, poetów, niech robią swoje. Stać ludzkość, mimo wszystko, na alpinistów i nikt nie wymaga żeby taki sportowiec ze szczytu Mont Blanc wypowiadał się za rewolucją, albo przeciw. Zezwólcie więc garstce artystów żeby po swojemu wyłaziła na szczyty, z których widok jest rozległy, zamglony i raczej *sub specie aeternitatis*.

Zostawmy artystę sam na sam z utworem. Bądźmy dyskretni. Sztuka to przedsięwzięcie delikatne, które dokonuje się po ciemku.

R.: — Ale przecież pan nie jest zwolennikiem czystej sztuki.

G.: — To prawda. Jako literat nie bardzo mam prawo powoływać się na Giocondę, lub Mozarta, gdyż — zgoda — literatura jest sztuką nieczystą, człowiek wypowiada się w słowie obszerniej, to wykracza poza czystą formę. Jednakże literatura jest także sztuką; i trzeba jednak oddać, co boskiego, Bogu, a dopiero reszta jest dla Cezara.

Jeśli czyjeś pióro artystyczne zabłądzi na tereny ideologii politycznej, to raczej nie znajdzie we mnie czytelnika (wolę w tym wypadku traktat, rozprawę, zwykłe rozumowanie), ale niech tam, nie mam ostatecznie nic przeciwko temu. Gdyby mnie samemu coś takiego się zdarzyło, czułbym się zubożony w tym co mam najbardziej własnego i najsilniejszego, w mojej prywatnej autonomii. Jeśli literatura piękna nie jest czystą sztuką, to jest jednak głosem jednostki, indywiduum, człowieka prywatnego. Wielkie to i wspaniałe urządzenie że każdemu wystarczy pióro i kawałek papieru by pisać co mu się spodoba — we własnym tylko imieniu — na własny rachunek — dla własnej satysfakcji — bez żadnych kodeksów, uzależnień, ograniczeń. Ba! Nikt lepiej ode mnie nie wie, jak zwodnicza jest ta niezależność, ale mimo wszystko to jeszcze najbardziej zbliża nas do naszej prywatnej rzeczywistości. I w społeczeństwie, któreby skasowało wolność i dowolność literatury, nikt by po prostu nie wiedział co się w człowieku prywatnym, pojedynczym, dzieje.

R.: — Pięknie. To dotyczy pana, jako literata. Ale jako człowiek? Przecież musi pan mieć jakieś przekonania polityczne.

G.: — Owszem, jak każdy dyletant mam swoje dyletanckie opinie. Jednemu wydaje się że prawica lepsza, drugiemu że lewica, no więc mnie również coś tam się zdaje.

R.: — Właśnie. Więc?

G.: — Umieszczam siebie na skrajnej lewicy.

R.: — Pan? O ile wiem, jest pan wrogiem komunizmu.

G.: — Jestem po stronie proletariatu i tylko dlatego jestem wrogiem komunizmu. Mówię to szczerze i jak najpoważniej.

Jestem ateista, bez przesądów, poza tym filosemita, poza tym autor „awangardowy” i nawet „burzyciel” poniekąd... jakżeż mógłbym być ciasnym konserwatystą? Przez ćwierć wieku żyłem w biedzie i, jeśli idzie o moje osobiste interesy, mógłbym tylko zyskać na przewrocie społecznym, moi koledzy po piórze w socjalistycznych krajach lepiej są urządzeni ode mnie. W mojej obecnej sytuacji nie ma nic co by mnie wiązało z klasą kapitalistyczną. Musiałbym być potworem, gdybym w tych warunkach, ot tak, z czystego upodobania, wolał wyzysk od sprawiedliwości. To może stać się tylko, gdy świadomie lub nieświadomie, wchodzą w grę egoistyczne pobudki, lub gdy się jest w szponach atawistycznych obciążeń.

Och tak, jestem z proletariatem, to jest raczej jestem przeciw niemu, bo żądam żeby znikł z oblicza ziemi! Tylko że... on znika szybciej w krajach kapitalistycznych Zachodu, gdy na Wschodzie masy robotnicze, jak się mrowiły, tak się mrowią, i nie widać żeby w najbliższej przyszłości coś mogło zmienić się na lepsze. Trudno mi wdawać się w zawiłe dyskusje ekonomiczne, do których nie mam przygotowania. Chcę likwidacji hańby, zwanej proletariatem, więc jestem po stronie systemu, który lepiej ją likwiduje.

Łączy mnie z komunistami cel wspólny, a dzieli tylko kwestia wyboru metod. Dlatego nazywam siebie lewicowcem. I, jeśli byśmy komunistę określili jako człowieka pragnącego znieść wyzysk klasowy, to najskrajniejszy konserwatysta może być uznany za komunistę, gdy szczerze wierzy że ostrożna polityka zachowawcza lepiej przysłuży się temu celowi niż rujnujące i okrutne rewolucje.

To żeby wykazać względność pojęcia „lewica”.

Poza tym... Jeśli Freud i Marks wiele zdemaskowali, to czyż nie należałoby dzisiaj zajrzeć za parawan zjawiska, zwanego lewicą? Mnie razi że lewica staje się zbyt często parawanem dla nader liberalnych i zgoła egoistyczno-imperialistycznych osobistych interesów. Polityk zainteresowany w swojej karierze, pisarz pragnący aby jego słowo lepiej dźwięczało, gazeta świadoma że opozycja przynosi większe nakłady, młodzieniec pragnący wyładować wrodzoną burzliwość... czyż nie będą w sposób naturalny ciążyć ku lewicy? Socjalizm staje się narzędziem w rękach skrytego za nim liberalizmu. Mnie liberalizm, jako taki, nie przeraża, ale mistyfikacja na zbyt wielką skalę tak... Dlatego myślę, że uczciwi ludzie lewicy powinni ją pod tym względem skontrolować, Pora na zba-

danie nie tylko uwarunkowań świadomości rekinów kapitalizmu, ale i studenta, który wyzywa się na wiecu.

Ale ja na pewno tej roli się nie podejmę. Jestem przeciwnikiem wszelkich ról, a już najbardziej roli pisarza zaangażowanego. Bardzo mi przykro, tutaj naprawdę nie mogę się przydać. I zbyt silne jest we mnie przekonanie że już niezadługo nauka i technika zdmuchną nam sprzed nosa cały ten rozłam na prawicę i lewicę, i postawią wobec innych zgoła zagadnień.

Polityka? Moja polityka, to osłabienie form — obojętne, czy z prawa, czy z lewa.



FRANCJA. — Pyta pan, czy dobrze się czuję we Francji. Owszem. Jakżeby nie! Francja nie jest krajem w stylu zamkniętym, tu się żyje formą, tu się ją stwarza. A jednocześnie nikt nie jest bardziej umiętny od Francuza w podważaniu i rozluźnianiu formy, obojętne, żartem czy powagą. Ja więc wcale nieźle się czuję we Francji. Ale, powiedziałbym, czuję się jeszcze lepiej ponieważ Francja — może raczej Paryż — jest w samym centrum kryzysu formy, który przeżywamy i tu wszystkie jej schorzenia stają się najjaskrawsze i najbardziej irytujące. Paryż mnie drażni, a to także zdrowe, zwłaszcza dla ludzi w pewnym wieku. Wie pan, o ile dawni wasi artyści i pisarze są dla mnie niezrównaną witalną, o tyle najnowsza literatura francuska mogłaby dla mnie nie istnieć. Nie tylko francuska zresztą; ale przede wszystkim francuska.

Sartre, wybitny Francuz, jest chyba niezłą ilustracją tego co nazywam kryzysem formalnym Francji... przynajmniej jeśli idzie o linię kartezjańską waszego rozwoju. Gdy się czyta „Byt i Nicłość” odnosi się wrażenie, które dają tylko twórcze dzieła, że książka celuje akurat w ciebie, ciebie ma na oku... i ja natychmiast siebie w niej odkryłem, gdy mi wpadła w ręce tam, w Argentynie. Ten „byt dla siebie” wywodzący się wprost z Kartezjusza, nie jestże najbardziej radykalnym postawieniem problemu Formy?

Subiektywizm, nicość i wolność, stwarzanie wartości... czyż to nie jest właśnie dystans do formy? I czyż nie jest zachwycające, że egzystencjalne dążenie Sartre’a do konkretności (u mnie: do rzeczywistości) jest tragicznie rozdwojone, rozłamane, tym słówkiem „dla” i przepojone dystansem, Nicością? Człowieka, wynikałoby z tego, trzeba szukać poza formą. A znów „byt dla innych” czyż nie jest równie radykalnym stwierdzeniem że jesteśmy obiektem czyjejś formy, że jesteśmy deformowani przez formę? Oto czemu (i także z wielu innych przyczyn) Sartre wydał mi się kodyfikatorem moich własnych odczuć. Ale na dalszych stronach tego dzieła jakież rozczarowanie! Gdyż Sartre, doprowadziwszy swojego

człowieka do tak radykalnej wolności, kompromitującej wszelki kształt (gdzie byt w sferze „dla siebie” jest już tylko stwarzaniem bytu) wycofuje się nagle z subiektywizmu i dalsza droga jego myśli to już narzucanie człowiekowi coraz ściślejszych norm, to zamykanie go w jeszcze jednym, jakże określonym, kształcie. Ba! Poczujęm się prawie jak Husserl wobec „fatalnego zwrotu” Descartes’a, gdy filozofia kartezjuszowa dała susa w stronę Boga i świata. Czyżby po raz drugi kartezjanizmowi francuskiemu zdarzyła się ta sama przygoda: zdradził siebie, przerażony sobą?

Z mojego punktu widzenia w kartezjanizmie tkwi zarówno możliwość formy, jak i dystansu do formy, możliwość radykalnego subiektywizmu, jak i najbardziej suchego rygoru obiektywnego. Obie te tendencje wyznaczają żywą dialektykę duszy francuskiej. Dlatego gdy Sartre zbacza z tej drogi, gdy daje się wciągnąć jednostronnie w system, w kodeks, w formę, gdy *l’Être et le Néant*, nie mówiąc o innych jego pracach, przetwarza się w rodzaj traktatu moralnego, ten jego odwrót staje się tak charakterystyczny dla kryzysu formy we Francji. Istnieje Francuz-logik i Francuz-artysta, Francuz systematyczny i Francuz bezpośredni, Francuz uśmiechnięty i Francuz poważny, Francuz-producent i Francuz-konsument. Poprzez naukę, marksizm i egzystencjalizm zmarksizowany wszystko, co we Francji jest antyartystyczne (bo antysubiektywne) i suche, cerebralne, wykoncypowane, doznało strasznego pobudzenia. A rozluźnienie Francji, ta jej świeżość z Montaigne’a, z Rimbauda, uległa stłumieniu i zahamowaniu.

Francja żyje póki potrzeba formy, jest zrównoważona uchylaniem się formie. Coś się psuje ostatnio w tej głębokiej filuterii francuskiej. Surrealizm, najgwałtowniejszy protest ducha francuskiego, zagrożonego formą, już jest skażony intelektem, spragniony logiki i szukający oparcia w spekulacji myślowej, naukowej i filozoficznej. Najazd nauki na sztukę nie spotkał się z istotnym oporem ponieważ artysta nie potrafił przeciwstawić dostatecznej pasji, namietności, poezji, ani dostatecznie konkretnej rzeczywistości, ani dostatecznego rozbawienia i lekkomyślności. A do tego przyłączyły się wszystkie mechanizmy coraz bardziej zmechanizowanej kultury, dzięki czemu sztuka zaczęła stawać się coraz bardziej sztuczna, poeta coraz bardziej „poetą”, malarz „malarzem”, geniusz „geniuszem” i język wywindowany zapanował tak dalece nad mową swobodną, że dziś w Paryżu nieraz już nie bardzo się wie, co się mówi. Piękność też się wykańcza! Nieraz powracam do pytania, dlaczego tak nie lubię Prousta. To szlafrokowo-frakowa atmosfera jego dzieła mnie odpycha, on ani na moment nie wydobywa się naprawdę ze swego *milieu*, ten męczennik poznał śmierć i cierpienie i zasadzki życia, ale w tym co się tyczy piękności i wdzięku nie zdołał się wyzwolić. Dość miał energii aby

uczynić z Montesquiou Charlusa; ale w sferze estetycznej pozostał do końca wasalem Montesquiou. Jego głębia, ostrość przenikliwość dobrze funkcjonują; ale jego piękności, powaby, uroki, mają zapach perfumy i łóżka, są z choroby i z salonu, są wydelikaczone.

Piękność francuska była, w moim pojęciu, zawsze krucha i w pewnym sensie ryzykowna, gdyż jest bardziej produktem cywilizacji, niż natury. Wersal to, owszem, piękność; ale jakże podejrzana; ocierająca się o śmieszność i brzydotę, bo sztuczna i wyrafinowana. Więc losy piękności francuskiej zależą od tego, czy owym produktom wyższej cywilizacji, sztucznym i zmanierowanym, zdoła oprzeć się lekkość zdolna je wyminąć i nawiązać do najzwyczajszego życia. Pod tym względem bardzo jest pouczające iż jedyna piękność, którą Proust naprawdę uwielbiał, to jest piękność zwyczajnego chłopca, ani razu nie przedostaje się na karty jego dzieła, ani bezpośrednio, ani pośrednio; ta właśnie piękność, najważniejsza, zostaje przemilczana, nie mieści się w stylu. Na przykładzie Sartre'a i Prousta widzimy, jak Francja w myśli swojej i sztuce coraz bardziej oddala się od świeżości swych źródeł. I Francuz, który do niedawna był znany z tego, że chciał się podobać, dziś robi, co może, żeby się nie podobać — przynajmniej w literaturze i sztuce. I ta kultura, najbardziej pobudzająca i odświeżająca w dziejach, staje się coraz bardziej odstręczająca.

Czy Francuz zdoła jeszcze nawiązać styczność bezpośrednią z drugim Francuzem? Czy też będzie się ustawiał wobec produktów własnej swojej i cudzej kultury? To chyba jest najważniejsze. Proszę: ich powieści pisane są nie dla czytelnika, a dla krytyki; ich sztuka jest dla teorii; ich moralność także; nawet ich dążenie do twórczości, spontaniczności i swobody jest premedytowane i poddane regułom.

Surrealizm nie jest ostatnim fajerwerkiem buntu przeciw zsztywnieniu. I dziś nie brak zbuntowanych, rzucających się szaleńczo, niczym ryby wyjęte z wody. Ich hasłem jest bezpośredniość, wolność, twórczość. Ale cóż to za bunt? Cechą tych buntów jest, że są kurczowe, spazmatyczne, brutalne i zimne; i to nie jest żadne rozluźnienie, a tylko dalsze brnięcie w spazm, w skurcz, w coraz większe natężenie.

Brak powietrza. Wszystko się natęża, nic nie folguje.

To mnie fascynuje w dzisiejszej Francji. To zduszenie. To zagrożenie. To jednak jest podniecające.

R.: — Jaki jest pana stosunek do strukturalizmu?

G.: — Oczekiwałem tego pytania. Ależ tak, jestem poniekąd strukturalistą, jak jestem egzystencjalistą. Łączy mnie z nim wspólne przejście się formą. Czyż u mnie osobowość ludzka tworząc się „między ludźmi”, w układach ludzkich, które ją wyznaczają,

nie jest funkcją systemu uzależnień, pokrewnych strukturze? Znajdzie pan w moich rzeczach, jeszcze przed wojną pisanych, zwroty, które teraz weszły do ich języka. Nie dalej szukając proszę przypomnieć sobie cytaty z *Ferdydurke*, na który powołałem się w jednej z poprzednich naszych rozmów, gdzie radzę abyśmy zamiast „ja wierzę, czuję, myślę, mówię” wyrażali się raczej „mnie się wierzy, czuje, myśli, mówi”.

Albo w *Ślubie* Henryk: „to nie my mówimy słowa, to słowa nas mówią”. Przypadkowe zbieżności? Nie. Świat ich jest nieomal moim światem. Nieomal. Gdyż jest też ich przeciwieństwem.

Wiecznie ta sama wojna z nauką. Strukturalizm wyrasta z etnologii, lingwistyki, matematyki, nawet w najszerszym ujęciu, jak u Foucaulta, jest epistemologią. A mój, artystyczny, jest z ulicy i z codziennej rzeczywistości, jest praktyczny. I będąc praktyczny, jest też zaprawiony lękiem i namiętnością, oni wykrywają Formę na zimno, a ja na gorąco, ja się jej boję! I ja się nią bawię!

Powiem szczerze, choć może będzie mi to poczytane za chęć upieczenia własnej pieczeni przy ich zimnym ogniu: fakt że dotąd żaden z tych uczonych nie rzucił nawet przelotnie okiem na moje utwory, wydaje mi się niedopatrzaniem; gdyż moja literatura nie jest wtórnym wytworem strukturalizmu (jak to się dziś zdarza), ale czymś samorodnym, powstałym z dala i niezależnie od tej szkoły, jest dojściem do podobnych ujęć z innej pozycji, w innym duchu, z innych doświadczeń, na innym planie. I, jeśliby przyjąć że to we mnie nie jest skłamane, lecz autentyczne, to przecież dla ludzi nauki nie powinno być obojętne że człowiek sztuki posuwa się w tym samym kierunku niczym pasażer pociągu na osobnym torze.

Ale to, co nas dzieli, jest silniejsze niż to, co nas łączy. Ja, człowiek prywatny i konkretny, nienawidzę struktur i jeśli po swojemu wykrywam formę, to żeby się bronić!



G.: — Uff! Te *entretiens* zabrały jednak więcej czasu, niż przewidywaaliśmy. Zawsze tak bywa.

R.: — I jeszcze sporo roboty z przetłumaczeniem i korektą ustępów, które pan wolał po polsku dyktować.

G.: — Rola pana nie była łatwa. Bo i moja francuszczyzna daleka jest od doskonałości i niektóre moje utwory jeszcze nie przetłumaczone nie są panu znane. Bardzo jestem wdzięczny, że pan dał mi się wypowiedzieć swobodnie. Zamiast prowadzić mnie za rękę, tylko od czasu do czasu dawał mi pan lekkiego prztyczka bym nie oddalał się zanadto od tematów, które należało omówić.

Jeszcze tylko kilka słów, ot, dla ostrożności, żeby się zabezpieczyć. I próba bilansu.

◆

SKROMNOŚĆ I NIESKROMNOŚĆ. — Muszę przeprosić czytelnika że nie zdołałem ani w przybliżeniu oddać wielkości, potęgi, majestatu, grozy, mojego życia. Oczywiście życie moje, jak życie każdego człowieka, jest sto razy bardziej olbrzymie. Wybaczcie nadmierną SKROMNOŚĆ, która do tak skromnych doprowadziła rezultatów.

Muszę też przeprosić za moją NIESKROMNOŚĆ. Albowiem wysmażyłem coś w rodzaju *VIE ROMANCÉE*, upiększając, dramatyzując szarość i nikłość mojego życia. To żeby nie nudzić czytelnika. Te „rozmowy” przeznaczone są dla szerszej publiczności, chciałem żeby były przystępne i, o ile to możliwe, barwne.

Jeśli mi ktoś powiedział że UDAJĘ GENIUSZA (nie przypuszczam aby to mogło się zdarzyć, ale nie jest całkowicie wykluczone) odpowiem, że na zarzuty zbyt głupie się nie odpowiada.

◆

PRAWDA. — Nie sądzę, mimo wszystko, abym zanadto oddalił się od prawdy.

Wiem, nic niebezpieczniejszego niż takie oprowadzanie po własnych utworach. Sztuka jest zawsze *czymś więcej* i właśnie w tym, co przekracza interpretację, jest najbardziej sobą. Zacieśniłem ją, zubożyłem... ale autor tak źle czytany, jak ja, niewiele ma do stracenia. Ta książeczka może być pożytecznym przewodnikiem, ale nie trzeba od niej za dużo wymagać. Największą jej wadą jest chyba, że koncentrując się na formie, niedość wprowadza w inną moją sferę, w Niedojrzałość.

Przyznam się nawet: podczas tego dialogu towarzyszyło mi ciągle wrażenie że moje utwory dzieją się zupełnie gdzie indziej. Chcę powiedzieć: gdyby one miały służyć wyłącznie tej wizji człowieka i świata, musiałyby być napisane nieco inaczej. Owszem, ta wizja w nich się zawiera, ale one nie po to zostały napisane, moje pisanie jest grą, jest pozbawione intencji, planu, zamierzenia. Dlatego nie tak łatwo wyłuskać z niego schemat ideowy. To schemat, powtarzam, *ex post*.

◆

BILANS. — Ile stron zapisałem w ciągu mojego życia? Niecałe 3.000. Jaki rezultat, jeśli idzie o mnie osobiście? Przypominam, zacząłem od tego, w tych naszych *Entretiens*, że chcę zwię-

zać moją literaturę z moim życiem. Co więc mi dały te zapisane strony?

Co? Prawie się wstydzę. Moje zamachy na formę do czegoż mnie doprowadziły? Do formy właśnie. Tak długo ją rozbijałem, aż stałem się pisarzem, którego tematem jest forma — oto mój kształt i moja definicja. I dzisiaj ja, prywatny, żywy, jestem służą tego oficjalnego Gombrowicza, tego którego zrobiłem. Mogę już tylko *dopowiadać*. Moje dawniejsze fermenty, gaffy, dysonanse, ta cała niedojrzałość męcząca... gdzież to jest? Na starość życie stało mi się łatwiejsze. Manewruję wcale zręcznie mymi sprzecznościami, głos mój się ustalił, tak, tak, mam już moje miejsce, funkcję, jestem służą. Czyim? Gombrowicza.

Czy mój bunt dawniejszy ożyje w czyjejs młodej, zdobywczej wyobraźni? Nie wiem. Ale ja? Czy zdołam zbuntować się jeszcze raz, na stare lata, tym razem przeciw niemu, Gombrowiczowi? Wcale nie jestem tego pewny. Przemyśliwam nad rozmaitymi podstępami by wydostać się spod tej tyranii, ale choroba i wiek mnie osłabiły. Odrzucić precz Gombrowicza, skompromitować go, zniszczyć, tak, to byłoby ożywiające... ale najtrudniej walczyć z własną skorupą.

Powrócić do prapoczątku, skryć się znowu w gąszczu owej Niedojrzałości wstępnej (która, obok Formy, była i jest naczelnym moim hasłem; ale o której mało w tych dialogach, bo o tym trudno mówić, bo tego już trzeba szukać w żywym organizmie — jeśli on żywy — moich utworów artystycznych).

Zbuntować się? Ale jak? Ja? Służą?

Witold GOMBROWICZ

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Tryptyk o zamordowanym kościel

I. ŚWIĘTY ANDRZEJ U SCYTÓW

*Więc znów powierzasz się spienionym grzbietom
ciepłych egejskich fal, biała pławaczko!
Chryzmą pierwszeństwa naznaczony, Protokletos,
wydeptał swym sandałem Kolchidę i Argos,
Epir i Trację... Wiatr płonącym wargom
porywał słowa i rosły na wiatrach.*

*A on już słyszał jak powolny hebel
wygładza belki, jak się sznur wypłata,
na którym go powłoką...*

*Aż w achajskim Patras
wysoko wstanie pod milczącym niebem
ów dziwny krzyż na skos
Crux decussata.*

Jeszcze nie jutro, jeszcze ma czas.

*To południowe wiatry wieją,
łódź zakręca jak powolna tanecznicza,
Mleczna Droga prowadzi ku Hiperborejom,
stony oddech płuć nasycza,
morze wzbiera falą dziewiątą.
Chór daleki po imieniu woła,
ptak nad głową pierwszy znak mu przyniósł.*

*I podkłada się pod sandał Apostoła
rozbuśtany Pontus
Euxinus.*

*Nie zdążył wylądować, a już ramionami zagarnia
nowe ziemie, co w mroku ciężko dymią.
I przesuwą w palcach jak różańca ziarna
dźwięki dotąd nieznanych mu imion.*

*Zanim wspinać się zacznie rzekami
ku stepom i borom,
najpierw stopę postawi w przystani —
słyszał o niej:
Portus Symbolorum.*

*Pantykapea mu się pokłoni,
od Kimmerionu
przycwatają stada dzikich koni,
dym ofiarnych ognisk w stepie się przyczai,
kiedy z garścią zboża w zanadru
wolno idzie sługa Boży, Andrzej,
nad Borysten i cichy Tanais.*



*Między w blachy spizowe przyodzianym ludem,
coraz głębiej w mrok Kimmerii, do źródeł
rzek, co w puszczach i bagnach się lęgną,
gdzie nie tylko step w koczowniczych kopytach,
lecz i ktoś na monetach zakwita,
szedł ku coraz dalszym widnokręgom.*

*Księgę zaklęć otwórz i czytaj,
chroń nas swoją potęgą!*

*Księżyc krwią napęczniał i wiatr dziś niedobry,
znów panoszą się Pieczyngowie i Obry,
znowu chański zatknięto buńczuk.
Zanim trąba archanielska na Sąd was wywoła,
biegnijcie do stóp Apostoła,
pod prawicę jego opiekuńczą.*

*W najpiękniejszej ze wszystkich legend,
ze wzruszeniem i nadzieją odczytanej,
idą święci żeglarze brzegiem*

*krzyż zatykać nad scytyjskim kurhanem;
zlatują skrzydła ku stepowych koni grzbietom,
odmładzają się usta poetom,
a on wraca
by obalać wystawione przez pogan
bałwany...*

Protokletos!
Który pierwszy od Boga
wezwany!

II. METROPOLITA SZEPTYCKI

Wiek XIX zwolna się przesila.

*W kinkietach jeszcze płonie gaz, lecz już Edison
rozżarzył w drutach elektryczność
i światło sptywa ku lśniącym kirysom,
na wosk parkietów, na majestatyczną
próchnicę tronów i trupich dynastyj.*

*Dzwonią ostrogi. Stary Schönbrunn zastygł
w habsburskiej chwale, co nie wie, że jutra
nie przetrwa. Bale, parady, w teatrów
złoczonych łóżach brylanty i futra;
piękna epoka, choć trądem przeżarta,
niejednych jeszcze swym uśmiechem zwabi.*

*A przez salony idzie młody hrabicz —
cóż zechce wybrać? Czy szamerowany
mundur, czy może z cesarsko-królewskiej
łaski najwyższy urząd? Ciężkie
szale nim zadrzą, świat ledwie poznany
woła go, pokus przyzywa tysiącem...*

*Jak to jest, gdy o młode serce nagle trąca
laska proroka i wygodnie ścieląca się ścieżka
staje się Drogą Krzyżową? Gdy Słowo,
niegdyś na ugór rzucone, na zawsze zamieszka
pod językiem bolesnym...*

*Tak się spodobało Panu,
że hrabicz leży krzyżem w celi Bazylianów,*

*a potem pod kłobukiem, łzami matki szytym,
zacznie pukać do bramy zatrzaśniętej
dziejów...*

*Szykuj na nowo skrzydlate okręty
imiennikowi z pomocą,
Apostole, święty Andrzeju!*

*By powiązać rozłączone ręce,
przylatujcie duchy, gdziekolwiek jesteście!
Biały gołąb szybuje nad Florencję,
mocne spiżę zanoszą się nad Brześciem.
Oto żywot swój w legendę przekuł:
— Jak odrobić przekleństwo tylu wieków,
jak naprzeciw walkom bratobójczym
wyjść i uzdrawiać, i uczyć
i Anioła obudzić w człowieku?!*

*Niebo od Wschodu gore,
krwawe gwiazdy układają się w wieniec.
Zbrodniarz skrada się polem,
kłusownik — borem,
wicher chmury skłębione żenie.*

*On wciąż bije w bramy dziejów z uporem,
opętany nienasyceniec!*

*Próżno w ziemię zatknięty twój posoch
Nie rozkwitnie laską Aarona!
Znów twój lud ku cierniowym losom,
znowu krew apostolska na ramionach
pohańbionego krzyża.
Już się horda pogańska przybliża
i żywota pod jej mieczem dokonasz.*

*Pierzchają trwożne owce, gdy odchodzi pasterz,
kościół spalony i lud zniewolony.
Nadaremnie nad twoim miastem,
już przykrytym skrzydłem żałoby,
na alarm wzywają dzwony...*

*Kto po tobie weźmie ten kłobuk,
jak uniknąć mu
męczeńskiej korony?!*

III. HALICKIEMU WŁADYCE

*Te pieśni już wtopione w anielską orkiestrę,
te wzgórza, które niebu ścielą się pod stopy...
Gdzież to było? Nad świętym Jordanem, nad Dniestrem,
w śnie, za naszą pamięcią, za najdalszym światem?
Dawno, zanim synowie gwałconej Europy
jeli się czołgać do złoconych strzemion.
Zanim konie tatarskie pod buńczukiem kosmatym
nie stratawały cię, ziemio!*

*Zapomniano o tobie,
nie masz miejsca w żadnym z rachunków,
dzwony nad Tybrem nie pędzą ku alarmom.
Nie postawiono krzyża na twym grobie.
Pod pieczęcią judaszowego pocałunku
zwiąły wargi
i w żrenicach czarno.*

*Byłaś córką najmłodszą,
mówili, że najbardziej umiłowaną.
A wydano cię katowskim ostrzom,
herodowym wydano hetmanom.*

*Święty Andrzej, twój apostoł najpierwszy
znów ramiona rozłożył
krzyżującym go po raz drugi poganom.*

*Święty Andrzej, który był pierwszym wezwanym,
który przybył zza morza,
by nawracać
mlekiem kobylic żywiących się Scytów,
tylko on rozerwie kajdany,
tylko on rozpali złoty pożar,
aby stał się zarzewiem świtu.*



*Uhonorowano, władko, twój kłobuk,
uhonorowano twój posoch,
wygładzono ci blizny rzymskim balsamem.
Ale twój lud — oddany grobom,
ale nasz gniew — ogniem ku włosom,*

*ale te usta kłamliwe,
które codziennie powtarzają — Amen, Amen —
splugawione w nieczystych szeptach,
te usta,
te usta świętokradcze!
Moją ziemię, jak i twoją szatan podeptał,
więc tym bardziej
twojej sprawie świadczę.*

*Władzko pomordowanych,
władzko zgnojonych w łagrach,
władzko kościoła wpędzonego do katakumb,
jakaż cena na twoje kajdany,
jaką kartę dyplomata zagra
z szalbierzami spod diabelskich znaków?*

*Zrywa się wichr.
Wyrzywa z wnętrzości ziemi stare trumny.
Pergaminów nie pieczętuje, bo żywił.
Torturowano ich, mordowano ich...
Wstań, jeśliś wolny, jeśliś dumny,
krzyknij:*

— Wasze drogi i usta się krzywią!

*Władzko, podnieś swój posoch,
trzaśnij kłutwą po purpurach i fioletach.
Niech załona w świątyni się rozedrze!
Umęczeni w powietrzu się niosą,
rozstrzelani grają na swych kości fletach,
na nich stanąć odnowionej katedrze!*

*Ku Wschodowi
leci ten wiersz schrypniętym krzykiem,
każde słowo rozdartą raną.
Żeby wskrzesić,
wojującego Chrystusa żeby wskrzesić!
Przeciw szatanom i ich poplecznikom,
przeciw nazbyt układnym kapłanom:*

*— Otcze nasz
iżes jesi
na nebesi!*

Józef ŁOBODOWSKI

Drogi pisarzy

„Wszystko jest u Kafki — powiedział mi poznany w Rzymie pisarz czechosłowacki, który wraca do Pragi. — Niech pan przeczyta *Stary zapis*”.

Jest to dwustronicowe opowiadanie z cyklu *Lekarz wiejski* (1919), napisane w formie kartki ze starej kroniki. Zaczyna się tak:

„Jak się zdaje, zaniedbaliśmy obronę naszego kraju. Nie zajmowaliśmy się nią dotychczas, pochłonięci naszą codzienną pracą. Ale ostatnie wypadki budzą w nas niepokój. Mam zakład szewski na placu, naprzeciw Pałacu Imperialnego. Ledwie go otworzyłem wczesnym ranem, widzę że wszystkie ulice prowadzące na plac są pełne wojska. Nie są to nasi żołnierze, lecz koczownicy z północy. Nie wiadomo jak im się udało dotrzeć do naszej stolicy, tak odległej od granic. W każdym razie są tutaj, jest ich coraz więcej... Nie znają naszego języka, nie jest też pewne czy posiadają własny. Nie rozumieją naszych obyczajów i instytucji, nie interesują się nimi zresztą”.

Obozują pod gołym niebem, traktują miasto, trudnią się bez przerwy płądrowaniem. W oknie Pałacu Imperialnego tylko na krótką chwilę ukazała się głowa Imperatora i natychmiast znikła.

„Wszyscy zadajemy sobie pytanie: jak to się skończy, jak długo potrwają nasze udręki? Pałac Imperialny przyciągnął koczowników, lecz nie jest zdolny ich odpędzić. Brama jest zamknięta; wartownik, który dawniej pilnował Pałacu, ukrywa się teraz za zakratowanym oknem. W nasze, rzemieślników i kupców, ręce złożono ocalenie ojczyzny, nie czujemy się jednak na wysokości podobnego zadania i nie twierdziliśmy nigdy że potrafimy się z niego wywiązać. To nieporozumienie zaprowadzi nas do ruiny”.

Pisarze czechosłowaccy, promotorzy „praskiej wiosny” i „nowego kursu” których inwazja „koczowników z północy” wygnała z kraju, wracają do Pragi by Pałac Imperialny nie stał się w oczach bezradnych „rzemieślników i kupców” pomnikiem milczenia i definitywnej już bezradności. Pavel Kohout, młody dramaturg i współautor Manifestu Czterech S, wyjaśnia dlaczego wraca:

„Żyjemy i pracujemy wśród nierozwiązalnych na pozór sprzeczności, które muszą jednak być rozwiązane. Świat przygląda nam się ze zrozumiałym sceptycyzmem, nie po raz pierwszy uważa nas za przegranych. A tymczasem istniejemy i reprezentujemy siłę, której nie należy lekceważyć: siłę milionów ludzi związanych ze sobą wspólną wolą. Dlatego rośnie codziennie liczba tych, którzy wbrew wszystkiemu wracają. Wracają, bo ich los jest organiczną częścią losu ich kraju. Zmieniły się warunki w jakich wypadnie im działać, ale nie zmieniły się ich poglądy. Wracają by szukać nowych dróg wiodących do tego samego celu: do uwolnienia człowieka od nędzy, od strachu, od przemocy”.

Nie ma powodu wątpić, że Kohout przemyslał dokładnie swoją decyzję; nie ma także powodu wątpić, że równie dokładnie przemysleli swoją decyzję ci którzy nie wracają. Co więcej, odnosi się wrażenie wspólnie przez obie strony uzgodnionego planu działania.

Vaclav Pelisek pisze:

„Ludvik Vesely wyjaśnił dlaczego nie może wrócić do Czechosłowacji, i ma oczywiście rację. Pavel Kohout wyjaśnia dlaczego wraca, i też ma naturalnie rację”. „Nasze pragnienie powrotu — dodaje Pelisek — jest ogromne. Ale nie brak dowodów, że intelektualista godny tego miana może służyć swemu krajowi również poza zasięgiem sieci zastawionej na niego w Pradze przez policjantów Brezniewa”.

Pelisek sądzi, że dopiero w razie całkowitego rozgromienia ekipy Dubczeka rozpocznie się „czwarta fala czechosłowackiej emigracji politycznej w naszym stuleciu”; czwarta po wkroczeniu Niemców w roku 1938, po praskim zamachu stanu w lutym 1948 roku i po tegorocznej inwazji sierpniowej.

Uderza tu i zastanawia, zważywszy że chodzi przeważnie o pisarzy komunistycznych (jest nim też sam Pelisek), „rehabilitacja” fali emigracyjnej z roku 1948. I ona należy obecnie do „historii Czechosłowacji w naszym stuleciu”, na równi z emigracjami politycznymi po agresji Hitlera i po napaści pięciu państw Paktu Warszawskiego. Jest to duży krok naprzód, który będzie miał zapewne ważne następstwa nie tylko w Czechosłowacji. Dotychczas rządowi komunistycznym udało się w jakiejś mierze połączyć — często nawet w umysłach swych nie komunistycznych poddanych — pojęcie emigrantów politycznych z krajów komunistycznych z pogardliwą sztancą „śmietnika historii”. Teraz na tym „śmietniku historii” pojawiają się komunistyczni emigranci polityczni, nie wyrzekając się swoich przekonań i swojej wiary w nieco bardziej niż dotąd zawile „wyroki Historii”. Zmieniona nagle perspektywa wpłynie, być może, na zmianę stosunku do znaczenia i celowości emigracji politycznej wśród intelektualistów w innych krajach „bloku”. Skończy się może, na przykład, cała ta uprzykrzona retoryka „Polski leżącej nad Wisłą”, która w większości wypadków maskuje mistyczny prawie nawyk zależności od twardej bo twardej ale jak by nie było Władzy. Istnieją dziś dwie drogi pisarzy czechosłowackich. Jedna z nich opiera się na założeniu, że intelektualista godny tego miana może służyć swemu krajowi również poza zasięgiem „bratniej” czy rodzimej policji.

Przed dwoma z górą laty Mihajlo Mihajlov wszedł świadomie na inną drogę: więzienia we własnym kraju. Alfred Fabre-Luce przypomniał ostatnio *Le Cas Mihajlov* w *Le Monde*:

„Sytuacja w Jugosławii jest zaiste paradoksalna. Pośrednia ofiara reżymu sowieckiego więziona jest przez reżym, który energicznie napiętnował postępowanie ZSSR. Pisarz domagający się wolności słowa pozbawiony zostaje wszelkiej wolności przez szefa państwa, który tego lata zaaprobował w praktyce zniesienie cenzury przez Dubczeka. Tito oklaskiwany gorąco w Pradze, Tito kneblujący usta Mihajlovowi: te dwa obrazy tworzą kontrast. Zagrożenie zewnętrzne — realne czy domniemane — przesłoniło trochę tę sprzeczność. Ale nie przestały być aktualne kwestie postawione przez Mihajlova”.

Mihajlov został skazany po raz pierwszy za „zniesławienie za-przyjaźnionego państwa” w reportażu *Lato moskiewskie 1964*; dziś Tito, mobilizując Jugosłowian i alarmując opinię światową, zajmuje się systematycznie „zniesławianiem” Związku Radzieckiego. Mihajlov został skazany po raz drugi za próbę założenia niezależnego pisma i stronnictwa w ramach swobód gwarantowanych przez konstytucję; dziś w Jugosławii problemem najpilniejszym jest znalezienie jakiejś formy demokratyzacji politycznej, bez której nie ma widoków powodzenia zainicjowana za zgodą Tity reforma gospodarcza. Zamiast o sytuacji paradoksalnej należałoby w wypadku Mihajlova mówić raczej o sytuacji absurdalnej. Absurd jest w ustrojach dyktatorskich zjawiskiem trwałym i upartym, toteż nie wiadomo czy dojdzie do przedterminowego zwolnienia Mihajlova z więzienia. Jeśli nic nie wskórają apele, czekają go jeszcze trzy lata za kratami. Postąpił lekkomyślnie, płacąc latami więzienia za parę godzin demonstracji w Zadarze? Jego gest zyskuje tym więcej na wadze, im większą słuszność przyznaje mu bieg wydarzeń. Zresztą pisarze tacy jak Mihajlov nie znają wyboru dróg, znają tylko drogi jedyne. Nie są w tej prostolinijności osamotnieni. Na procesie Larissy Daniel i Pawła Litwinowa oskarżony wraz z nimi Konstantin Babickij powiedział w swoim ostatnim słowie:

„W całym moim życiu czułem się wolny jedynie podczas trzech minut demonstracji przeciw napaści na Czechosłowację; warto za te trzy minuty wolności zapłacić cenę trzech lat zesłania”.

W więzieniach jugosłowiańskich dozwolona jest lektura *Borby*, Mihajlov więc przeczytał zapewne to oświadczenie wśród innych wiadomości „szkalujących” Związek Radziecki w duchu *Lata moskiewskiego 1964*.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Nowe oświadczenie pisarzy czeskich

My, pisarze prasy, jak zawsze w procesie rozwoju naszej ojczyzny, również i po tegorocznym styczniu oddaliśmy maksimum swych sił, by poprzez postępowe myśli, wprowadzane w życie przez kierownictwo Komunistycznej Partii Czechosłowacji.

Ponownie chcemy przypomnieć, że kursu postyczniowego nie narzuciła krajowi garstka intelektualistów i politycznych awanturników. Badania opinii publicznej, analizy gospodarcze i wstrząsająca rzeczywistość lat pięćdziesiątych świadczą o tym, że jeśli kiedykolwiek socjalizm w Czechosłowacji był zagrożony, to właśnie przed styczniem, w wyniku polityki, jaką przez lata realizował Antonin Novotný i jego towarzysze. Członkowie Komitetu Centralnego partii, którzy w styczniu odwołali go z funkcji pierwszego sekretarza, ratowali partię i państwo przed grożącą katastrofą.

Z dwóch dróg, które narzucają się w czasie podobnego kryzysu, wybrali drogę demokracji na bazie socjalizmu. Wybrali ją ze świadomością, że drugi sposób — wzmocnienie reżymu totalitarnego — oznacza jedynie opóźnienie, w czasie którego bezwzględnie postępuje upadek wartości. Wybrali ją z przekonaniem że kraj, który już dawno pozbył się gospodarki i polityki burżuazyjnej, godzien jest takiej drogi.

Osiem miesięcy od stycznia do sierpnia potwierdziło te przypuszczenia. Charakteryzować ten etap jako okres nadejścia kontrrewolucji oznacza fałszować historię.

Poglądy ekstremistyczne, które zwykle stanowią przejściową reakcję na długi okres braku wolności myśli, nie znalazły podatnego gruntu. W krytyce ludzi odpowiedzialnych za poważne deformacje minionych lat, nie pojawił się cień okrucieństwa z jakim właśnie oni trzymali się u władzy. Nie utworzyła się żadna grupa polityczna, która dążyłaby do oderwania Czechosłowacji ze wspólnoty socjalistycznej, do powrotu do kapitalizmu.

Przeciwnie: znikł letarg, zmęczenie, niepokój. Opowiadanie się za socjalizmem i praca dla niego ponownie miała swój sens.

Wyzwolone mózgi znów zaczęły wydawać energię. Partia komunistyczna ponownie stała się sztabem socjalistycznej rewolucji.

Do tego wszystkiego 21 sierpnia wmieszały się wojska pięciu krajów Układu Warszawskiego. Wmieszały się w sposób, którego nie chce się nawet wspominać. Naród w naszej sytuacji nie może sobie pozwolić na luksus emocji. Tym bardziej jednak nie po-

winien rezygnować z rozumu, bez niego bowiem nie zostałoby mu nic.

Rozum prowadzi nas do wniosku, że po tym tragicznym rozdziale historii ruchu rewolucyjnego nie może nastąpić jeszcze tragiczniejszy rozdział historii samej Czechosłowacji.

Walka lub kompromis — to jest odwieczny problem czeskiej polityki. Kompromis często stawał się jedyną bazą, na której można było rozwijać życie narodowe. Niestety, często był jedynie symbolem kapitulacji, która sprowadziła naród na skraj niebytu.

Naród nie przestanie być wdzięczny politykom, którzy go reprezentowali w sierpniowych dniach, za to, że uczynili wszystko, aby nie dopuścić do bezsensownego przelewania krwi. Ale oni również nie powinni zapominać, że naród swym fantastycznym zdyscyplinowaniem i niespotykanym poparciem stworzył im warunki, dzięki którym w ogóle mogli prowadzić rokowania. Taki naród ma prawo żądać od swoich polityków, aby poprowadzili go dalej, aby w dążeniu do ułatwienia sobie i jemu dnia dzisiejszego nie przegrali jego przyszłości.

Rzeczywista tragedia Czechosłowacji rozpoczęłaby się wtedy, kiedy kompromisy pochłonęły właściwy sens naszych zmagañ, jeśli z procesu demokratyzacji pozostałoby puste słowo.

Kierownictwo naszego państwa i partii oświadczyło, że będzie realizować porozumienia moskiewskie honorowo i konsekwentnie. Przyjęliśmy to, mimo że nie znamy pełnego brzmienia tych porozumień. Przyjęliśmy to na zasadzie dotychczas trwającego zaufania do naszych przywódców. Przyjęliśmy to na podstawie zapewnień, że również i druga strona spełni swe zobowiązania i że przede wszystkim rozwój socjalistycznej demokracji w Czechosłowacji będzie kontynuowany w całej pełni.

Zamiast tego jesteśmy świadkami ponownego pojawienia się cenzury w naszym kraju. Zamiast tego codziennie znajdujemy w prasie pięciu krajów swoje nazwiska z przydomkami, którymi w przeszłości określano ofiary procesów politycznych. Zamiast tego z funkcji kierowniczych odchodzą ludzie, których poziom i charakter stanowiły najlepszą gwarancję realizacji programu akcji partii. Zamiast tego na scenie politycznej ponownie pojawiają się ludzie, którzy utracili moralny kredyt. Zamiast tego znowu jest hamowany postęp przygotowywanej reformy gospodarczej. Zamiast tego mamy się pogodzić z myślą, że pobyt obcych wojsk u nas był zalegalizowany bez ograniczenia czasowego. Zamiast tego stwierdzamy, że o tym, kiedy mają się odbywać lub nie odbywać nasze posiedzenia, zjazdy czy wybory, nie decyduje się u nas. Zamiast tego pełni obaw śledzimy w jaki sposób politycy są zmuszeni do stosowania metod polityki gabinetowej, gdyż dokumenty dotyczące egzystencji każdego z nas dopiero dodatkowo uchwalane są przez Komitet Centralny i Zgromadzenie Narodowe.

Rośnie rozczarowanie, nieufność i strach.

Dlatego zwracamy się do przywódców kraju i partii z usilnym wezwaniem, aby znów umieli oprzeć się na jedności narodu, która

na przekór oszczerstwom w obecnej sytuacji Czechosłowacji, dzięki naszym tradycjom, ucieleśnia najbardziej postępowe myśli nowoczesnej ludzkości, bowiem równocześnie jest jednością przekonanych socjalistów. W chwili, kiedy nasi przywódcy — choćby z najlepszych pobudek — oddaliliby się od sposobu myślenia decydującej, aktywnej większości ludu, partia komunistyczna poniosłaby moralne fiasko. Dopiero wtedy groziłoby rzeczywiste niebezpieczeństwo zatrzymania się rozwoju socjalizmu u nas, na całe lata.

Zwracamy się do naszych przywódców z zaufaniem, że przezwyciężą zmęczenie, sceptycyzm i niepokój, na jakie jako istoty ludzkie są wystawieni, że uchronią się przed grożącą im izolacją, że oprą się o naszą jedność i nie dopuszczą, aby rok wielkich nadziei stał się rokiem trwałej hańby.

Jeśli chodzi o nas, pisarzy, to jesteśmy zdecydowani uczynić wszystko w celu poparcia polityki, która prowadzić będzie nie do pozornego, ale do rzeczywistego przewyższenia dzisiejszej sytuacji, a tym samym do dalszego rozwoju tego, o czym przyzwyczailiśmy się mówić jako o socjalizmie o ludzkim obliczu. Nie chcemy jednak, i nigdy nie zechcemy przyznać się do przestępstw, których nie popełniliśmy, lub dziękować za pomoc, która jest niczym innym jak krzywdą. Nie godzimy się i nigdy nie zgodzimy się, aby nazywać kłamstwo — prawdą, a niesprawiedliwość — koniecznością.

Władza może likwidować ludzi, nigdy jednak nie zniszczy ich myśli. Tylko w tym jednym stuleciu trzykrotnie byliśmy świadkami jak rozpadały się monolityczne systemy, by ponownie zabrzmiała prawda.

Lata pięćdziesiąte są dla nas przestrogą, że sumienie nie jest pojęciem bez treści.

Drogie jest nam nasze życie, ale droższe jest dziedzictwo, jakie chcemy pozostawić naszym dzieciom.

Sądy ludzi przemijają, sąd historii jest wieczny.

Właśnie w dniach pięćdziesiątej rocznicy Czechosłowacji przypominamy sobie, że jeśli ktoś przez szereg stuleci pozwolił zachować narodowi czeskiemu prosty kręgosłup i chronić go przed unicestwieniem, to właśnie ten człowiek, który potrafił powiedzieć: Nie odwołam.

Praga, 31 października 1968.

Dialog

Un documento sul dialogo del Segretariato per i non credenti
— Dokument o dialogu Sekretariatu dla niewierzących. Taki jest pełny tytuł dokumentu datowanego 28 sierpnia i wydrukowanego

w *Osservatore Romano* 2 października. Widnieją pod nim dwa podpisy: przewodniczącego Sekretariatu, kardynała Königa; oraz sekretarza, księdza Vincenzo Miano. Od chwili ukazania się w organie watykańskim Dokument o Dialogu jest z jednej strony wciąż na różne sposoby interpretowany, komentowany i dyskutowany w kołach świeckich, a z drugiej coraz częściej „uściślany” i „wyjaśniany” przez czynniki kościelne. Świadczyłoby to o jego dwuznaczności, lub conajmniej niejasności. Zanim spróbuje się coś na ten temat powiedzieć, trzeba pobieżnie chociaż przyjrzeć się tekstowi.

Dokument o Dialogu składa się ze wstępu i z dwóch rozdziałów. Rozdział pierwszy zajmuje się „naturą i warunkami dialogu”, rozdział drugi określa jego „normy praktyczne”. Istotny jest rozdział pierwszy, bo bez uzgodnienia przez zainteresowanych „natury i warunków dialogu” rozważanie „norm praktycznych” byłoby bezprzedmiotowe. Jakkolwiek w Dokumencie o Dialogu nie mówi się tego wprost, i kieruje się zaproszenie do „niewierzących” w ogóle, uznano powszechnie że jego głównym (jeśli nie wyłącznym) adresem są komuniści.

Wstęp definiuje założenie dialogu: „Intensyfikacja stosunków między ludźmi sprzyja umocnieniu się świadomości pluralizmu jako charakterystycznego wymiaru naszych czasów. Prawdziwy jednak pluralizm może zaistnieć tylko wtedy, gdy jednostki i wspólnoty ludzkie dialogują między sobą mimo różnic kultury i usposobienia... Dialog zatem, opierając się na wzajemnym stosunku między rozmówcami, implikuje uznanie godności i wartości drugiej osoby”.

W rozdziale pierwszym o „naturze i warunkach dialogu” stwierdza się, że „dialog w ogólności” posiada trzy odmiany: „spotkanie na płaszczyźnie zwykłych stosunków ludzkich”, „spotkanie na płaszczyźnie poszukiwania prawdy”, „spotkanie na płaszczyźnie działania”. Odmiana pierwsza jest w tym wyliczeniu bez większego znaczenia, rejestruje po prostu oczywisty — chciałoby się powiedzieć: towarzyski — fakt że katolicy i komuniści nie powinni się nawzajem unikać. Właściwy dialog, nazwany w Dokumencie „dialogiem doktrynalnym”, obejmuje dwie następne odmiany: „spotkanie na płaszczyźnie poszukiwania prawdy” i „spotkanie na płaszczyźnie działania”. Czy „dialog doktrynalny” jest możliwy? Dokument nie ukrywa nasuwających się tu wątpliwości. Jak mogą dialogować ze sobą partnerzy, którzy stoją na gruncie prawd absolutnych? Jakie szanse ma dialog między rozmówcami, wychodzącymi z dwóch różnych systemów myślenia? I wreszcie, jak pogodzić immanentne pojęcie prawdy niewierzących z transcendentnym pojęciem prawdy wierzących? Są to jednak według Dokumentu przeszkody, którymi nie należy się zrażać. Rzecz w tym by „dialog doktrynalny” był nacechowany „odważną szczerością”, by starał się wydobyć różnice i poszerzyć zbieżności, by przyświecała mu chęć „wzajemnego wzbogacenia się obu stron”. Wystarczy zatem, jeśli dialoganci nie odrzucają z góry myśli że jedna prawda może „rosnąć” w zetknięciu z drugą. „Chrześcijańin wie

że wiara nie dostarcza mu odpowiedzi na wszystkie pytania", gdyż „sfera ludzka posiada swoją prawomocną autonomię” i dzięki tej autonomii „rozbieżności o charakterze religijnym nie wykluczają zbieżności w sprawach świeckich”. Dokument konkluduje w tym rozdziale, że w „naszym społeczeństwie pluralistycznym” dialog „mimo ryzyka jakie za sobą pociąga jest nie tylko możliwy, lecz wskazany”.

Chodzi jednak o to — i tu od „natury dialogu” przechodzi się do „warunków dialogu” — aby „dialog nie był wykorzystywany dla podyktowanych okolicznościami celów politycznych”. Szczególnie trudności następuje „przypadek marksistów którzy przynależą do komunizmu, a to z racji ścisłych więzów jakimi łączą oni teorię z praktyką”. Powstaje z tego „pewna niemożność zachowania oddzielnych poziomów dialogu, co sprawia że dialog doktrynalny przeobraża się w dialog praktyczny”. Również tym nie trzeba się zrażać. „Nawet kiedy nie jest możliwa realizacja zbieżności doktrynalnych, można dojść do porozumienia na temat pewnych celów praktycznych”. Ale muszą to być cele dobre, albo takie które „da się sprowadzić do dobra”. Poza tym współpraca musi uszanować „walory bardziej fundamentalne, jak nienaruszalność doktrynalną oraz prawa obywatelskie, kulturalne i religijne jednostki”. Sąd o tym czy istnieją warunki pozwalające na współpracę powinno się wydawać po zbadaniu „programów przedstawionych przez dialogantów na dziś i na przyszłość, oraz doświadczeń historycznych już zrealizowanych”.

Jak z tego widać, autorzy Dokumentu o Dialogu skonstruowali swój elaborat w dość osobliwy sposób: każdy kolejny punkt stawia pod znakiem zapytania poprzedni, aż w końcu z nadziei na „dialog doktrynalny wzbogacający obie strony” zostaje jedynie postulat współdziałania w imię „dobrych celów praktycznych”. Nie jest jednak jasne jak się to współdziałanie ma odbywać, skoro sam Dokument uskarża się że komuniści wiążą ściśle teorię z praktyką i skłonni są zawsze do „instrumentalizacji politycznej”. Lektura Dokumentu wywołuje wrażenie że Sekretariat dla niewierzących, postawiwszy pierwszy krok w kierunku dialogu, odrywa nieustannie nogę od ziemi i macha nią z zakłopotaniem w próżni, niepewny czy grunt nie jest zbyt grząski. Że grunt jest rzeczywiście grząski, okazało się po ogłoszeniu Dokumentu w *Osservatore Romano*. Reakcja komunistów włoskich była więcej niż pozytywna, witała z triumfem „drogę otwartą do współpracy politycznej z katolikami”. Równocześnie z przeciwnej strony zaczęło się „zawężanie” Dokumentu. „W krajach komunistycznych — oświadczył kardynał König — dialog między wierzącymi i niewierzącymi jest niemożliwy. Do dialogu potrzeba dwóch, a w krajach wschodniej Europy pokwitowano nasz Dokument milczeniem. Nie możemy się nikomu narzucać, ani nikogo zmuszać do dialogu, a niestety w krajach komunistycznych brak koniecznych przesłanek do dialogu”. Co zaś do krajów demokratycznych i pluralistycznych, to zdaniem kardynała trudno usunąć największą przeszkodę, jaką jest wyraźne dążenie komunistów do wyciągnięcia korzyści poli-

tycznych z dialogu. Odtąd wszystkie komentarze kościelne szły po linii podkreślania bądź „religijnego”, bądź „czysto ludzkiego” waloru Dokumentu. Ale tekst nie upoważnia do takiej interpretacji. Nie wolno też zapominać że Dokument datowany jest w tydzień po inwazji Czechosłowacji, kiedy stało się oczywiste że komuniści ani nie chcą ani nie potrafią dialogować w „czysto ludzki” sposób nawet między sobą, a coś dopiero z katolikami.

Dokument o Dialogu jest więc istotnie niejasny i dwuznaczny. Po co został zredagowany i ogłoszony? Z natury rzeczy w prasie włoskiej przeważają komentarze, wiążące go z sytuacją włoską: z rojonym przez lewicę demochrześcijańską pomysłem *repubblica conciliare*, która pozwoliłaby rządzącemu stronnictwu zapewnić sobie (oczywiście nie za darmo) co najmniej neutralność komunistów ponad głowami skłóconych i sparaliżowanych po wyborach socjalistów. Upatruje się jednak także w Dokumencie „gest dobrej woli” wobec krajów komunistycznych, zrobiony z myślą o odprężeniu stosunków między kościołem a państwem. W tym sensie watykański korespondent *Corriere della Sera* za pierwszy konkretny owoc Dokumentu uważa przyjazd kardynała Wyszyńskiego do Rzymu. I wylicza kilka dodatkowych „gestów dobrej woli” ze strony samego Prymasa Polski: „Niewątpliwie kardynał Wyszyński zajął w tym roku z różnych okazji bardziej miękkie stanowisko wobec władz polskich. Przede wszystkim złagodził ton swoich kazań, które w przeszłości zawierały prawie zawsze akcenty polemiczne pod adresem rządu; po drugie, zachował znaczące milczenie w obliczu marcowych demonstracji studenckich, ograniczając się do wezwania młodzieży by szanowała porządek i zgłaszała swoje żądania bez uciekania się do gwałtu; po trzecie wreszcie, Gomułka musiał należycie ocenić rezerwę przestrzeganą przez kardynała w obliczu udziału wojsk polskich w inwazji Czechosłowacji”.

Jest dość trudno ocenić, czy wszystko to należy do kategorii „dobrych celów praktycznych” o których mowa w Dokumencie o Dialogu.

« Malaria »

Wyobraźmy sobie osadę położoną nad malarycznym, bagnistym jeziorem. Buduje się fabryki, zakłada szkoły, lecz ludzie pracują niewydajnie, ponieważ stale chorują na malarię. Mieszkańcom osady nie pomogą armie socjologów ani sztaby ekonomistów. Nie pomogą im dyskusje na temat ustroju, reform i polityki. W takiej sytuacji postęp w jakiegokolwiek dziedzinie jest wyłączony dopóki bagna nie zostaną osuszone i malaria zlikwidowana.

Z naszej fikcyjnej wsi przenieśmy się do Niemiec zachodnich. Moskwa podnosi stale alarmy w sprawie rosnącej grozy militarizmu niemieckiego. Jak to wygląda w rzeczywistości? Wydawałoby się, że armia niemiecka ma czego bronić. Rozwój gospodarczy i bogactwo Niemiec zachodnich jest czymś bezprzykładnym. Eksport wzrasta o 8 procent rocznie. Władze namawiają firmy niemieckie by więcej importowały. Ekonomia niemiecka w przeciwieństwie do brytyjskiej — dławi się nadmiarem gotówki. NRF importuje właściwie tylko jeden „surowiec” tzn. cudzoziemskich robotników.

Armia niemiecka ma czego bronić ponieważ Republika Federalna stanowi fenomenalny sukces. Okazuje się jednak, że wszystko w Niemczech jest sukcesem z wyjątkiem armii. W NRF nie tylko nie ma militarizmu lecz armia — według ocen nie sowieckich lecz amerykańskich — pozostawia bardzo wiele do życzenia. Pomińmy stały brak młodszych oficerów i podoficerów — pomińmy również zarzuty rzeczoznawców amerykańskich wysuwane pod adresem łączności, transportu i artylerii Bundeswehry. Ten typ krytyki pozostawmy zawodowym wojskowym. Warto jednak przytoczyć opinię jednego z ekspertów Pentagonu, którego nazwiska prasa amerykańska ze zrozumiałych względów nie ujawnia. „Czego można oczekiwać” — zapytuje ekspert Pentagonu — „od armii która poniosła dwukrotnie klęskę w czasokresie jednego pokolenia, która ponad 10 lat żyła w cieniu armii amerykańskiej, która niewolniczo przejęła od Amerykanów wszystkie idee i koncepcje, która

wyrzekła się narodowych aspiracji i której odmówiono broni atomowych?”

Armia taka — podkreśla komentator amerykański — nie może mieć zasadniczej wiary w własną funkcję i użyteczność.

To jest przykład — jeden z wielu — „psychicznej malarii” powodowanej przez moczar sowiecki okrażający Europę zachodnią.

Teżą tego artykułu jest pogląd, że Sowiety „malaryzują” nie tylko Bundeswehrę ale nas wszystkich. Drugą tezą tego artykułu jest pogląd, że twierdzenie — wzorem Dżilasa czy Marcuse’a — że można uzdrowić świat zachodni ignorując Sowiety — jest niepoważne. My jesteśmy tą osadą, którą wspomniałem na wstępie i żyjemy w sąsiedztwie zatrutych bagien. Nic nam nie pomoże legion ekonomistów, socjologów, proroków i rewolucjonistów dopóki nie zlikwidujemy owego sąsiedztwa, które nas zatruwa.

Dżilas w czasie swego pobytu w Londynie, w październiku br., w wywiadzie radiowym oświadczył, że przede wszystkim należy myśleć o reformie i przebudowie ustroju kapitalistycznego. Autor „Nowej Klasy” przyznał, że Jugosławia posiada dziś najbardziej liberalny ustrój z wszystkich państw komunistycznych. Jednak z całości jego wypowiedzi wynikało, że wszystkie swoje nadzieje wiąże nie z reformą komunizmu lecz z przebudową kapitalizmu.

Dżilas podkreślił, że kapitalizm jako system gospodarczo społeczny nie jest zgniły i skazany na zagładę jak głoszą komuniści —lecz przeciwnie wykazuje wielką dynamikę rozwojową i dlatego warto podjąć jego przebudowę.

Herbert Marcuse w swojej książce „One-Dimensional Man” (Routledge and Kegan Paul Ltd., Londyn) wykazuje znacznie mniej wiary w reformację systemu zachodniego. Analizę Marcuse’a omówimy szczegółowiej na tych łamach — natomiast w tym miejscu wystarczy stwierdzić, że jedną z jego podstawowych tez jest pogląd, że znaleźliśmy się w obrębie „błędnego koła”, które posiada właściwość samo-umacniania się i utrwalania. Zbrojenia atomowe i lęk przed wojną nuklearną pociągają za sobą przemiany społeczne — jak rosnąca pozycja elity przemysłowo-wojskowej. Z drugiej strony owe przemiany społeczne niejako gwarantują dalszą rozbudowę przemysłów zbrojeniowych, które z kolei pogębiają owe negatywne przemiany społeczne i tak *ad infinitum*. Marcuse widzi w studentach i w młodych intelektualistach — a nie w klasie robotniczej — siłę rewolucyjną. Studenci, mniej niż jakkolwiek inna warstwa społeczna, związani są z istniejącym *establishment*.

Analiz „choroby Zachodu” są tysiące lecz wydaje mi się, że wszystkim owym diagnozom czegoś nie dostaje. Weźmy następujący przykład. Pentagon jako najpotężniejsza militarna instytucja świata — nie wyskoczył jak Minerwa z głowy Jowisza. W okresie Pearl Harbour Amerykanie mieli zaledwie 300 wyszkolonych pilotów wojskowych. Stany Zjednoczone rozbudowały swój olbrzymi potencjał zbrojeniowy w odpowiedzi na zagrożenie sowieckie. Owa rozbudowa nadała rozmach rewolucji technologicznej i naukowej,

powstały nowe giganty przemysłowe, nowe instytucje polityczne, nowe ośrodki władzy, nowa mentalność i nowe problemy społeczne. Jeżeliby nawet przyjąć za Marcusem, że cały olbrzymi kompleks atomowo-zbrojeniowy wywiera zdecydowanie ujemny wpływ na rozwój społeczny, że zagraża demokracji, paraliżuje krytykę i przemienia w parodię rządu większości — to i wówczas należałoby stwierdzić, że *jesteśmy tacy, jakimi uwarunkowało nas zagrożenie sowieckie*.

Gdyby państwo „X” rozbudowywało potencjał atomowy kosztem służb społecznych — motywując swoją politykę bezpośrednim zagrożeniem najazdu ludzi z Marsa czy z Wenus — wówczas można by mówić o zwyrodnieniu i degeneracji. Lecz zagrożenie sowieckie jest arcyrealne i owo zagrożenie — a nie rewolucja technologiczna i jej socjalne konsekwencje — wywiera stały ujemny wpływ na wszystko, dosłownie na wszystko, co dzieje się na Zachodzie.

Wielu politycznych pisarzy zachodnich poucza nas filozoficznie, że istnieją trudne i niebezpieczne problemy z którymi trzeba nauczyć się współżyć. To jest słuszna teoria lecz tylko do pewnego punktu. Jeżeli współżycie z danym problemem możliwe jest tylko za cenę postępującej dezorganizacji, jeżeli współżycie z danym problemem wyłącza rozwiązanie innych podstawowych zagadnień — wówczas koegzystencję uznać należy za politykę błędną ponieważ w rezultacie przynosi więcej szkód niż korzyści.

Długotrwałe zagrożenie, na które nie znajdujemy konkretnej odpowiedzi, prowadzi do wytwarzania się cyklu „błędnych kół” we wszystkich dziedzinach życia. Pomińmy na razie sprawy społeczne i przyjrzyjmy się zagadnieniu obrony. Powszechny pogląd na ten problem sformułować można następująco. Europy zachodniej nie chroni *de facto* Budeswehra ani żadna inna armia NATO tylko amerykański „parasol” atomowy. Czy istotnie tak jest? Czy można bronić danego państwa pociskami atomowymi wbrew jego woli? Czy należy nie-atomowym członkom NATO przyznać prawo decyzji w tej sprawie? Amerykanie reprezentują pogląd, że członkowie NATO nie mają prawa „veto” w odniesieniu do ewentualnej decyzji Waszyngtonu w sprawie podjęcia obrony pociskami atomowymi. Innymi słowy Amerykanie zastrzegają sobie prawo bronięcia Europy pociskami atomowymi, nawet wówczas, gdyby Europa sobie tego nie życzyła.

Uznać można za pewne, że Rosjanie nie uczynią niczego by sprowokować atomowy atak amerykański wymierzony przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Uznać można również za pewne, że Amerykanie nie podejmą atomowego bombardowania Rosji — dopóki Sowiety nie rozpoczną atomowego bombardowania Stanów Zjednoczonych. W praktyce więc „parasol amerykański” polegałby na zastosowaniu taktycznych broni atomowych na terenie Europy. Gdyby Amerykanie zastosowali bronie atomowe na terenie Europy — Rosjanie uznaliby, że mają również wolną rękę w stosowaniu broni atomowych w Europie — co prowadzić by musiało nieuchronnie do eskalacji bombardowań, które w krót-

kim czasie przemieniłyby nasz kontynent w radioaktywne pogorzelisko. Natomiast Związek Sowiecki — główne źródło wszystkich naszych „błędnych kół” pozostałby nietknięty. Pozostałby nietknięty, ponieważ nienaruszalność Związku Sowieckiego stanowi gwarancję nienaruszalności miast amerykańskich.

Polacy na emigracji — mając za sobą doświadczenia dwóch wojen światowych — wyobrażają sobie, że gdy „raz się zacznie” — wszystko potoczy się znanym trybem, którego finałem będzie totalna klęska Sowietów.

Nie podzielam tego poglądu. Osobiście jestem przekonany, że oba super-mocarstwa uczynią wszystko co możliwe by zaoszczędzić swoim krajom kataklizmu atomowego. Nie twierdzę, że oba super-mocarstwa nie użyją nigdy broni atomowych. Jestem przekonany, że w wojnie przeciwko Chinom Rosjanie bez skrupułów i bez obawy zastosowałyby bombardowanie atomowe na wielką skalę. Twierdzę natomiast, że oba super-mocarstwa będą się starały rozgrywać wojny na terytorium państw trzecich — to znaczy z wyłączeniem terytorium amerykańskiego i sowieckiego.

Celem tego artykułu nie jest analiza problemu obrony Europy. Chciałbym tylko wykazać, że nie tylko Bundeswehra ma powody do frustracji. Wszyscy zachodni Europejczycy mają powody do frustracji.

Ludzie, którzy mieszkają na stokach wulkanu uczą się współżyć z zagrożeniem. Lecz ten typ zagrożenia nie prowadzi do frustracji — ponieważ z wulkanem ani nie można walczyć, ani nie można go spacyfikować. To jest problem stuprocentowo nierozwiązalny i w tym charakterze musi być zaakceptowany. Bezradność wobec zagrożenia wulkanem nie demoralizuje, nie upakarza, przeciwnie — wydobywa często z mieszkańców najlepsze cechy charakteru.

Związek Sowiecki nie jest wulkanem i dlatego przyznanie mu statusu fenomenu poza i ponad naszą kontrolą — prowadzi do frustracji, wyrażającej się cyklami „błędnych kół”, których NATO jest typowym przykładem.

Dziś nie zna Zachodu i dlatego wyobraża sobie, że jest rzeczą możliwą zrezygnować z reformy komunizmu i skupić całą uwagę na przebudowie kapitalizmu. W moim przekonaniu nie jest rzeczą możliwą ani ułożenie Europy — ani ułożenie Stanów Zjednoczonych w oderwaniu od problemu sowieckiego. Przez „ułożenie” w tym kontekście rozumiem podjęcie szerokiego programu reform społeczno-gospodarczych i rozbudowę *Welfare State*. Dopóki trwa zagrożenie sowieckie nie będzie na to nigdy pieniędzy. Lecz to jeszcze nie wszystko. Dopóki trwa zagrożenie sowieckie nie odbudujemy nigdy normalnej atmosfery społecznej, która stanowi podstawowy warunek prawidłowego funkcjonowania demokracji.

Ogólny obraz kampanii wyborczej w Stanach Zjednoczonych, ruchy anty-bombowe, anty-wietnamowe, rewolucja studencka, która przybiera na sile, narastająca fala tzw. „nieoficjalnych strajków” — to wszystko wskazuje, że proces demokratyczny nie funk-

cjonuje prawidłowo. Lecz i to nie jest pełna diagnoza. Demokracje Zachodu ewoluują w niewłaściwym kierunku co wywołuje masowe reakcje — jak w Stanach Zjednoczonych. Demokracje Zachodu ewoluują niewłaściwie, ponieważ w klimacie stałego zagrożenia — w atmosferze ni to wojny ni pokoju — prawidłowy rozwój czegokolwiek jest wyłączony.

Kryzys — jeżeli nie wręcz upadek liberalizmu — jest jednym z typowych symptomów naszej „malarii”. Liberalizm zakładał, że przy tolerancji, dobrej woli i środkach materialnych — każdy problem jest do rozwiązania. Liberałowie zbyt długo uprawiali politykę strusiów i dziś ponoszą tego konsekwencje. Drugim typowym przejawem „zachodniej choroby” jest rasizm, który wybucha zawsze w okresach zagrożenia i kryzysu. Gdyby dziś w Anglii nie było bezrobocia, gdyby gospodarka kwitła, gdy zbudowano dostateczną ilość szkół i mieszkań — o problemie rasowym nikt by nie mówił.

Kryzys demokracji, kryzys parlamentaryzmu, rewolucja studencka itp. — to wszystko jest analizowane i omawiane przez dziesiątki socjologów po obu stronach Oceanu. Lecz znakomita większość tych analiz — często głębokich i trafnych — nie dociera do sedna rzeczy. Dla mnie jest oczywiste, że jesteśmy „chorzy na Rosję” i albo my zmienimy Rosję albo Rosja zmieni nas. Rosja nie przerobi nas na komunistów ani nie zorganizuje rewolucji w Stanach Zjednoczonych i w Anglii. Pośrednie wpływy sowieckie są znacznie groźniejsze od bezpośrednich. Pośrednim wpływom sowieckim przypisać należy dezorganizację NATO, zamrożenie „kwestii niemieckiej”, brak jedności w obozie zachodnim, degrengoladę Europy i paraliż myśli politycznej. Wszyscy *de facto* czekamy na następne posunięcie Moskwy — czekamy i taimy oddech.

W naszej strefie wpływów staramy się utrzymać fikcyjną normalność i *business as usual*. Czy niepodległość Belgii, Holandii, Niemiec — nie jest fikcją? Amerykanie z całą pewnością broniłoby Anglii. Lecz czy Anglicy w danej sytuacji chcieliby obrony atomowej? Wielka Brytania jest załoczonym „lotniskowcem” przycumowanym do brzegów Europy. Anglia nie ma dosłownie żadnej szansy przetrwania poważniejszego ataku atomowego.

Jesteśmy osaczeni przez Sowiety cyklem „błędnych kół” z których nie ma wyjścia. Byłoby lekkomyślnością utrzymywać, że w takim systemie możliwe jest normalne życie i normalny rozwój społeczno-gospodarczy.



Na emigracji każdy Polak, który pogodził się z utratą Wilna i Lwowa — uważany jest za zdrajcę. Myślę, że nawet liberalnie nastrojony Rosjanin nie pogodziłby się łatwo z niepodległą Ukrainą w sojuszu z Niemcami. Nie wydaje mi się również by najbardziej postępowy Rosjanin zgodził się potulnie na oddanie Syberii Chińczykom.

Dla programu parcelacji Związku Sowieckiego nie znajdziemy nigdy sojuszników nawet pośród najbardziej postępowych i rewolucyjnych kół rosyjskich. Rozparcelować Związek Sowiecki można by tylko w wyniku zwycięskiej wojny.

Porozumienie z przyszłą Rosją jest dla Polski kardynalnego znaczenia. Możemy wpływać na proces unowocześnienia i przebudowy Związku Sowieckiego, pod warunkiem, że nasze propozycje będą do przyjęcia dla postępowych kół rosyjskich. W pracy zmierzającej do rzetelnego porozumienia z Rosją — naszymi głównymi sojusznikami muszą być Rosjanie.

Program przebudowy Związków w związek federacyjnych wolnych państw i narodów — z całą pewnością może liczyć na poparcie ze strony postępowych Rosjan. Jednak żaden uczciwy Rosjanin nie przyłoży ręki do likwidacji Rosji jako światowego mocarstwa.

Trzeba przede wszystkim jasno określić własną pozycję i odpowiedzieć na pytanie czy dąży się do likwidacji Rosji czy do porozumienia z Rosją? W *Kulturze* dążymy do porozumienia z przyszłą Rosją i uważamy, że likwidacja Rosji jako mocarstwa nie leży w polskim interesie. Wydatne osłabienie Rosji oznaczałoby automatyczne wzmocnienie Niemiec. Gdyby Rosja nie była mocarstwem — Niemcy posiadałyby broń atomową od 10-ciu lat. Nie ma potrzeby podkreślać jakie konsekwencje pociągnąłby ów fakt dla Polski.

Należy powiedzieć otwarcie i z naciskiem, że ci Polacy, którzy dążą nie do porozumienia z przyszłą Rosją lecz do jej rozbicia — rezygnują *de facto* z polskich Ziemi Zachodnich.

Program europeizacji i przebudowy Związku Sowieckiego jest niewątpliwie trudny i jego realizacja może potrwać lata. Osobiście sądzę, że przełom pokoleniowy — tzn. odejście stalinowców klasy Breżniewa wydatnie przyspieszy ten proces.

Tym, którzy oceniają nasz program rosyjski jako nierealny należy odpowiedzieć co następuje: nasza polityka w stosunku do Rosji jest szczytem realizmu w porównaniu z zaślepioną i naiwną wiarą, że Polska zdoła utrzymać Ziemię Zachodnią bez porozumienia polsko-rosyjskiego.

Cały tzw. Zachód jest sojusznikiem Niemiec — nie Polski. Rzetelne porozumienie polsko-rosyjskie jest dla nas nieodzowne, jeżeli chcemy utrzymać Ziemię Zachodnią, których utrata oznaczałaby zredukowanie Polski do poziomu „Księstwa Warszawskiego”. Ci, którym nienawisć do Rosji, każdej Rosji — uniemożliwia zrozumienie powyższej prostej i kardynalnej sprawy — nie powinni zabierać głosu na temat polskiej polityki.

To wszystko są tylko uwagi na marginesie ponieważ niniejszy artykuł nie jest poświęcony stosunkom polsko-rosyjskim. Pragnęłam natomiast wykazać, że Rosja Sowiecka w jej obecnej formie ustrojowo-ideologicznej wpływa ujemnie na rozwój całości życia na Zachodzie. Czy nam się to podoba czy nie, tak Europa jak i Ameryka skazane są na *partnership* z Sowietami, ponieważ

Rosja jest drugim super-mocarstwem świata. Super-mocarstwa nie można ani izolować ani się od niego odciąć — ponieważ super-mocarstwo prowadzi politykę globalną i jest wszędzie obecne.

Modernizacja Rosji — przez co należy rozumieć likwidację stalinizmu — nie jest tylko mrzonką Polaków czy Czechosłowaków, lecz stanowi problem całego wolnego świata. Nie wystarczy sobie powiedzieć, że Rosja jest „chorym człowiekiem Europy” jak niedawno stwierdził londyński *The Observer*. W rzeczywistości Europa jest chora na skutek sąsiedztwa z Sowietami i uwikłana w problemy, którym nie jest w stanie podołać.

Nie podzielał poglądów większości sowietologów, że policentryzm osłabia Rosję. Jeżeli nawet wyłączyć Węgry i Rumunię, blok czysto stalinowski złożony z Rosji, Polski i NRD — reprezentuje poważną siłę. Natomiast anty-stalinowski, rewizjonistyczny komunizm rozbity jest na dziesiątki „wyznań” i to decyduje o jego bezsilności. Rewizjonizmowi brak jest ram uniwersalnych. Stalinowcy głoszą, że komunizm jest jeden i bramy reakcji nie zwyciężą go. Stalinizmowi należałoby przeciwstawić humanistyczny model komunizmu — model nie totalny, lecz jednolity i uniwersalny. Rewizjonizm nie może być tylko katalogiem różnych dróg do socjalizmu. Musi być czymś więcej — jeżeli ma spełnić swoje zadanie.

Podobnie tzw. „nowa lewica” obejmuje dziesiątki organizacji, których jedyną cechą wspólną jest brak pieniędzy. Tych młodych ludzi nie jednoczy program uniwersalny tylko konkretne sprawy jak np. stanowisko wobec wojny w Wietnamie.

Według danych ogłoszonych przez Komitet Migracji Europejskich (Agenda ONZ) — od trzech tygodni 1.600 Czechosłowaków opuszcza codziennie swój kraj. Czechosłowacy mieliby możliwość stworzenia zupełnie nowego typu emigracji politycznej. Wydaje mi się, że powinni powołać do życia komunistyczną organizację, która przyjąłaby za swą polityczną platformę uchwały powzięte na XIV Kongresie Czechosłowackiej Partii Komunistycznej, który odbył się w okupowanej Pradze w dniu 22 sierpnia br. Owa organizacja reprezentowałaby zagranicą Czechosłowacką drogę do socjalizmu w formie nieskażonej naciskiem Sowietów. Siedzibą władz centralnych zagranicznej komunistycznej organizacji czechosłowackiej powinien być Belgrad a gdyby to okazało się niemożliwe, organizacja mogłaby podjąć starania o „zaafiliowanie” jej do włoskiej partii komunistycznej lub innej.

Tysiące Czechosłowaków i Polaków rok rocznie opuszcza swoje ojczyzny. Młody wschodnioeuropejski marksista gdy raz znajdzie się zagranicą uznaje za jedyny cel swego życia profesurę na takim czy innym amerykańskim czy kanadyjskim uniwersytecie. Na tym wszystko się kończy.

Komunizmu o ludzkim obliczu — by użyć określenia Aleksandra Dubczeka — nie stworzą dla komunistów nie-komuniści. Dzieła odnowy i reformy komunizmu dokonać mogą tylko komuniści. Czechosłowacy zagranicą powinni podjąć hasło: „komuniści nie

rządzeni przez Moskwę łącznie się!". Celem politycznym winno być utworzenie nowej anty-stalinowskiej komunistycznej między-narodówki.

Główną „winę” za obecny stan rzeczy na Zachodzie przypisuję nie zawodowym politykom tylko socjologom, politycznym naukowcom (*political scientists*) i publicystom.

W mojej bibliotece posiadam ponad półtora tysiąca książek wyłącznie na tematy polityczne i socjologiczne. Muszę jednak stwierdzić, że do tej pory nie natknąłem się ani na jedną książkę, której autor starałby się odpowiedzieć na pytanie w jakiej mierze i w jakim zasięgu Sowiety uwarunkowują całość życia na Zachodzie, i w jakim stopniu owo uwarunkowanie powoduje nieprawidłowości rozwojowe, które obserwujemy na każdym kroku.

Takiej książki nie ma, bo znaczny procent naukowców politycznych podlega również uwarunkowaniu. Boją się, by ich nie posądzono o propagandę, o zamaskowaną obronę imperializmu amerykańskiego — a przede wszystkim, boją się jasno określonego zaangażowania.

W rezultacie rosnący, olbrzymi potencjał protestu i radykalizmu młodzieży na Zachodzie skierowany jest wyłącznie przeciwko Ameryce a wojnę w Wietnamie wyświęcono do symbolu najbrutalniejszego imperializmu znanego w dziejach.

Nie broniąc wojny w Wietnamie wypada stwierdzić, że Sowiety mają na swym koncie większe i straszniejsze zbrodnie niż Wietnam. Różnica pomiędzy imperializmami amerykańskim i sowieckim polega na tym, że Sowietom powiodło się ujarzmić sto milionów wschodnich Europejczyków — natomiast Amerykanom nie powiodło się „zsatelizować” kilkunastu milionów Wietnamczyków.

Sowiety zgniotły czołgami opór robotników we wschodnim Berlinie w r. 1953, w Budapeszcie w roku 1956, w Pradze w r. 1968.

Trudno powstrzymać się od gorzkiej uwagi, że tylko nie uwięziony sukcesem imperializm budzi protest — natomiast imperializm uwięziony sukcesem przekształca się w „fakty dokonane”, które wszyscy biernie akceptują.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

POLITYKA PRZECIWWAGI

Polityka winna obejmować jutro. Polityka na dziś jest tylko taktyką. Proszę by Czytelnik pod tym kątem widzenia odczytywał niniejsze refleksje.

Krytycy przedwrześniowej polskiej polityki zapominają często, że gwarancja brytyjska była wówczas czymś innym niż byłaby dziś. Anglia choć nie-

przygotowana do wojny była światowym imperium o olbrzymich finansowych i politycznych możliwościach. Dziś w Zachodniej Europie nie ma ani imperiów ani światowych mocarstw.

Polacy — zwłaszcza na emigracji — patrzą na obecny stan rzeczy jako na prowizorium. Hitler rozciągnął swoje panowanie na cały kontynent lecz w końcu został pobity. Moskwę musi spotkać analogiczny los.

Rosja może kiedyś ponieść klęskę lecz to nie oznacza, że Anglicy czy Francuzi odzyskają swoje imperia. Klęska Rosji mogłaby podnieść znacznie Niemiec lecz nie przekształciłaby Wielkiej Brytanii w światowe mocarstwo z 1939 roku.

Pomimo naszej pro-zachodniości nie możemy szukać sojuszników w zachodniej Europie, ponieważ ich tam nie znajdziemy. Zachodnia Europa sama potrzebuje protektora i gwarancji i z tej prostej przyczyny nie może osłaniać innych.

Byłym żołnierzom — jak piszący te słowa, przychodzi bardzo trudno pogodzić się z myślą, że ów Zachód na którym żyjemy i którego broniliśmy na lądzie, na morzach i w powietrzu — nie jest i prawdopodobnie już nigdy nie będzie naszym sojusznikiem. Nawet jeżeli wyobrazić sobie najbardziej idealne i pokojowe rozwiązanie a więc układ sowiecko-amerykański, który gwarantowałby granice i niepodległość państw europejskich — i wówczas nie bylibyśmy sojusznikiem Zachodu. Europa zachodnia zmalała nie tyle na skutek wzrostu potęgi Sowietów — ile w konsekwencji utraty kolonialnych posiadłości zamorskich. Amerykanie mogą kiedyś okupować Moskwę, lecz imperium brytyjskie już nigdy nie będzie obejmować jednej czwartej ziemskiego globu.

Mimo, że posiadamy Wrocław, którego nikt nie nazwie wschodnim miastem — jesteśmy w znacznie większej mierze częścią Wschodu niż kiedykolwiek w przeszłości. Owe fakty nie zapadły się jeszcze w naszą psychikę i dlatego ciągle wierzymy, że zbawienie nadejdzie z Zachodu.

Kardynalnym zagadnieniem polskiej polityki jest organizowanie przeciwwagi w stosunku do Rosji. Owa polityka przeciwwagi nie wyłącza bynajmniej polityki szukania rzetelnego porozumienia z Rosją. Nawet gdybyśmy kiedyś osiągnęli z przyszłą Rosją rzetelne i korzystne porozumienie to i wówczas potrzebować będziemy przeciwwagi, ponieważ „sam na sam” z tak potężnym partnerem pociąga za sobą znaczne ryzyko.

Niemcy nie wchodzą w grę ponieważ zgłaszają pod naszym adresem pretensje terytorialne. Mając do wyboru Polskę czy Rosję — Niemcy wybiorą zawsze Rosję.

Partnerem polityki przeciwwagi musi być mocarstwo o naturalnym antyrosyjskim nastawieniu. Stany Zjednoczone są antykomunistyczne lecz nie są antyrosyjskie. Trwałe, organiczne — jeśli wolno się tak wyrazić — antyrosyjskie nastawienie gwarantuje tylko spór terytorialny. Powyższe warunki spełniają Chiny.

Mao Tse-tung jest zjawiskiem przejściowym. Chiny zachowują się nienormalnie, ponieważ znajdują się w absurdalnej sytuacji. Nie należą ani do tzw. bloku wschodniego, ani do tzw. świata wolnego. Są w złych stosunkach zarówno z Waszyngtonem jak i z Moskwą. Chiny są wielkim mocarstwem lecz na arenie międzynarodowej nie odgrywają roli wielko-mocarstwowej. Należy jednak wnioskować, że w obrębie 15 czy 20 lat — Chiny zajmą należne im

miejsce w systemie międzynarodowym i dynamikę rewolucyjną przekształca w dynamikę technologiczno-przemysłową.

Nie można wyłączyć, że następcy Mao będą dążyć do wyrównania stosunków z Moskwą. Tylko Rosja mogłaby dopomóc Chinom w unowocześnieniu i rozbudowie przemysłów. Lecz nawet wówczas gdy stosunki pomiędzy Pekinem a Moskwą zostaną znormalizowane — zasadniczy spór terytorialny chińskorosyjski — pozostanie.

Polityka przeciwwagi, w ujęciu jakie proponuję — wymaga przede wszystkim re-orientacji polskiego społeczeństwa. Musimy zdać sobie sprawę z faktu, że wszystko co się dzieje wzdłuż granicy sowiecko-chińskiej jest dla nas bliższe i ważniejsze od wydarzeń nad Tamizą czy Sekwaną. Musimy również zdać sobie wreszcie sprawę, że nie możemy wyjść z bloku wschodniego, bo nie mamy gdzie pójść. Europa z roku 1939 nie istnieje. Europa jednocy się tylko w okresie wojny i tylko na czas wojny. Na Zachodzie nie mamy czego szukać pomijając fakt, że do „klubu zachodniego” nikt nas nie zaprasza.

Przyjęcie tezy, że z Warszawy bliżej jest do Pekinu niż do Paryża — idzie pod włos tradycji stuleci. Niemniej, naród polski musi się zwrócić twarzą ku Wschodowi — jeżeli pragniemy odbudować naszą pozycję w Europie. Jest nie ważne to czy Zachód nas zdradził czy nie zdradził — natomiast należy sobie jasno uświadomić, że europejski Zachód zmalał, co pociąga za sobą poważne konsekwencje.

Przyjdzie chwila, że Chińczycy zrozumieją, że na blok państw komunistycznych można wpływać tylko od wewnątrz a nie zewnątrz. Unormalizowanie stosunków z Rosją wzmocniłoby pozycję Pekinu. Tego nie uczyni Mao — lecz dokonają tego jego następcy. Unormalizowanie stosunków pozwoli Chinom rywalizować z Moskwą w świecie komunistycznym.

Pekin potępił Rosję za agresję przeciwko Czechosłowacji. Gdyby pomiędzy Sowietami i Chinami istniały unormowane stosunki dyplomatyczne i gospodarcze — głos Pekinu w sprawie Czechosłowacji mógł być odegrać pozytywną rolę. Z członkiem obozu, choćby nieprzyjazytnym, trzeba się liczyć — z otwartym wrogiem nie ma powodu się liczyć, bo cokolwiek Moskwa zrobi — Pekin zawsze potępi.

Unormalizowanie stosunków nie jest równoznaczne z pogrzebaniem sporu terytorialnego. Napór Chińczyków w kierunku Syberii będzie wzrastał a nie malał.

Polityka przeciwwagi jest polityką trudną. W tym wypadku nie chodzi o manewrowanie pomiędzy Rosją a Chinami — tak jak usiłowaliśmy manewrować pomiędzy Rosją a Niemcami. Celem naszej polityki winno być natomiast wypracowanie na dalszą metę dobrych stosunków z Chinami. Winniśmy interesować się kulturą chińską, językiem chińskim, gospodarką chińską. Katedry sinologii na uniwersytetach należałoby podwoić i otoczyć specjalną opieką.

Jeszcze raz podkreślam, że znaczenie Chin w kontekście polskiej polityki nie polega na tym, że Chiny są i prawdopodobnie pozostaną antyrosyjskie. Polityka przeciwwagi nie polega na szukaniu sojusznika przeciwko trzeciemu mocarstwu — w tym wypadku przeciwko Rosji. Nie szukamy sojusznika przeciwko Moskwie — tylko szukamy mocarstwa, które w chwili kryzysu poparłoby nas w Moskwie.

Polityka przeciwwagi jest trudna ponieważ nie może mieć charakteru

demonstracji antyrosyjskiej. Przeciwnie, mając dobre stosunki z Chinami moglibyśmy oddawać tak Rosji jak i Chinom wielkie usługi.

Czytałem w prasie krajowej, że w okresie przyjaźni sowiecko-chińskiej — technicy i doradcy rosyjscy byli w Chinach całkowicie izolowani. Natomiast Polacy byli chętnie widziani i zapraszani. W wielu wypadkach delikatne misje Rosjanie powierzali Polakom. Rosjanie w Chinach są znienawidzeni — natomiast Polacy cieszą się sympatią.

Oczywiście mówimy o przyszłych Chinach i o przyszłej Polsce. Lecz polityki tego typu — nowej i antytradycyjnej — nie można improwizować z godziny na godzinę. Dobra polityka musi wyrastać ze zrozumienia i w konsekwencji z poparcia większości narodu. Polacy — mówiąc obrazowo — muszą wprawdzie zwrócić się ku Wschodowi by mogli dojrzeć korzyści płynące ze zbliżenia polsko-chińskiego. Tylko wówczas Chiny przestaną być dla nas... chińszczyzną

Następujące fakty wydają się nie podlegać wątpliwości:

I. Potrzebujemy partnera do polityki przeciwwagi w stosunku do Rosji.

II. Chiny z którymi — w przeciwieństwie do Niemiec nie mieliśmy nigdy sporów czy zatargów — potencjalnie stanowią idealnego partnera dla tego typu polityki.

Problemem rosyjsko-chińskim jest Syberia. Polacy mogliby odegrać ważną, a może decydującą rolę w rozwiązaniu tego problemu, gdyby swoje zaangażowanie zachodnie stopniowo, racjonalnie, przekształcili na zaangażowanie wschodnie. Możemy być kulturalnie ludźmi zachodnimi lecz tematem naszej polityki — jeżeli owa polityka ma mieć jakiś twórczy sens — musi być Wschód.

O EMIGRACYJNYM PATRIOTYZMIE

Antoniego Bogusławskiego, poetę i pisarza poznałem w domu Wańkowiczów na Ealingu. Było to w londyńskim okresie Wańkowicza przed jego wyjazdem do Ameryki.

W opinii Bogusławskiego, który był wielkim znawcą heraldyki i genealogii — byliśmy spowinowaceni. Zaproponował mi więc byśmy mówili sobie po imieniu.

Antoni to było ziemianstwo, *Kurier Warszawski*, kawaleria i konserwatyzm oparty na umiłowaniu tradycji.

W czasie naszego pierwszego spotkania Bogusławski zapytał mnie czy wyobrażam sobie wyzwoloną Polskę bez ziemiańskiego, staropolskiego dworu?

Znałem dziesiątki dworów — intelektualnych jak Pławowice Morstinów, wielkopańskich jak Niedźwiedź Wodzikich i rozpaczliwie zabiedzonych jak Nadzów Bocheńskich. W znakomitej większości dworów jakie znałem — życie umysłowe nie istniało. Konserwatyzm polski nie był żadnym programem politycznym. Konserwatyści brytyjscy oferują wyborcy alternatywę — nowy rząd i nowy program. Konserwatyści polscy nie oferowali żadnej alternatywy — opierali się natomiast każdej zmianie i reformie.

Trzeba jednak podkreślić, że atmosfera polskiego dworu była czymś szczególnym i jedynym w swoim rodzaju. Osobiście bardzo żałuję, że moja córka nigdy nie widziała i nigdy nie zobaczy polskiego dworu. To była ostatnia instytucja, która łączyła w sposób organiczny Drugą Rzeczpospolitą z Pierwszą Rzeczpospolitą.

Powiedziałem wówczas Bogusławskiemu, że jako prywatny człowiek żałuję, że ziemiański dwór zniknął nieodwołalnie z polskiego krajobrazu. Równocześnie, jako publicysta, walczyłbym do upadłego z każdym projektem zmierzającym do odbudowy własności ziemiańskiej w Polsce.

Bogusławski nie mógł zrozumieć tej — jak to określił „podwójnej buchalterii”.

W nawiasach warto zaznaczyć, że w niepodległej Polsce nie istniała bardziej bezsensowna nazwa niż „ziemiaństwo”. Zacytujmy następujący tekst mickiewiczowski:

*„Pan świata wie, jak długo pracować potrzeba;
Słońce Jego robotnik, kiedy znijdzie z nieba,
Czas i ziemianinowi ustępować z pola”.*

Autor „Pana Tadeusza” w powyższym tekście przez „ziemian” rozumiał służbę folwarczną i pańszczyźnianych chłopów.

Szlachta czy obszarnicy — brzmiałoby zbyt prowokacyjnie. Przyjęto więc nazwę ochronną, która była bez sensu ponieważ „ziemianinem” jest każdy człowiek mieszkający na planecie zwanej ziemią. W języku polskim nie istnieje słowo *farmer*. Można było jednak przyjąć nazwę „rolnik”. Lecz ten termin nie posiada *snob value*.

Weźmy inny przykład „podwójnej buchalterii”. Jestem licznymi więzami związany ze Lwowem. We Lwowie mieszkał mój Ojciec i w tym mieście rozstałem się z nim na zawsze. Na Tarnowskiego przeżyłem najboleśniejczy moment w moim życiu. Jak zawsze poddałem się woli mojego Ojca i pozostawiłem go, choć miałem możliwości zabrania go ze sobą. Na Pełczyńskiej mieszkała siostra mojej Matki z liczną rodziną. We Lwowie pracował mój jedyny Brat — były kadet lwowski. Rodowita lwowianka była jego narzeczoną. Odwiedzałem Lwów kilka razy w roku i być może to piękne miasto było mi bliższe niż niejednemu z członków Koła Lwowian.

Jednak po długim i niełatwym namyśle doszedłem do wniosku, że musimy zrezygnować ze Lwowa. Jeżeli bowiem dążenia Niemców do odzyskania Wrocławia określamy rewizjonizmem — to podobnym rewizjonizmem byłyby dążenia Polaków do odzyskania Lwowa. Nie możemy kultywować rewizjonizmu polskiego i równocześnie potępiać rewizjonizm niemiecki. Obecne granice Polski są korzystne i należy ich bronić za wszelką cenę. Wysuwając postulat zwrotu Lwowa i Wilna gralibyśmy w ręce rewizjonistów niemieckich, którzy od dawna głoszą, że Polsce należy przywrócić granice z 1939 r. a Niemcom granice z 1937 r.

Podzielał w pełni sentyment członków Koła Lwowian, lecz nie podzielał zasady identyfikowania osobistego sentymentu z patriotyzmem. Istotą patriotyzmu jest racjonalna obrona interesów 32-milionowego Narodu Polskiego. Interesy Narodu Polskiego w danej sytuacji mogą się pokrywać lub nie pokrywać z osobistym sentymentem jednostki.

Jest mi gorzko pogodzić się z myślą, że grób mojego Ojca na lwowskim cmentarzu znajduje się dziś w Związku Sowieckim. Lecz grób mojego Ojca dla mnie najdroższy — to jednak nie są interesy Narodu Polskiego. Ci, którzy osobisty sentyment identyfikują wbrew logice i rozumowi z interesami Narodu — dopuszczają się szlachecko-warcholskiej prywaty. Ten typ patriotyzmu daleko więcej szkodzi Polsce niż pomaga.

Racjonalny patriotyzm jest zawsze owocem wyrobienia i dojrzałości politycznej. Patriotyzm emigranta jest trudny i gorzki ponieważ pozbawiony jest jakiegokolwiek rekompensaty.

Przed dwoma laty otrzymałem list od mojego kuzyna z Kraju. Historia typowa i nietypowa. Reforma rolna pozbawiła go majątku. Zabytkowy, modrzewiowy dwór rozebrano. Ponieważ jednak mój kuzyn był inżynierem rolnikiem i stosunkowo młodym człowiekiem — władze zaoferowały mu pracę na Ziemiach Odzyskanych. Osiedlał chłopów z Małopolski Wschodniej i z innych części Kraju na poniemieckich gospodarstwach. W cytowanym liście mój kuzyn napisał: „owe lata, kiedy pracowałem nad utrwaleniem polskiego stanu posiadania na tych piastowskich ziemiach uważam za najpiękniejszy okres w moim życiu”.

Na rekompensatę tego typu emigrant nie może liczyć. Polska oczekuje pracy od emigranta lecz nie jest w możności niczym go nagrodzić. Dlatego stworzyliśmy sobie fikcyjne order, fikcyjne awanse — cały zastępczy aparat rekompensacyjny.

Czynnikiem, który deformuje emigracyjny patriotyzm — są wspomnienia.

W prasie amerykańskiej pewien Słowak opisał następującą przygodę. Tęsknił za swą wsią rodzinną i przez 15 lat odkładał pieniądze na podróż. Tej wiosny — korzystając z liberalnych rządów Dubczeka — nasz Słowak odwiedził swoją wieś rodzinną. Po kilkudniowym pobycie stwierdził, że przez ubiegłe ćwierć wieku jego wieś zmieniła się nie do poznania, utraciła — jak pisze — swą identyczność i osobowość. Lecz pointa tej historii leży gdzie indziej. Stary chłop, którego gość z oceanu pamiętał ze swego dzieciństwa pyknął fajkę i oświadczył: „Co wy mówicie — tutaj, od czasów nieboszczki Austrii prawie nic się nie zmieniło”.

Wszyscy starzy ludzie wspominają. Znakomity zoolog Konrad Lorenz w jednej ze swoich czarujących książek wyraża pogląd, że mądre, stare psy również wspominają ubiegłe lata. Lecz w normalnym życiu ludzkim musi być zachowana równowaga pomiędzy czasem przeszłym a czasem teraźniejszym. Jeżeli bierzemy aktywny udział w codziennym stwarzaniu się rzeczywistości — wówczas nie zatracamy poczucia ciągłości pomiędzy czasem przeszłym a czasem teraźniejszym. Wówczas wspomnienia nie nabierają autonomicznego, samodzielnego statusu — tylko stanowią ciąg bieżącego życia.

Z zacytowanych dwóch reakcji normalniejszą jest postawa owego starego słowackiego chłopca, ponieważ wspomnienia nie wyobcowały go z procesu przemian w jego rodzinnej wsi. Natomiast przybysz z Oceanu ze swoim bagażem wspomnień wylądował w Ojczyźnie obcy i wyalienowany. Rozczarowany i rozgoryczony wrócił do Stanów Zjednoczonych.

Nasze wspomnienia — podobnie jak owego Słowaka z Ameryki — są fałszywe, ponieważ są oderwane od rzeczywistości. Stanowią rozdział powieści, której brak jest dalszego ciągu.

Wyobraźmy sobie, że w Polsce dochodzi do przewrotu. Nie jest istotne w tej chwili jak ów przewrót by się dokonał — zakładamy jednak, że na czele partii stanęli nowi ludzie, którzy cieszą się masowym poparciem społeczeństwa.

Polacy w Kraju i my w *Kulturze* powitalibyśmy przewrót z entuzjazmem. Lecz na emigracji, zwłaszcza w kołach starszego pokolenia, nastąpiłaby gwałtowna konfrontacja wspomnień z rzeczywistością. Polski Dubczek byłby komunistą, wolność nie oznaczałaby wolności likwidacji socjalizmu. Polska w

owym momencie mogłaby stanowić odwrotność „gomułkizmu” — lecz cóż z tego, skoro stanowiłaby również odwrotność Polski ze wspomnień. Zaakceptować i poprzeć polskiego Dubczeka oznaczałoby zdradzić wspomnienia i wyimagiczowany wizerunek Polski, który z owych wspomnień w całości jest utkany.

Należę już do starszego pokolenia emigracji. Nie wiem czy potrafiłbym odnaleźć się w Polsce zorganizowanej podobnie jak Czechosłowacja w czerwcu i lipcu br. Lecz patriotyzm nie dotyczy Polski w której my moglibyśmy się odnaleźć. Walczymy o Polskę dla 32-milionowego narodu, który każdą zmianę na lepsze powitałby z uczuciem ulgi i radości. Patriotyzm zaczyna się tam, gdzie kończą się prywatne interesy, prywatne sentymenty i prywatne wspomnienia. Dla emigranta dostępna jest tylko najtrudniejsza forma patriotyzmu ponieważ nie walczymy o Polskę dla siebie tylko dla innych. Bylibyśmy bowiem wyobcowani i wyalienowani w każdej Polsce — nawet w Polsce, która stanowiłaby dokładną kopię Polski przedwrześniowej. W sprzyjających warunkach moglibyśmy Polskę odwiedzać, lub nawet w niej zamieszkać. Lecz to nie byłoby powrót. Po trzydziestu latach nieobecności — nigdzie się nie wraca.

„CHARAKTER NARODOWY”

Ponieważ nigdy nie byłem w Rosji i nie uważam się za „politycznego rusycystę” — słucham z nabożeństwem opinii polskich sowietologów. Jeden z nich krytykując naszą politykę w stosunku do Rosji zauważył, że nasz błąd polega na tym, że oczekujemy „rozwoju, który jest sprzeczny z istotą rzeczy”. Jeżeli mały chłopak wykazuje wybitne zdolności do muzyki — byłoby sprzeczne z istotą rzeczy oczekiwać, że zostanie aptekarzem. Podobnie — demokratyzacja, przebudowa Sowietów w prawdziwą federację itp. — są sprzeczne z narodowym charakterem rosyjskim i dlatego nie należy wiązać z nimi nadziei.

Zadumałem się nad powyższą opinią. Znacząca Rosji zapewne nie jestem lecz nawet śmiertelny wróg nie może mi odmówić pewnej znajomości Polski i Polaków. Otóż gdyby mnie ktoś zapytał w roku 1956 jaka będzie reakcja armii polskiej jeżeli Rosjanie zechcą jej użyć do stłumienia powstania węgierskiego, oświadczyłbym: bunt. W takiej sytuacji w armii polskiej z całą pewnością doszłoby do buntu i Rosjanie mieliby wówczas do stłumienia dwa powstania — węgierskie i polskie.

W 12 lat później ta sama armia polska wzięła czynny udział w tłumieniu rewolucji czechosłowackiej. W prasie ukazały się fotografie przedstawiające polskich dowódców dekorujących, na czeskim „polu chwały”, żołnierzy polskiej armii. Trudno o bardziej jaskrawy przykład „ewolucji sprzecznej z istotą rzeczy”. Czegoś równie nie polskiego — czegoś równie sprzecznego z polskim charakterem narodowym trudno sobie wyobrazić. A jednak stało się.

Słyszałem opinię, że gdyby Czesi stawili czynny opór, gdyby podjęli walkę — Polacy nie strzelaliby do Czechosłowaków.

Nie podzielam tego optymistycznego mniemania. W chwili gdy rozpoczęto inwazję nikt nie mógł przewidzieć jak potoczą się wypadki. Polscy dowódcy nie wiedzieli i wiedzieć nie mogli czy nie przyjdzie im użyć broni przeciwko Czechosłowakom. To nie były manewry tylko militarna operacja, mająca na celu przywołanie Czechów „do porządku” siłą i ogniem, gdyby zaszła potrzeba. Wkraczając zbrojnie do Czechosłowacji Polacy tym samym zademonstrowali

gotowość użycia broni, jeżeliby Rosjanie tego zażądali. Nie można wybielać Polaków faktem, że nie strzelali. Żołnierze polscy nie strzelali ponieważ Czesi nie stawiali oporu. Nie ulega wątpliwości, że gdyby Polacy natknęli się na opór — użyliby broni na równi z Rosjanami. Gdy się mówi „A” — nie można krzyczeć, że się nie powie „B”, ponieważ nikt nie ma powodu w to wierzyć.

Sowietologowie mają gotową odpowiedź na każdy problem w Związku Sowieckim. Będąc skromnym „polonologiem” nie umiem odpowiedzieć na pytanie dlaczego Polacy w stosunku do Czechosłowaków tak się zachowali. Po prostu — nie wiem. Mogę tylko stwierdzić, że zachowali się w sposób nie-typowy i nie zgodny z polską tradycją.

Francuzi, którzy załamali się w początkach ubiegłej wojny światowej — to byli ci sami Francuzi, którzy — ku podziwowi świata — walczyli jak lwy na polach bitew pierwszej wojny światowej.

Narody zdolne są do niespodzianek podobnie jak ludzie. Twierdzenie, że Rosjanie są niezdolni z istoty rzeczy do wytworzenia z czasem instytucji demokratycznych — jest bezpodstawne. O tzw. charakterze narodowym decyduje uwarunkowanie historyczne czyli suma doświadczeń. Francuzi zawiedli u progu drugiej wojny światowej ponieważ skrwawili się ponad miarę w czasie pierwszej wojny światowej. W roku 1956 Polacy nie poszli śladem Węgrów. Gdyby Polacy nie mieli za sobą Powstania Warszawskiego, być może, zachwaliby się inaczej.

„Charakter narodowy” nie może być traktowany za „istotę rzeczy” — ponieważ „charakter narodowy” ulega zmianom.

Utrata ziem wschodnich i przesunięcie Polski na Zachód wywrą z całą pewnością formatywny wpływ na nasz „charakter narodowy”. Znikną z powierzchni polskiego życia wybitne i kolorowe postacie jak Wańkowicze, Mackiewicz, Pruszyński, Żbyszewscy, Miłosze i dziesiątki innych. Ci ludzie wywierali wpływ i nadawali barwę polskości. Gdy ich zbraknie Polska będzie inna.

Niedługo wymrze pokolenie stalinowskie. Gdy zejść do grobu ludzie, którzy pamiętają Stalina i jego rządy z własnych doświadczeń, w Rosji nastąpią wielkie zmiany. Ci ludzie byli uwarunkowani w pewien określony sposób. Uwarunkowania nie można nikomu przekazać. Co innego jest służyć Stalinowi przez 10 czy 15 lat — a co innego jest czytać o Stalinie w podręczniku historii.

Nie twierdzę, że ze śmiercią ostatniego człowieka, który pamiętał Stalina — w Rosji zakwitnie integralna demokracja. Twierdzę natomiast, że Rosja się zmieni i skłonny jestem przypuszczać, że zmieni się bardzo znacznie.

W Rosji znajdują się na wymiaru dwa typy, które przez stulecia definiowały charakter narodowy. Mam na myśli autokratę i muzyka. Jeden uwarunkowywał drugiego. Dziś muzyk umie czytać i pisać i przekształca się w społecznie uświadomionego robotnika. Autokrata natomiast przekształca się w technokratę. Rząd sowiecki z jednej strony walczy z inteligencją — z drugiej strony nakładem wielkich kosztów produkuje co roku nowe zastępy inteligencji przekreślając tym samym możliwości przetrwania systemu.

Rosja się zmienia. To tylko pewni sowietologowie nie zmieniają się nigdy.

Projekt nowego kodeksu karnego

Projekt a współczesne tendencje kryminologiczne

W dniu 9 marca 1968 r. przedłożono Sejmowi i przekazano następnie Komisji wymiaru sprawiedliwości projekt nowego Kodeksu Karnego. Należy oczekiwać że wkrótce zostanie uchwalony i wejdzie w życie bez istotnych zmian. Nie znaczy to że projekt nie ulegał zmianom uprzednio w swych fazach przygotowawczych. W istocie jest to czwarty z kolei projekt opracowany przez Komisję Kodyfikacyjną, — lecz pierwszy, przedłożony Sejmowi do uchwalenia. Poprzednie wersje z lat 1951, 1956 i 1963 nie wyszły poza stadium dyskusji. Nie wytrzymały krytyki i nie znalazły aprobaty. Wskazuje to na duże rozbieżności poglądów wśród decydujących czynników, będące odbiciem zmian zachodzących w Polsce. Obecny projekt Kodeksu Karnego również stał się przedmiotem dyskusji, zarówno w pismach fachowych jak prasie codziennej. Z głosów specjalistów wyłoniła się analiza rozległa, szczegółowa i wnikliwa, ale w przeważającej mierze immanentna, wychodząca z ustalonych założeń i zasad.

Projekt Kodeksu został opracowany dla Rzeczypospolitej Ludowej według podstawowych wytycznych Komisji Wymiaru Sprawiedliwości K.C. Partii. Polityczne cele budowy socjalizmu w Polsce przesłaniają właściwe zadania polityki penologicznej, które przyświecają każdemu kodeksowi karnemu. Wprowadzając projekt do Sejmu, minister sprawiedliwości powiedział to wyraźnie:

„... projekt kodeksu karnego, uwzględniając wnioski płynące z doświadczeń budowy nowego ustroju, wychodzi z założenia, że kodyfikacja musi w pełni odpowiadać zasadom naszego ustroju i stanowić odbicie dotychczasowego dorobku, ugruntowanych przemian. Zarazem nawiązuje on do przewidzianego kierunku dalszego rozwoju społeczno-politycznego i gospodarczego, tak aby kodyfikacja odpowiadała nie tylko aktualnym, lecz także — w miarę możliwości — przyszłym potrzebom dalszego budownictwa socjalizmu”. (*Nowe Prawo*, Nr 4, 1968, str. 504).

Polityczne cele projektu nie stanowią niespodzianki. Są one wspólne kodeksom Związku Sowieckiego oraz rzeczywistych ludowych i socjalistycznych. Choć różnią się co do treści i czasu powstania, opierają się na podobnych założeniach dla realizowania podobnych celów.

Polityczne cele z natury rzeczy ograniczyły możliwość korzystania w pełni z dorobku myśli i doświadczenia istniejącego w dziedzinie kryminologii, socjologii przestępstwa, polityki penologicznej i kodyfikacji prawa karnego. A dorobek to ogromny.

Przestępców karano od tysięcy lat, jak daleko sięga pamięć historii. Do niepoznania zmieniały się wielokrotnie stosunki społeczne — ewolucyjnie i rewolucyjnie. Zmieniały się organy i sposoby karania. A przestępstwo trwało i trwa bez względu na ustroje polityczne, gospodarcze i społeczne. W 1966 roku liczba skazanych w Polsce wynosiła prawie 265.000.

Ludzki dramat winy i kary stale rzucał wyzwanie umysłowi człowieka. Refleksja stuleci, zwłaszcza ostatniego półtorawiecza, rozważała wszechstronnie zadania stojące przed prawem karnym i środki ich realizacji. Jakie zachowanie winno być określane jako występné? Jaki cel winien przyświecać stosowanym sankcjom? — Zemsta, odwet, odstraszenie, konieczna obrona społeczna, prewencja, poprawa, leczenie i rehabilitacja, ochrona społeczna — to tylko najbardziej podstawowe teorie celów.

Ogromna rozbieżność poglądów zarówno teoretyków jak i praktyków wynika z różnic w podstawach wartościowania. Nie jest to wolna od ocen dziedzina teoretycznych badań, w których jedynym sprawdzianem jest prawda empirycznie potwierdzona. Jak w każdej dziedzinie polityki w polityce penologicznej przyświeca zasada celowości. Rozumieli to już starożytni Grecy. Pisarz rzymski Seneka cytuje słynne powiedzenie, które Platon włożył w usta Protagorasa w znanym dialogu „... *nemo prudens punit quia peccatum est, sed ne peccetur*” (rozumny człowiek karze nie dlatego, że ktoś zgrzeszy, lecz aby nie grzeszył).

Z pokolenia na pokolenie, ze stulecia na stulecie zmieniał się stopień ważności, przypisywany poszczególnym teoriom kary w miarę tego jak się zmieniały: koleje sporu od wieków toczono między determinizmem i zasadą wolnej woli; postawy społeczeństw wobec ich socjalnych buntowników; zasięg wiedzy o przyczynach przestępczości; polityczne i społeczne poglądy; wzrost zrozumienia osobowości psychologicznej jednostki i motywów jej działania. Odegrały też swoją rolę — różnych barw rewolucyjne zmiany, używając kodeksów karnych jako narzędzi politycznej perswazji.

Realisci prawa mówią, że niepospół żyć ani bez prawa ani według prawa, usprawiedliwiając swój pesymizm licznymi faktami dnia dzisiejszego i historii.

Jak daleko w kierunku postępu i współczesności poszli autorzy projektu polskiego? Bertrand Russell pisał:

„Jeśli jest niezbędne, aby stosować władzę sprawowaną w społeczności dla zapobiegania pewnym kategoriom działania przy pomocy prawa karnego, jest również konieczne, aby ograniczyć to wyłącznie do działań naprawdę szkodliwych dla społeczności oraz odrzucić koncepcję winy w traktowaniu przestępców i zastąpić ją tą samą postawą, jaką zajmujemy w traktowaniu chorych” (*Roads to Freedom* — 1918, str. 136).

Lenin poszedł znacznie dalej w swych pismach. Oto znany ustęp z tomu I jego dzieł (*Imperializm — The State and Revolution*, str. 193, tłumaczenie moje):

„Nie jesteśmy utopistami i wcale nie przeczymy możliwości nieuniknionych przekroczeń jednostek i konieczności usuwania tych przekroczeń. Przede wszystkim jednak nie potrzeba do tego specjalnego systemu czy narzędzia represji. Dokona tego sam uzbrojony naród w sposób równie prosty i szybki jak każde zbiorowisko cywilizowanych ludzi, nawet we współczesnym społeczeństwie, rozdziela parę walczących lub nie pozwala na gwałcenie kobiety. Ponadto zaś wiemy, że podstawową społeczną przyczyną przekroczeń, które gwałcą normy życia społecznego, jest wyzysk mas i ich nędza. Wraz z usunięciem tej głównej przyczyny przekroczenia zaczną zanikać w sposób nieunikniony. Nie wiemy jak szybko i w jakich etapach, wiemy jednak że będą zanikać. A wraz z ich zanikaniem będzie zanikać również państwo...”

Minęło pół wieku od zwycięstwa doktryny politycznej Lenina w Związku Sowieckim i blisko 25 lat od czasu wprowadzenia tej doktryny przez Związek Sowiecki do krajów Europy Środkowej. Nie przybliżyła się wcale realizacja wizji Lenina. Nie zanikają tam ani przestępstwa ani kodeksy karne. Mówi się że trzeba czekać i to długo... Historia jest cierpliwa. Jej istotą są zmiany i to we wszystkich dziedzinach, łącznie z ideologią. Wszak dzień dzisiejszy jest dla niej tylko prologiem jutra...

W międzyczasie bardziej realistyczne poglądy znajdują wyraz w Polsce. Pisał prof. dr Stanisław Walczak, obecny minister sprawiedliwości:

„Jeśli chodzi o źródła przestępczości w państwie socjalistycznym, niespół nadal upraszczać, a przez to wulgaryzować zagadnienia, utrzymując że źródłami przestępczości są wyłącznie pozostałości świadomości burżuazyjnej u przestępcy — członka społeczeństwa socjalistycznego — bądź wpływ otoczenia kapitalistycznego. Trzeba zatem obarczyć naukę badaniem tego zjawiska”. (*Nowe Prawo*, Nr 5, 1962, str. 632).

O ile wizja Lenina co do zanikania przestępstwa przesuwa się w bardzo odległą i nieznaną przyszłość, idea Bertranda Russella, aby traktować przestępstwo jako nabytą społecznie chorobę, a nie jak zawinioną zbrodnię, znalazła wyraz w coraz bardziej dominującym międzynarodowym ruchu współczesnego traktowania przestępstwa. W Europie nosi on nazwę Społecznej Ochrony (*Defense Social*). Poza podobieństwem nazwy nie ma ona nic wspólnego z całkowicie przestarzałą zeszlowieczną teorią o koniecznej obronie społecznej przez zastraszenie w postaci stosowania bardzo surowych represji za popełniane przestępstwa. Współczesny Ruch Ochrony Społecznej wywarł wpływ, choć w

różnym stopniu, na wszystkie nowe kodeksy karne, opracowane w tym wieku przed wybuchem wojny, łącznie z polskim Kodeksem z 1932 roku, a po wojnie — w ogromnej mierze — na kodeks szwedzki z 1962 roku.

Po wojennej przerwie Międzynarodowy Ruch Ochrony Społecznej szybko odrodził się ze wzmożoną siłą, zwłaszcza od czasu jego Międzynarodowego Kongresu, odbytego w San Remo w 1947 roku oraz poparcia, jakiego udzieliła Organizacja Narodów Zjednoczonych, przyjmując w 1948 r. koncepcję ochrony społecznej, jako sposób traktowania przestępstwa. Począwszy od r. 1954 Ruch ten wywierał wielki wpływ na wszystkich międzynarodowych kongresach prawa karnego i kryminologii (w Antwerpii 1954, w Mediolanie 1956, w Sztokholmie 1958, w Belgradzie 1961).

W Stanach Zjednoczonych powstał silny prąd, podobny co do celów choć nie używa tej nazwy, na skutek badań amerykańskich socjologów i kryminologów. Ich surowa naukowa krytyka tradycyjnych systemów karnych w poszczególnych stanach oraz opracowane pozytywne projekty reform spowodowały bardzo daleko idące zmiany w traktowaniu przestępcy w kierunku jego poprawy i umożliwienia powrotu do normalnego życia społecznego. Prąd współczesnego naukowego podchodzenia do przestępstwa wykazał wielkiej miary osiągnięcie, gdy w 1962 roku Amerykański Instytut Prawa ogłosił drukiem Model Kodeksu Karnego, owoc ponad 20-letniej pracy najlepszych umysłów prawniczych w Stanach Zjednoczonych. Ma za zadanie ułatwić pracę poszczególnym stanom, gdy decydują o reformie prawa karnego i wprowadzeniu nowych kodeksów. Jak wiadomo każdy z 50 amerykańskich stanów posiada odrębny kodeks, uchwalany przez własne ciało ustawodawcze.

Co z dorobku współczesnej polityki penologicznej znalazło wyraz w postanowieniach nowego projektu polskiego Kodeksu Karnego? Czy realizuje w większym stopniu nowoczesne podejście do zagadnienia przestępstwa i kary niż Kodeks z 1932 roku?

Polityka określania działań mianem przestępnych

Nowy projekt, pisany współczesną techniką ustawodawczą, wygląda na pierwszy rzut oka na rejestr określeń przestępstw i groźących za nie kar. Jest to zresztą praktyczny punkt widzenia osób, zawodowo biorących udział w codziennym wymierzaniu sprawiedliwości w sprawach karnych. W istocie jednak — to zbiór norm prawnych, choć w skróconej formie. W pełnym wyśłowieniu każda z nich posiada wyraźnie dwa oblicza. Jednym zwraca się do wszystkich osób poddanych mocy obowiązującej Kodeksu, zakazując im dokonywania określonych działań lub, rzadziej, nakazując ich podejmowanie. Drugim obliczem zwraca się norma do organów wymiaru sprawiedliwości, polecając wymierzanie kary w określonych warunkach nieposłuszeństwa.

Z punktu widzenia jednostki Kodeks Karny ogranicza najsu-

rowszymi sankcjami naturalną swobodę działania, stwarzając zasięg prawnie chronionej wolności. Co nie jest zakazane, należy do jej zasięgu. W istocie — przestępców tworzy państwo, ogłaszając karne normy prawne, podobnie jak zakazy religii tworzą grzeszników. Im rozleglejszy zasięg norm w kodeksie karnym, tym większa liczba przestępców a zarazem mniejszy zakres prawem chronionej wolności. Gdy zanika kodeks karny w wizji Lenina znikają przestępcy. Wymaga wielkiej wiedzy trudna i odpowiedzialna funkcja ograniczania swobody działania, aby wszystkim zapewnić prawną wolność. Oczywiście państwo ma pełnię władzy do zakwalifikowania jako przestępstwa każdego działania. Tylko konstytucja określa jej granice. Jednakże nauka i praktyka prawa nawoływały i nawołują do wielkiej powściągliwości w tworzeniu nowych przestępstw, a co za tym idzie i nowej kategorii przestępców. Jak to określił wielki obrońca amerykański Clarence Darrow, „normy prawa karnego jak ubrania winny pasować do przekonani społeczności, której służą”. Już Blackstone wieki temu pisał, że maksymy i zwyczaje, na których opiera się angielskie *common law*... czerpią swoją moc wiążącą z powszechnego uznania i stosowania”. Podkreślano że choć społeczność ma prawo bronić się przed destruktywnymi osobnikami w swym łonie, jednak winna to czynić w taki sposób, aby najmniej ograniczać swobodę swych członków. Wzorem Benthama próbowano sformułować niezbędne do tego warunki, by zasadnie uznać działanie za nowy czyn przestępczy. A więc działanie winno być szkodliwe w tak wysokim stopniu, by stanowiło to całkowitą przeciwwagę cierpienia, powodowanego przez stworzenie nowego przestępstwa. Nowy czyn przestępny winien być określony z precyzją i możliwy do przekonującego udowodnienia. Zasady wartościowania, leżące u podstawy nowej normy prawa karnego, winny odpowiadać przeciętnemu sądowi o tym co stanowi wymagane minimum i podnoszenie tych podstaw wartościowania winno następować powoli i stopniowo. Wreszcie winno istnieć przekonanie opinii publicznej o wyraźnej konieczności zapewnienia ochrony karnej i przeświadczenie o bezskuteczności ochrony innego rodzaju. „Nie należy tworzyć nowych norm prawnych, tylko je odkrywać” — głosi znane anglosaskie powiedzenie prawne.

Nauka nie tylko nawołuje do wielkiej powściągliwości w tworzeniu nowych przestępstw, lecz również do depenalizacji istniejącego prawa karnego przez zastępowanie sankcji karnych sankcjami prawa cywilnego, eliminowanie z kodeksu przestępstw, które w opinii publicznej straciły rację bytu albo mogą być traktowane jako wykroczenia, załatwiane w trybie administracyjnym bez piętna przestępstwa.

Kodeks karny dobrze charakteryzuje i oświecla podstawowy stosunek między jednostką a państwem. W demokratycznych krajach zachodnich truizmem w literaturze prawnej stało się powiedzenie, że jednym z głównych celów kodeksu karnego jest raczej ochrona jednostki przed arbitralnymi działaniami państwa i jego urzędów, niż szczególna, wyolbrzymiona ochrona państwa przed

jednostkami. Niewątpliwie w interesie publicznym leży ochrona ładu prawnego i to jest również celem prawa karnego. Wszelako gdyby powstała konieczność wyboru między ryzykiem zakłócenia ładu prawnego i wyrządzeniem niesprawiedliwości jednostce — wybrać należałoby niewątpliwie ochronę jednostki. Według utartego powiedzenia, które znalazło wyraz w motywach wyroku Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych — „lepiej by 99 winnych uszło zasłużonej kary, niż aby został ukarany jeden niewinny”. Istotnie, państwo nie potrzebuje specjalnej, wyższej niż jednostka, ochrony ze strony kodeksu karnego. Broni go dostatecznie armia, milicja i cały aparat bezpieczeństwa. Natomiast pieczy prawa i sądów bardzo potrzebuje jednostka, której jedyną obroną jest sprawiedliwość i prawa. Daje temu niewątpliwym wyraz postanowienie amerykańskiego Modelu Kodeksu Karnego, wymieniając cele, przyświecające określeniu działania mianem przestępnego. Oto tekst. „Sekcja 1.02. Cele i zasady wykładni:

„(1) Postanowieniom definiującym przestępstwa przyświecają następujące ogólne cele:

a) zakaz i zapobieganie zachowaniu, które w sposób nieusprawiedliwiony i nieuzasadniony wyrządza poważną szkodę dobru indywidualnemu lub publicznemu,

b) poddanie publicznej kontroli osób, których postępowanie wskazuje, że skłonne są do popełnienia przestępstwa,

c) zapewnienie ochrony nienaganemu postępowaniu przed ewentualnością uznania go za przestępne,

d) należyte przestrzeżenie o istocie zachowania się, określonego jako przestępne”.

Według jakich zasad wytycza linie graniczne polski projekt nowego kodeksu? Autorytatywną odpowiedź daje zarówno materialne określenie przestępstwa w art. 1 projektu, jak i wyjaśnienie ministra sprawiedliwości. Sprawdzianem jest „społeczne niebezpieczeństwo”. Art. 1 projektu głosi:

„Odpowiedzialności karnej podlega ten tylko, kto dopuszcza się czynu, społecznie niebezpiecznego zabronionego pod groźbą kary przez ustawę obowiązującą w czasie jego popełnienia”.

Jeden z referentów projektu wyjaśnia rolę społecznego niebezpieczeństwa w słowach:

„Jak wykazuje doświadczenie wszystkich państw socjalistycznych, pojęcie wyrażające syntetycznie materialną treść przestępstwa jest pomocne w ograniczeniu czynów karalnych od czynów, za które represja karna jest niecelowa lub zgola niewskazana, jest też użyteczne jako ogólny miernik surowości represji (Igor Andrejew — „W drodze do nowego Kodeksu Karnego” — *Nowe Prawo*, marzec 1966 str. 201).

Wnosząc zaś projekt ustawy do Sejmu minister sprawiedliwości wyjaśnił:

„Kierując się zasadami prawa socjalistycznego, projekt Kodeksu Karnego

nadaje przestępstwu *konkretną treść materialną*. Nie sam tylko formalny zakaz popełnienia przestępstwa decyduje o przestępczości czynu; czyn dlatego jest w pojęciu socjalistycznego prawa karnego przestępstwem, że jest czynem społecznie niebezpiecznym". (*Nowe Prawo*, Nr 4, 1968, str. 507).

Znaczenie trzech ostatnich wyrazów wymaga dokładnego sprecyzowania. Przywodzą one na myśl współczesny, postępowy sposób traktowania przestępcy, krzewiony skutecznie przez Międzynarodowy Ruch Ochrony Społecznej, uprzednio wspomniany. Jednakże materialna definicja przestępstwa nie ma z tym ruchem nic wspólnego i w istocie jest zaprzeczeniem jego zasad i celów. Wyrazy „społecznie niebezpieczny” oznaczają bowiem „niebezpieczny dla mas pracujących Polski Ludowej w okresie przejściowym do socjalizmu” (I. Andrejew, L. Lornell, J. Sawicki — *Prawo karne Polski Ludowej*, Warszawa 1950, wydanie Ministerstwa Sprawiedliwości, str. 122).

Tamże na str. 21 czytamy:

„Prawo karne Polski Ludowej ma za zadanie ochronę państwa ludowego i ustanowionego w nim porządku prawnego, ochronę ustroju demokracji ludowej, tj. władzy mas pracujących z klasą robotniczą na czele, przed zamachami na interesy tych mas pracujących w okresie przejściowym do socjalizmu”.

Zasada społecznego niebezpieczeństwa tak pojmowana jest więc podstawą w rozgraniczaniu czynów określonych jako przestępstwa od czynów dozwolonych. Trzeba dodać, uprzedzając tok wykładu, że także jest miernikiem surowości kary. Zasada ta, w istocie swej polityczna raczej niż penologiczna, znalazła zastosowanie w projekcie z całą konsekwencją. Ryzykując pewne uproszczenie gwoili jasności, postawmy tezę, że obecny projekt to recepcja norm Kodeksu Karnego z 1932 r. i licznych powojennych ustaw karnych, zrewidowanych z punktu widzenia zasady społecznego niebezpieczeństwa. Rewizja i zmiana ustawodawstwa dotychczasowego poszły w dwóch kierunkach: rozszerzenia zakazów i nakazów norm prawa karnego i zwiększenia sankcji w dziedzinach uważanych za społecznie niebezpieczne dla budowy socjalizmu oraz depenalizacji w dziedzinach mniej ważnych z tego punktu widzenia. Niesposób omawiać szczegółowiej tych zmian. Oto kilka ilustracji.

Projekt rozszerza zakazy, dotyczące podstawowych interesów politycznych i gospodarczych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Tworzy nowe przestępstwo zdrady Ojczyzny dla obywateli polskich w art. 122, który brzmi:

„Obywatel polski, który bierze udział w działalności obcego państwa lub zagranicznej organizacji mającej na celu pozbawienie niepodległości, oderwanie części terytorium, obalenie przemocą ustroju lub osłabienie mocy obronnej PRL albo działając na rzecz obcego wywiadu, godzi w podstawy bezpieczeństwa lub obronności Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

popełnia zdradę Ojczyzny i podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 10 albo karze śmierci”.

Art. 123 zagraża surową, choć nieco łagodniejszą sankcją karną działalności wymierzonej przeciw tym samym interesom politycznym, lecz bez powiązania z obcym państwem lub zagraniczną organizacją albo też podjętej przez cudzoziemca. Oto jego treść:

„Kto, mając na celu pozbawienie niepodległości, oderwanie części terytorium, obalenie przemocą ustroju lub osłabienie mocy obronnej PRL, w porozumieniu z innymi osobami podejmuje działalność zmierzającą do urzeczywistnienia tego celu,

podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 5 albo karze śmierci”.

Projekt Kodeksu Karnego wprawdzie uchyla Dekret z dnia 13 czerwca 1946 r. o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa, czyli tzw. mały kodeks karny, jednak istotne jego przepisy wchodziły do Kodeksu jako części składowe. Niektóre z nich nawet rozszerzono zarówno co do zasięgu zakazów, jak sankcji karnych. Na przykład art. 124 określa jako szpiegostwo przekazywanie obcemu wywiadowi wszelkich wiadomości bez względu na ich treść oraz samo podjęcie się działalności na rzecz obcego wywiadu.

Artykuły 22, 23 i 24 małego kodeksu karnego, znane z procesów pisarzy, z małymi zmianami również weszły do nowego Kodeksu jako artykuły 278 i 280. Art. 278 brzmi:

„Kto rozpowszechnia nieprawdziwe wiadomości, jeżeli to może wyrządzić istotną szkodę interesom PRL,

podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 5”.

Art. 280 zaś głosi:

„§ 1. Kto dopuszcza się czynu określonego w art. 277-279, używając druku lub innego środka masowej informacji,

podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10.

§ 2. Kto w celu rozpowszechnienia sporządza, przechowuje, przewozi, przenosi lub przesyła pismo, druk lub inny przedmiot zawierający treść określoną w art. 277-279,

podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 5”.

Postanowienia ustawy o ochronie mienia społecznego z 21 stycznia 1958 roku oraz istotne postanowienia małego kodeksu karnego o przestępstwach przeciwko interesom gospodarczym Państwa nie tylko weszły do projektu, lecz stworzono definicje nowych przestępstw aferowych, tj. w dużym rozmiarze. Na ogół większość przestępstw włączonych do projektu zachowała dotychczasowe granice odpowiedzialności karnej.

Autorzy projektu w jego uzasadnieniu stwierdzili, że „jednym z założeń kodyfikacji jest ograniczenie penalizacji stosownie do społecznej konieczności”.

Tendencja ta istotnie znalazła wyraz w stosunku do przestępstw mniejszej wagi, które jeden z autorów projektu określa jako

„czyny przestępne, które ze względu na mniejszą dotkliwość zamachów zagrożone zostały karami łagodniejszymi, a jeśli nawet zagrożone są karą pozbawienia wolności, to chodzi ... o wypadki, gdy orzeka się karę z warunkowego pozbawienia wolności”. Tak wydzielona grupa przestępstw jest bardzo szeroka. Stanowi ona dominującą pozycję w aktualnej strukturze przestępczości”. (J. Bafia — *Prawo i Życie* z 5. V. 68 r. str. 41).

W tej dziedzinie, ważnej dla życia codziennego jednostki, projekt zmniejsza znacznie liczbę przestępstw, eliminując niektóre definicje dotychczasowych występków, bądź zamieniając dotychczasowe występkę na wykroczenia i wyłączając wszystkie wykroczenia z definicji przestępstwa.

Krąg zakazów Kodeksu Karnego nie jest jedyny, z którym jednostka musi się liczyć, choć najważniejszy. Otaczają go kręgi inne: zakazy administracyjne, zakazy prawa cywilnego, zakazy dyscyplinarne. Projekt korzysta również z tych możliwości, ograniczając zasięg stosowania Kodeksu Karnego w sprawach mniej ważnych z punktu widzenia „społecznego niebezpieczeństwa”.

W imię tej zasady art. 26 projektu głosi, że „nie stanowi przestępstwa czyn, którego społeczne niebezpieczeństwo jest znikome”. Również ograniczają zasięg stosowania zakazów prawa karnego postanowienia, które w pewnych warunkach wykluczają bezprawność działań skądinąd zabronionych, jeżeli były podjęte w dobrej wierze, w ramach ryzyka gospodarczego lub badawczego, w obronie społecznego interesu lub w granicach dopuszczalnej krytyki.

Wszystko to przyczyniło się do zmniejszenia zakresu zakazów karnych w nowym projekcie.

Z drugiej jednak strony stworzono nowe definicje przestępstw także w dziedzinie występków, kierując się znaną zasadą „społecznego niebezpieczeństwa”. Jednym z takich nowych występków jest prowadzenie pasażerskiego trybu życia dzięki posiadaniu stałego źródła dochodu ze stałego niegodziwego procederu (art. 290).

Reasumując, projekt znacznie rozszerza dotychczasowe granice karalności jeśli chodzi o czyny skierowane przeciwko uznawanym aktualnie za ważne interesom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, zmniejsza liczbę przestępstw drobnych i na ogół pozostawia dotychczasowe granice karalności innych przestępstw, recypowanych z dotychczas obowiązującego ustawodawstwa karnego.

Przestępstwa określa Kodeks Karny, ale zasadzają za nie sądy. Realności prawa zwracają baczniejszą uwagę na sposób stosowania kodeksu w praktyce, niż jego redakcję. W ostatecznym wyniku poziom wymiaru sprawiedliwości zależy od poziomu wypełniania funkcji sądownictwa. Jest to prawdą we wszystkich krajach. Prawdą ta posiada bez porównania większe znaczenie w Polsce, gdzie sędziowie sądów karnych prawnie posiadają bez porównania większą władzę niż w wielu innych krajach. W Stanach Zjednoczonych o zasądzeniu oraz ocenie wszystkich dowodów, na których się opiera, decyduje nie sędzia ale ława 12 przysięgłych, ława współobywateli nie związanych w żaden sposób z władzami

wymiaru sprawiedliwości — i to jednomyślnie. Prawo określa szczegółowo, co może być dowodem w sądzie. Sędzia tylko prowadzi rozprawę, udziela obiektywnego pouczenia przysięgłym o mającym zastosowanie prawie i wymierza karę, gdy przysięgli wyniosą werdykt zasądzający. W Polsce sąd dopuszcza, przeprowadza i ocenia dowody według swego uznania, które tylko w ograniczonej mierze podlega kontroli sądu wyższej instancji. Co za ogrom władzy sądowej! Prezes Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych powiedział, że konstytucją Stanów Zjednoczonych jest nie to, co jest napisane w dokumencie, lecz to co 9 sędziów tego Sądu uważa że jest konstytucją, a więc jak dokument konstytucji interpretują. Można również uważać że działaniem karnie zabronionym jest to, co za zabronione uważają sądy karne.

Czy istnieją dostateczne prawne gwarancje naprawdę niezawisłego wykonywania tej olbrzymiej władzy sądowo-karnej? Czy istnieje rzeczywiście podział władzy państwowej i niezależność władzy sądowej od władzy wykonawczej? Konstytucja i ustawa o ustroju sądownictwa mówi, że sędziowie są niezawisli w zakresie sprawowania swego urzędu sędziowskiego i podlegają tylko ustawom. Jednakże art. 16 Ustawy o Sądzie Najwyższym (Dz. U. Nr 11 poz. 54 z roku 1962) stanowi:

„Rada Państwa wybiera Sąd Najwyższy w pełnym składzie na lat 5”.

Z art. 17 tejże Ustawy wynika, że grono kandydatów przy wyborze Sądu Najwyższego stanowią sędziowie Sądu Najwyższego upływającej kadencji lub osoby, których kandydatury przedstawił minister sprawiedliwości, jednakże Rada Państwa „może dokonać wyboru także spośród innych osób”.

Sędziowie Sądu Najwyższego są więc powoływani na stanowiska nie dożywotnio, lecz tylko na pięcioletnią kadencję, które mogą być ponawiane lub nie ponawiane na podstawie uznania Rady Państwa, a więc politycznej władzy wykonawczej. Co więcej. Sędziowie Sądu Najwyższego są usuwalni nawet w czasie trwania pięcioletniej kadencji, na którą zostali „wybrani”. Art. 20 Ustawy o Sądzie Najwyższym stanowi:

„Rada Państwa odwołuje sędziego Sądu Najwyższego w czasie trwania kadencji, jeśli sędzia...

d) nie daje rękojmi należytego wykonywania obowiązków sędziego Sądu Najwyższego”.

Odwołanie następuje na wniosek ministra sprawiedliwości i po wysłuchaniu opinii pierwszego prezesa Sądu Najwyższego. W ten sposób powoływani i odwoływani sędziowie tworzą Sąd Najwyższy, będący „naczelnym organem sądowym, który sprawuje nadzór nad działalnością sądów powszechnych i szczególnych w zakresie orzekania” (art. 1). Nadzór ten sprawowany jest nie tylko w drodze ostatecznego wyrokowania, lecz także „przez ustalanie wytycznych wymiaru sprawiedliwości i praktyki sądowej” na wniosek ministra sprawiedliwości, prokuratora generalnego albo pierwszego prezesa Sądu Najwyższego” (art. 24 i 28 wspomnianej

Ustawy). Mają one na celu „...zapewnienie prawidłowego stosowania prawa oraz jednolitości orzecznictwa wszystkich sądów. Naruszenie wytycznych może stanowić podstawę uchylenia lub zmiany orzeczenia”. Wszystko to nie przyczynia się do zwiększenia niezawisłości władzy sądowej i narzuca postawione wyżej pytania.

W Stanach Zjednoczonych sędziowie Sądu Najwyższego są nie tylko mianowani dożywotnio, ale są nieusuwalni do tego stopnia, że nie ma dla nich ustanowionej granicy wieku. O przejściu na emeryturę decyduje każdy sędzia sam dla siebie, a nie jakakolwiek bądź władza państwowa. Sędzia Oliver Holmes sprawował funkcje sędziego Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych w wieku lat 90.

Gdy uzyska moc obowiązującego prawa wniesiony do Sejmu projekt Kodeksu, doniosłość roli sądów karnych pozostanie nadal ogromna jak dotychczas, znacznie rozleglejsza niż działoby się to pod rządem projektu Kodeksu Karnego z 1963 roku. Jego krytycy zarzucali mu m.in. tendencję do rozszerzenia granic penalizacji, wynikającą z nadmiernej kazuistyki w definiowaniu poszczególnych przestępstw. Przyznawali to autorzy projektu z 1963 roku, członkowie Komisji Kodyfikacyjnej, wysuwając ważne argumenty w obronie swego stanowiska:

„Większą szczegółowość przepisów karnych podyktowało dążenie do możliwie dokładnego określenia czynów bezprawnych. Oznaczało to umocnienie zasady nullum crimem i nulla poena sine lege, a więc i zwiększenie gwarancji praw obywateli.

Daleko posunięta ogólnikowość, nadmierna abstrakcyjność normy karnej, brak uwypuklenia różnorodności konkretnych form przestępczości — mają ten skutek, że ciężar dostosowania przepisów do życia przesuwają się nadmiernie z ustawodawcy na sędziów...”

Niewątpliwie obecny projekt posiada normy bardziej ogólne niż jego poprzednik. Wystarczy porównać liczbę artykułów. Poprzedni projekt miał 433 artykuły, a obecny kończy się na art. 283 (nie licząc części wojskowej, której uprzedni projekt nie obejmował).

Polityka karania w projekcie Kodeksu Karnego

Dotychczas uwagę kierowaliśmy na to oblicze norm projektu, którym kierują się do wszystkich im poddanych i określają nakazy i zakazy, ograniczające zasięg naturalnej wolności działania.

Przypatrzmy się teraz drugiemu obliczu norm projektu, skierowanym do organów wymiaru sprawiedliwości i nakazującym stosowanie określonych sankcji. Co nowego w tym zakresie wprowadza projekt? Jakże przyświecają mu penologiczne zasady karania?

Podstawową dyrektywą jest znowu ocena społecznego niebezpieczeństwa czynu, pojmowanego w ten sposób jak przy określa-

niu definicji przestępstw, o czym była mowa uprzednio. Sięgnijmy do wyjaśnień jednego z referentów projektu:

„Stopień społecznego niebezpieczeństwa czynu przyjęło się dziś uważać za podstawową wskazówkę przy wymiarze kary. I w tej dziedzinie pojęcie to od 1949 r. weszło do stałego arsenału pojęć praktyki sądowej, tak że nie byłoby słuszne jej tego pojęcia pozbawiać.

Można liczyć na to, że przy odpowiednim ustawieniu przepisów prawa materialnego i procesowego sądy nie będą ograniczały się w uzasadnianiu wymiaru kary li-tylko do powołania się na społeczne niebezpieczeństwo czynu, lecz przez omówienie okoliczności konkretnych będą wskazywały, w czym się wyraża stopień społecznego niebezpieczeństwa rozpatrywanego czynu” (Igor Andrejew — „W drodze do nowego Kodeksu Karnego”. *Nowe Prawo*, marzec 1966, str. 201 i 202).

Społeczne niebezpieczeństwo jako podstawową dyrektywę karania podkreśla również zespół autorów projektu Kodeksu Karnego:

„Określając sankcje zespół starał się dać wyraz ocenie społecznego niebezpieczeństwa typów przestępstw tak aby organy wymiaru sprawiedliwości, opierając się na tych sankcjach, realizowały politykę kryminalną naszego Państwa” (Wprowadzenie do projektu części szczególnej Kodeksu Karnego, str. 47).

Zasada społecznego niebezpieczeństwa w wyżej wyjaśnionym znaczeniu znalazła wyraz zarówno w bardzo surowych sankcjach dla nowostworzonych przestępstw, jak i w podniesieniu sankcji dla recypowanych przestępstw przeciwko podstawowym interesom politycznym i gospodarczym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, przeciwko własności społecznej, przeciwko pokojowi i ludzkości, przeciwko życiu i zdrowiu i innych.

Kara śmierci nie znajduje się w wyliczeniu podstawowych kar zasadniczych i uznana jest za „karę zasadniczą o charakterze wyjątkowym, przewidzianą za najcięższe zbrodnie” (art. 30 § 2).

Wymieniona jest jako sankcja karna nowego Kodeksu w 18 wypadkach, zawsze obok alternatywnej kary więzienia, zamiast 63 wypadków dotychczas obowiązującego prawa, nie licząc spraw rozpoznawanych w trybie sądów doraźnych (według przemówienia ministra sprawiedliwości w Sejmie. *Nowe Prawo*, Nr 4, 1968, str. 511). Miejsce dożywotniego więzienia zajmuje kara więzienia przez lat 25. Minimum kary czasowego pozbawienia wolności wynosi 3 miesiące, maksimum 15 lat.

W Stanach Zjednoczonych konstytucja federalna postanawia wyrażnie, że nie wolno wyznaczać wygórowanych sankcji, nakładać nadmiernych grzywien ani stosować kar okrutnych i niezwykłych (art. VIII). Sądy mają prawo uznać za bezskuteczne sprzeczne z tym zakazem ustawy, zarówno federalne uchwalone przez Kongres, jak stanowe uchwalone przez legislatury. Jeden z niedawnych wyroków Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych podał w wątpliwość konstytucyjność kary śmierci jako kary okrutnej i niezwykłej w świetle współczesnego postępu nauki.

Prawie w tym samym czasie federalny minister sprawiedliwości Ramsay Clark spowodował wniesienie do Kongresu projektu ustawy o uchyleniu kary śmierci w całym ustawodawstwie federalnym. Popierając wniosek w senackiej Komisji Wymiaru Sprawiedliwości minister sprawiedliwości oświadczył w lipcu 1968 r.:

„... W chwili obecnej ponad 70 państw i 13 stanów amerykańskich zniosło całkowicie karę śmierci... W 1935 roku dokonano w całych Stanach Zjednoczonych 199 egzekucji, natomiast w 1966 r. tylko jednej, a w 1967 — tylko dwóch. Na mocy 29 ustaw federalnych przewidujących karę śmierci w ciągu ubiegłych 10 lat wykonano wyrok tylko na jednym skazanym. Być może była to ostatnia egzekucja...

... Nasze uczucia wołają o pomśczenie potwornej zbrodni. Jednak rozum i doświadczenie mówi, że zabicie zbrodniarza nie naprawi skutków jego zbrodni, nie zapobiegnie innym zbrodniom i nie jest wyrazem sprawiedliwości ani dla ofiary przestępstwa ani dla zbrodniarza ani dla społeczeństwa... Zniesienie kary śmierci jest ogromnym krokiem naprzód na długiej drodze rozwoju od czasów barbarzyństwa...” (*Newsweek*, July 15, 1968, str. 28).

Wracając po tej dygresji do projektu polskiego, dobrze chyba będzie stwierdzić znowu że społeczne niebezpieczeństwo jako podstawa penologicznej polityki karania nie ma nic wspólnego ze współczesnym Międzynarodowym Ruchem Ochrony Społecznej, lecz jest wyrazem starej koncepcji odwetu i odstraszania. Piszze jeden z referentów projektu:

„... w świetle dzisiejszej praktyki współmierność do stopnia społecznego niebezpieczeństwa oznacza głównie sprawiedliwą odpłatę z akcentem na prewencję ogólną.

Patrząc na wymiar sprawiedliwości realistycznie, trzeba się liczyć z tym, że kara jest dziś odpłatą za przestępstwo i będzie nią jeszcze przez wiele lat”. (*Nowe Prawo*, Nr 3, 1966, str. 202).

Choć dominujące w Europie i Ameryce prądy kryminologii, penologii i socjologii przestępstwa — uważają tę koncepcję za całkowicie przestarzałą, nie stanowi ona kroku wstecznego w stosunku do dotychczasowego Kodeksu Karnego z 1932 r., w którym również istota i cel kary pojęte były jako odwet, odstraszanie i prewencja, zwłaszcza szczególna (Prof. dr Stanisław Śliwiński — *Prawo karne*, Warszawa 1946, str. 436-440).

Ocena społecznego niebezpieczeństwa czynu przestępnego nie jest jedyną choć podstawową zasadą polityki wymierzania kary, znajdującej się u podstaw projektu. Uzupełniają ją inne. Większość ich w innej nieco redakcji znalazła wyraz już w Kodeksie z 1932 roku. Najważniejsza zmiana wprowadzona do projektu w duchu współczesnej polityki kryminologicznej — to nadanie karze także funkcji wychowawczej (art. 50). Nowy Kodeks nakazuje sądom brać pod uwagę poza dotychczasowymi celami także cele wychowawcze, które ma ona osiągnąć w stosunku do skazanego. W związku z tym projekt wprowadza nieznanymi Kodeksowi z 1932 r. rozdział pt. „Zasady wykonania kary”. Są to zasady indywidualizacji w toku wykonywania kary pozbawienia wolności, aby wpływała ona wychowawczo na skazanego.

Sądom przyznano daleko idący wpływ w toku wykonywania tej kary, stanowiąc że

„sąd może określić rodzaj zakładu karnego, typ rygoru wykonywania kary oraz zarządzać zmiany w stosowaniu metod i środków oddziaływania penitencjarnego”.

Rozwinięcie tych zasad ma nastąpić w projekcie prawa karnego wykonawczego. Oczywiście wiele zależy od tego jak ta słuszna zasada będzie wcielana w życie. Miejmy nadzieję, że w tym duchu, w jakim została sformułowana.

Poza tym projekt wprowadza zmiany w zakresie stosowania kar:

- a) nowy rodzaj kary w postaci ograniczenia (nie pozbawienia) wolności (art. 33),
- b) możliwość orzekania niektórych kar dodatkowych w miejsce kar zasadniczych (art. 55 i in.),
- c) stosowanie w szerszym zakresie grzywny (art. 54),
- d) warunkowe umorzenie postępowania w sprawach o występki „mniej niebezpieczne społecznie” (art. 27 do 29),
- e) nadanie sądom prawa stosowania z własnej inicjatywy nadzwyczajnego złagodzenia kary obok wypadków ustawowych w Kodeksie (art. 57),
- f) rozszerzenie, w stosunku do Kodeksu dotychczasowego, warunkowego zawieszenia wykonania kary pozbawienia wolności (art. 73 i in.),
- g) rozszerzenie zatarcia skazania z mocy samego prawa (art. 111).

Specjalną uwagę poświęca projekt przestępcom młodocianym, kładąc nacisk na wychowawczą rolę kary i dążenie do szybkiego wprowadzenia ich z powrotem na drogę uczciwego życia.

Wszystkie te zmiany są poważnym krokiem naprzód w stosunku do prawa dotychczasowego. W dyskusji określano je mianem wcielania idei humanizmu socjalistycznego. Są one równocześnie częściowym wcielaniem w życie postulatów Międzynarodowego Ruchu Ochrony Społecznej.

Projekt pozostaje mimo to kodeksem karnym, kodeksem winy i kary jak dotychczasowy Kodeks z 1932 roku. I zapewne wiele minie lat nim zamieni się w kodeks środków obronnych społeczeństwa, w kodeks bez „winy” i bez „kary” a jednak skutecznie zabezpieczający społeczeństwo przed zakazanymi działaniami przez stosowanie izolacji, segregacji lub odpowiednich metod wychowawczych i zaradczych według wskazań wielkiego dorobku współczesnej nauki.

Dla nadania porównaczej perspektywy już projektowanym zmianom — dobrze chyba przytoczyć odpowiednie postanowienia Modelu Kodeksu Karnego, opracowanego przez Amerykański Instytut Prawa, jako należyty wyraz współczesnego rozumowania specjalistów państw zachodnich w tych sprawach.

„Seksja 1.02

- (2) Postanowieniom o wymiarze kary i traktowaniu przestępców przyświecają następujące cele ogólne:
- a) zapobieganie popełnianiu przestępstw,
 - b) stosowanie środków poprawy i rehabilitacji przestępców,
 - c) zabezpieczanie przestępców od karania nadmiernie surowego, nieproporcjonalnego w stosunku do popełnionego przestępstwa lub dowolnego,
 - d) odpowiednie przestrzeżenie o wysokości kary, która może być wymierzona w wypadku uznania odpowiedzialności karnej,
 - e) zróżnicowanie przestępców, by móc stosować słuszną indywidualizację w ich traktowaniu,
 - f) określenie, skoordynowanie i zharmonizowanie uprawnień, obowiązków i funkcji sądów, administracyjnych urzędów i innych instytucji mających do czynienia z przestępcami,
 - g) szerokie stosowanie ogólnie przyjętych naukowych metod i wiedzy przy wymierzaniu kary i traktowaniu przestępców,
 - h) scalenie odpowiedzialności za kierowanie wykonywaniem kary w Wydziale Więziennictwa (lub innym jednym urzędzie)”.

Wniesienie do Sejmu projektu polskiego Kodeksu Karnego zapoczątkowało ustawodawczą akcję reformy i usystematyzowania całości prawa karnego. Komisja Kodyfikacyjna zakończyła już pracę nad czterema dalszymi projektami: Kodeksu Postępowania Karnego, Prawa Karnego Wykonawczego, Ustawy o zapobieganiu przestępczości i demoralizacji nieletnich oraz Prawa Karno-Administracyjnego. Według zapowiedzi ministra sprawiedliwości planuje się jednocześnie wejście w życie wszystkich tych ustaw, a przynajmniej Kodeksu Karnego, procedury karnej i Prawa Karnego Wykonawczego. W ten sposób zostałyby unormowane łącznie wszystkie zagadnienia związane z wymiarem sprawiedliwości karnej w Polsce.

Józef GIDYŃSKI

Czarna lista

- Ludwik Krasucki: „Pytania nie do ominięcia”, *Fakty i Myśli* z 29 października 1968.
- Marek Dunin-Wąsowicz (nowy korespondent *Życia Warszawy* w Czechosłowacji „Pierwsze wrażenia”, *Życie Warszawy* z 31 października 1968.
- Stanisław Trepczyński: „Przyczynek do oceny klasowej”. *Miesięcznik Literacki*, październik 1968.
- Włodzimierz Sokorski: „Na tropach historii”, *Miesięcznik Literacki*, październik 1968.
- Janusz Fastyn: „Żołnierze w kwiatach”, *Trybuna Ludu* z 31 października 1968.
- Wojciech Bukowski: „Narzędzie dywersji”, *Głos Pracy* z 2-3 listopada 1968.

- Witold Zaleski, Jerzy Putrament, Janusz Krasiński, Józef Lenart, St. R. Dobrowolski, Leopold Lewin, Bohdan Czeszko: „Pisarz, zawód i powołanie”. Dyskusja w *warszawskiej Kulturze* z 3 listopada 1968.
- Stanisław Wroński: „Z doświadczeń historycznych”, *Współczesność* z 5 listopada 1968.
- W. Sulewski: „Bez miejsca na mapie”, *Żołnierz Wolności* z 5 listopada 1968.
- Prof. dr M. Żychowski „Gdy powstawała niepodległa”, *Żołnierz Wolności*, z 7 listopada 1968.
- Doc. dr Stanisław Krzykała: „Dwie niepodległości”, *Trybuna Ludu* z 7 listopada 1968.
- Wiesław Górnicki: „Wróg jest zawsze koło ciebie”, *Polityka* Nr 45 z 9 listopada 1968.
- Doc. dr Jerzy Krasuski i Zb. Lesiewski: „Sami wobec Niemiec”, *Kierunki* z 10 listopada 1968.
- Bolesław Piasecki: „Twórca związek socjalizmu i patriotyzmu”, *Kierunki* z 10 listopada 1968.
- W. Szewczyk: „Literatura polska i NRF”, *Życie Literackie* z 10 listopada 1968.
- W. Szewczyk: „Działanie literackie aprobatą dla socjalizmu”, *Poglądy* z 15 listopada 1968.
- Ryszard Gontarz: „Milcz lub kłam”, *Prawo i Życie* z 17 listopada 1968.
- Anna Pawłowska: „Próby portretu oskarżonego”, *Sztandar Młodych* z 17 listopada 1968.

AWANSE W LITERATURZE

9 listopada br. Szef Głównego Zarządu Politycznego WP, gen. J. Urbanowicz, wręczył akta nominacyjne następującym literatom: St. R. Dobrowolski został ppułkownikiem. Majorami zostali mianowani: Roman Bratny, Bogdan Czeszko, Jan Dobraczyński, R. Sadowski, Wojciech Żukrowski. Alojzy Sroga został kapitanem. Tylko porucznikami mianowano: J. Dobierskiego, R. Dudka, J. Laskowskiego, M. Majewskiego i J. Świderskiego. Pewnej liczbie pisarzy niewymienionych z nazwiska wręczono medale „za zasługi dla obronności kraju”.

Przegląd niemiecki

Kończący się rok w Niemczech Zachodnich można scharakteryzować następującym bilansem:

Dzierżący władzę od dwóch lat rząd koalicji chadecko-socjalistycznej umocnił w drugim roku swego istnienia swą pozycję w kraju przede wszystkim pomyślnymi osiągnięciami gospodarczymi, czyniącymi z Niemiec pierwszą potęgę ekonomiczną w Europie.

Powszechny dobrobyt, stale wzrastający dochód społeczny, równomiernie zwiększający się dodatni bilans płatniczy, rekordowy w Europie, ustabilizowana koniunktura przemysłowa i waluta, jedna z najmocniejszych w świecie — nie sprzyjają zamieszkom i hamują wpływy skrajnot politycznych i społecznych.

Rząd obecny opiera się w Bundestagu na przytłaczającej większości posłów CDU/CSU i socjalistów, a jego opozycją parlamentarną jest 49 posłów (ca 10 %) liberałów FDP. Posłowie koalicji reprezentują ponad dwie trzecie uprawnionych do głosowania wyborców.

Opozycja pozaparlamentarna składa się z czterech grup. Pierwsza — to ludzie obojętni, nie biorący udziału w wyborach, bezpartyjni „dzicy” i różni malkontenci. Grupa licznie trudna do ustalenia, politycznie pozbawiona znaczenia.

Druga grupa — to skrajni nacjonaści. Ich groźnie zapowiadające się wystąpienia i początkowe sukcesy tych neo-nazistów spod znaku NPD, wydają się obecnie chylić jeśli nie ku upadkowi, to ku ograniczonej, o marginesowym znaczeniu, grupce chorobliwie ambitnych polityków. Możliwość by, przy zbliżających się wyborach do następnego Bundestagu (we wrześniu 1969), NPD zdołała przebrnąć pięcioprocentową klauzulę minimalnej ilości otrzymanych głosów, ostatnio dość wyraźnie zmalały, ale wciąż jeszcze istnieją.

Trzecie, najpoważniejsze ugrupowanie opozycji pozaparlamentarnej stanowią studenci. Mają oni wiele zrozumiałych powodów do niezadowolenia i do żądania licznych zmian w obecnej strukturze wyższych uczelni. Jednak po gwałtownych wybuchach wiosną r.b. ta grupa opozycji pozaparlamentarnej poważnie przyćmiała.

Przeprowadzenie koniecznych reform na wyższych uczelniach jest w Niemczech zagadnieniem palącym, a jednocześnie bardzo utrudnionym przez brak centralnego ministerstwa oświaty. W Republice Związkowej każdy „Land” ma własne niezależne ministerstwo oświaty. Ten system ma swoje zalety, ale pochłania mnóstwo czasu przy wprowadzaniu reform ogólnie obowiązujących.

Jeżeli zamierzone reformy nie okażą się bezskutecznymi paliatywami i jeżeli nie będą przewlekłe grzęzły w biurokratycznej machinie, obecne nastroje wśród większości studentów wydają się nie grozić wybuchami podobnymi do zająć z wiosny rb.

Dodać należy, że wydarzenia majowe we Francji poważnie uspokoiły podniecone nastroje po studenckiej stronie barykady i być może przyczynią się do żywszego działania czynników, od których zależy jakość i rozmiary projektowanych reform.

Ostatnia grupa opozycji pozaparlamentarnej rekrutuje się z ludzi popierających wszelkie jawno- i krypto-komunistyczne organizacje. Obecny rząd „wielkiej koalicji” najwidoczniej doszedł do przeświadczenia, że w przyszłorocznych wyborach suma głosów oddanych na obie wielkie partie niewiele będzie się różnić od wyników z 1965 roku, czyli że znajdzie się między 75 a 80 procentami ważnych głosów, a łącznie z parlamentarną opozycją liberałów (FDP) będzie bliska 90 %. Stąd zapewne uwidocznia się ostatnio taktyka rządu, polegająca na niezbyt ścisłym stosowaniu obowiązującego prawnie zakazu działalności komunistów w Republice Związkowej. Stąd też należy się spodziewać, że do wrześniowych wyborów wszechy adepci komunistycznego obrządku przystąpią z własną wspólną listą wyborczą.

Jeżeli zbliżające się wybory przyniosą rzeczywiście dwum wielkim partiom ponad 75 % ważnych głosów, to obecna taktyka rządu może się okazać w walce z komunizmem narzędziem skuteczniej działającym niż prawno-policyjne zakazy istnienia komunistycznych ugrupowań.



Studenci, w ogromnej większości swej masy, stanowią tę warstwę społeczną, która najprędzej i najtrwalej chłonie cechy nowoczesnej demokracji. Ilustracją tej bardzo istotnej przemiany jest drobne wydarzenie w Bonn, opisane przez *Der Spiegel* z 4 listopada rb.:

W pobliżu stolicy federalnej obradują akademicy „referenci socjalni”. (Każda uczelnia wybiera corocznie jednego studenta „referenta socjalnego”). Zebrani decydują zaprotestować w istniejącym tutaj ministerstwie *für Familie und Jugend* przeciw jednemu z punktów projektowanego rozporządzenia, kolidującemu, zdaniem studentów, z ich żądaniami „optymalnych warunków studiów, wolnych od jakichkolwiek represji”.

Decyzja zostaje uzupełniona klauzulą natychmiastowego wykonania i wkrótce pięć referentek w towarzystwie dwunastu kolegów-referentów, pomijając formalistykę portierni i sekretariatu, zjawia się w gabinecie pani minister od spraw „Rodziny i Młodzieży”.

Urzędująca od kilku zaledwie tygodni pani minister przyjmuje niespodziewanych gości spokojnie, a dowiedziawszy się o celu wizyty, proponuje zajęcie miejsc i pyta czy może dopijać swą popołudniową kawę. — „Prosimy bardzo! Jesteśmy przeciwnikami wszelkich represji!” — pada odpowiedź.

W czasie dalszej rozmowy w gabinecie pojawia się wiceminister, radca ministerialny, referent prasowy i referent personalny. Kilku studentów wobec braku krzeseł sadowi się na dywanie. Pani minister proponuje następne spotkanie w tym samym składzie uczestników i udziela gościom statusu ekspertów, by ministerstwo miało podstawę wypłacić studentom zwrot kosztów podróży.

Wizyta skończona. Pani minister wstaje i podaniem ręki żegna gości. Kilku studentów siedzi jeszcze na dywanie. Radca ministerialny zwraca się do jednego z obecnych: „Nie rozumiem waszego sposobu bycia, które przeczy najprostszemu zasadom wychowania”. Pani minister wyjaśnia: „Należy liczyć się z takimi niespodziankami, gdyż nie powinniśmy być zupełnie pewni, że zawsze mamy rację”.



Okupacja Czechosłowacji jeszcze bardziej skomplikowała zawiły „problem niemiecki” w polityce światowej, ale jednocześnie, być może, przyczyni się do wielu wyjaśnień w polityce — zwłaszcza wschodniej — Republiki Federalnej.

Wydarzenia czechosłowackie zwiększyły możliwość interwencji „armii ludowej” Ulbrichta w wolnej części Berlina i przypomniały groźbę bezpośredniego wtargnięcia wojsk sowieckich na tereny Niemiec Zachodnich.

Wydarzenia te przekonają może licznych w Niemczech iluzjonistów, jak zwodnicze są ich marzenia o nawiązaniu z władcami Kremla stosunków wzorowanych na dawnych prusko-petersburskich układach. Przykład czeski oprzytomni może innych iluzjonistów, tych rojących wciąż jeszcze o niemieckich Sudetach i o regermanizacji Kaliningradu/Królewcą.

„Petersburscy” iluzjoniści z czesko-słowackiego dramatu wysnują, miejmy nadzieję, naukę, że Kreml umie dyktować i rozkazywać, ale nie potrafi współdziałać, a w stosunku do ewentualnych zachodnioniemieckich partnerów nie będzie postępować inaczej niż z Ulbrichtem.

Kłopoty z utrzymaniem wpływów politycznych muszą być poważne, skoro socjaliści w Szlezwigu odmawiają miejsca na listach wyborczych do Bundestagu prezesowi centrali Związków Wysiedleńców, adwokatowi Reinholdowi Rehs, mimo że jest on już w trzeciej kadencji posłem SPD wybieranym dotychczas w Szlezwigu, mimo niezaprzeczalnych zasług oddanych partii i mimo wysokich walorów osobistych tego wytrawnego prawnika. A w Szlezwigu co czwarty mieszkaniec jest podobno wysiedleńcem. Tak przynajmniej twierdzi ich propaganda.

Wpływy polityczne obu kategorii iluzjonistów niweluje bieg czasu. Jednak w kończącym się roku wpływy te były dostatecznie mocne, by w oficjalnym stosunku Bonn do zagadnień nas bezpośrednio dotyczących nie dokonano żadnych zmian.

W styczniu r.b. wyraziłem pogląd (*Kultura* 243/4), że zmian takich możemy się spodziewać, gdy pokolenie pośła Epplera (rocznik 1926) przejdzie z ław poselskich na ministerialne fotele. Przed kilku tygodniami właśnie poseł dr Eppler został ministrem kanclerza Kiesingera. Nie należy z tego powodu oczekiwać, by przed nadchodzącymi wyborami do Bundestagu mogło się coś zmienić w dotychczasowym oficjalnym stosunku Bonn do zagadnień polskich. Ale że zmiany te wyłaniają się już na horyzoncie polityki niemieckiej — nie ulega wątpliwości.

W październiku rb. załaza Republikę Federalną istna lawina dramatycznych i sensacyjnych wypadków: niewyjaśniony mord czy samobójstwo admirała; samobójstwa generała, podpułkownika, wyższego urzędnika i urzędniczek rządowego biura prasowego; bez wieści zaginął wyższy urzędnik ministerstwa obrony; aresztowano inżyniera w ośrodku badań atomowych w Karlsruhe; ujawniono ucieczkę sześciu agentów wschodnioniemieckich; znaleziono w zwalach śmietnikowych szczątki czterech rakiet typu „Hawk”. Lista jak w kryminalnej powieści.

Jednocześnie opublikowano wyniki trwających od półtora roku dochodzeń w sprawie zniknięcia z magazynów wojskowych rakiety „Sidewinder”: podano trzy nazwiska — architekta, ślusarza i pilota — którzy skradli i przekazali Moskwie raketę. Podano szczegóły wszystkich faz tej operacji, nazwanej tutaj „Koepenikiadą raketową”.

W prasie niemieckiej zawrzało, a w pismach zagranicznych ukazały się liczne notatki mówiące o największej po wojnie aferze szpiegowskiej. Karykaturzyści miejscowi i zagraniczni prześcigają się w wyszukiwaniu groteskowych momentów tych wydarzeń. Jak to wszystko przedstawia się po usunięciu sensacyjnej zaprawy? Dotychczas ustalono że:

— generał i podpułkownik zastrzelili się na skutek choroby, generał nerwowej, ppłk. w obawie grożącego mu raka. Z podobnych powodów powiesił się wyższy urzędnik ministerialny.

— znalezione przypadkowo w zwalach śmieci części rakiet „Hawk” okazały się resztkami rakiet ćwiczebnych, już przed trzema laty wyrzuconymi na złom.

— inżynier z ośrodka badań atomowych okazał się rzeczywiście agentem z DDR, ale nie był to chyba zbyt ważny wypadek, gdyż ośrodek atomowy w Karlsruhe jest instytucją naukową, obowiązującą do publikowania wszystkich swych wyników.

— z sześciu agentów zbiegłych do DDR, dwie osoby okazały się małżeństwem, jawnie od pół roku planującym przesiedlenie się ze względów rodzinnych do DDR. Pozostałe cztery osoby, jeżeli były agentami, to typu płotek a nie rekinów.

Można się spodziewać że z przytoczonej listy jeszcze i dalsze pozycje okażą się drugorzędnymi wypadkami. Natomiast poważną aferą wywiadowczą wydaje się w tym wszystkim tylko tajemnicza śmierć admirała Hermanna Lüdke. I właśnie dlatego, że jest to prawdopodobnie poważna afra, nie można oczekiwać szybkiego jej rozwikłania.

Z całego spłotu tych wydarzeń można na razie wysnuć tylko jeden wniosek: trójtorowy system niemieckiego wywiadu i kontrwywiadu nie wytrzymuje próby czasu. Całość, podzielona na niezależne między sobą jednostki:

— BND = *Bundesnachrichtendienst* = Związkowa służba informacyjna,

— BfV = *Bundesamt für Verfassungsschutz* = Związkowy Urząd ochrony Konstytucji,

— MAD = *Militärische Abschirmdienst der Bundeswehr* = Wojskowa służba ochronna Armii,

w sumarycznej działalności okazują się kiepsko zestrojonym tercetem.

Emigracje wsch. - europejskie w Australii

W *Wiadomościach Polskich*, „Piśmie Polaków w Australii i Nowej Zelandii” czytamy: „FEDERACJA NARODÓW ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ EUROPY”.

„W Domu Polskim, w Sydney, 5 października 1968 r. konferencja prezesów organizacji członkowskich Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii jednogłośnie przyjęła wniosek o utworzenie komitetu współpracy z innymi grupami narodowościowymi. Następnego dnia, 6 października, konferencja organizacji narodowościowych ze środkowo-wschodniej Europy powołała Komitet Organizacyjny Australijskiej Rady Federacji Środkowo-Wschodniej Europy.

W obradach wzięli udział delegaci organizacji estońskiej, litewskiej, białoruskiej, ukraińskiej, rumuńskiej, czechosłowackiej, węgierskiej, i prezesi organizacji polskich z Brisbane, Melbourne, Newcastle, Sydney, Zarządu Krajowego SPK w Canberra, ZHP, Tow. Wiedzy o Polsce, Zjednoczenia Polek w Australii, Związku Dziennikarzy R.P. Synd. Aust. oraz członkowie prezydium Rady Naczelnej.

Delegaci rumuńscy, białoruscy i węgierscy nie posiadali odpowiednich pełnomocnictw swoich organizacji i powezmą decyzję na następnej wspólnej konferencji. Uchwalony komitet organizacyjny, do którego wchodzi po trzech delegatów z każdej grupy narodowościowej, ma opracować projekt założeń programowych i organizacyjnych, i przedstawić go na następnym zjeździe delegatów grup narodowościowych, w celu zatwierdzenia i utworzenia Australijskiej Rady Federacji Środkowo-Wschodniej Europy, jak i powołania lokalnych komitetów, oraz podjęcia akcji do powstania Światowej Rady Federacji Środkowo-Wschodniej Europy”.

W zakończeniu obszernego artykułu red. J. Dunin-Karwicki pisze:

„Utworzenie federacji wolnych i równych sobie, niepodległych narodów Europy środkowo-wschodniej stwarza się około 150-milionową, która zdolna będzie stanąć i decydować o swym losie. Niestety na Zachodzie w wielu kołach politycznych panuje opinia, że ewentualny rozkład sowieckiego imperium kolonialnego podważyłby poważnie istniejącą równowagę sił w Europie, a nawet mógłby spowodować nowy konflikt światowy. Nie leży więc — w mniemaniu tych kół — w interesie „pokoju” stworzenie skłóconego politycznie pasa państw w Europie. „Pax Sovietica” — twierdzą oni — jest lepszy od chaosu. Te sfery polityczne musimy przekonać, że obszar ten nie tylko nie będzie zagrożeniem dla pokoju światowego, ale będzie poważnym czynnikiem stabilizacji politycznej w Europie. A jednocześnie daje zapewnienie, że „Pax Sovietica”, nie zostanie zastąpiony przez „Pax Germanica”.

Użycie wojsk satelickich do uśmierzenia ruchów wolnościowych w Czechosłowacji było przebraniem miary w wygrywaniu jednych przeciw drugim. Dążność do wspólnoty zrodziła się wśród emigrantów, właśnie w Australii, może dlatego, że z dalekiego krańca świata, losy tej części azjatyckiego półwyspu, zwanego Europą, są widziane z dalekiej perspektywy, jak przez pomniejszające szkło. Marzenia o niepodległych, suwerennych państewkach wydają się coraz mniej realne, i coraz mniej atrakcyjne, zwłaszcza dla mniejszych narodów.

A że zadawnione antagonizmy sąsiedzkie zamierają, nie tylko wskutek upływu czasu, ale i wzgardliwego wzruszania ramion młodzieży, więc myśl

wspólnoty narodów tego rejonu została rzucona we właściwym czasie i miejscu. Najznamienniejsza była właśnie owa spontaniczność i jednomysłność z jaką się spotkała nowa koncepcja.

Co do nowości tej koncepcji można by się spierać, bo o Międzymorzu pisało się dużo przed 30 laty. Lecz wtedy to nie „chwyciło”, a w obradach sydney-skich opowiedzieli się za tym „reprezentatywni” przedstawiciele ogółu emigrantów: czeskich, estońskich, litewskich, polskich i ukraińskich. Węgry i Rumuni nie reprezentujący całości swych grup narodowych mieli zastrzeżenia z powodu swej przynależności do „Anty-Bolszewickiego Bloku Narodów”. Już w następnym tygodniu zgłosiły akces pewne odłamy zróżniczkowanych organizacyjnie Węgrów i Jugosłowian, jak również podobno Białorusini.

Pomimo że chwila była osobliwa i wielki entuzjazm uczestników obrad, jednak przyjęcie za podstawę układu Sikorski-Benesz z roku 1942, o konfederacji polsko-czechosłowackiej uznano za przedwczesne i zanadto sprecyzowane. Chociaż nie został użyty ten termin, to jednak plan działania na najbliższą przyszłość można by określić: propagowanie wspólnoty interesów narodów owego rejonu. Podkreślano, że młodzież emigracyjna nie ma uprzedzeń, więc też należałoby dążyć do wzajemnego zbliżenia studentów. Pod adresem starszego pokolenia rzucone zostało hasło: historię odłożmy na półki, zaczynamy od dzisiaj. Przy pełnej swobodzie wypowiedzi zastrzeżono jedno tabu — nie mówić o przyszłych granicach.

Jak my sobie podaliśmy ręce, starajmy się wpłynąć na nasze rządy emigracyjne, aby i one wyciągnęły prawicę do bratniego uścisku, rzekł Ukrainiec. (W tym momencie Polacy mieli trochę niewyraźne miny). Poprzez urabianie opinii emigrantów mających kontakty z Krajem, i poprzez wszelkie dostępne kanały propagandy, powinniśmy dążyć, aby idea wspólnego frontu narodów tego obszaru dotarła do starych Krajów.

Przedstawiciel polskiej młodzieży, emigrant już z PRL, podkreślił, że młodzież nie da się porwać hasłami negatywnymi, jak Anty-bolszewicki blok narodów, lecz szuka wielkiej idei pozytywnej „budowania siły” i tworzenia czegoś wielkiego. Podkreślano też że przyjazna współpraca uchodźców, i tu na terenie australijskim, zwiększy ich ciężar gatunkowy.

W późniejszych pozjazdowych naradach zaprojektowano utworzenie trzech sekcji: politycznej młodzieżowej i współpracy kulturalnej. Tak czy owak, ćwierć miliona uchodźców wyrzuconych na kraniec świata z Warszawy, Pragi, Parnawy, Połtawy i Budapesztu stwierdziło wolę ściślejszej współpracy.

E. ŻAGIELL

Czyżby kontrrewolucja ?

W związku z tragicznymi wydarzeniami w Czechosłowacji część prasy zachodniej w pogoni za sensacją prześcigała się w opisywaniu tajemniczej działalności rzekomych podziemnych organizacji czechosłowackich, w publikowaniu coraz bardziej „rewelacyjnych” relacji z przebiegu wydarzeń. Najwięcej miejsca poświęcono na domysły i spekulacje na temat „tajnych” czechosłowackich stacji radiowych i ich roli. Posypały się więc relacje mające na celu wytłumaczenie fenomenu, że w kraju okupowanym przez przeszło półmilionową armię, prawie bez przeszkód działały rozgłośnie radiowe i stacje

telewizyjne, nadające swe programy z ukrycia. Większość tych doniesień niestety oparta była na fałszywych przesłankach i nieznanomości faktów.

I tak na przykład w *Daily Express* Denis Blouet chwalił się swymi kontaktami z „nielegalnymi grupami ruchu oporu”. Korespondent *Observera* pisał o powstaniu tajnych organizacji, mających na celu „przerzucanie ludzi na Zachód”. Zachodniemiecki *Stern* opublikował „rewelacje” na temat współdziałania Bundeswehry z czechosłowackim ruchem oporu i pomocy w transmitowaniu przez batalion 707 audycji czechosłowackich wolnych rozgłośni. Co z tego, że *Stern* oficjalnie zdementował swoje nieprawdziwe doniesienia, skoro jego artykuł posłużył jako dowód istnienia kontrrewolucji w Czechosłowacji, powiązanej z „imperialistycznymi i militarystycznymi kołami w NRF”, dając materiał do donosów „demaskujących nieczne knowania kontrrewolucji”, jakie zamieszczała prasa krajów okupacyjnych, w tym *Żołnierz Wolności*, wybijający się na czoło w historycznej kampanii fałszu i oszczerstw. Oto jeszcze jeden przykład jak komuniści wykorzystywali tego rodzaju pseudorewelacje prasy zachodniej. W książce „W związku z wydarzeniami w Czechosłowacji”, wydanej w Moskwie w języku czeskim i bezpłatnie rozprowadzanej w Czechosłowacji (kolporterami są żołnierze sowieccy) czytamy:

„Korespondent pisma *Sunday Times* M. Sayle opowiada, że 31 sierpnia poznano go z „pułkownikiem Zatopkiem”, który aktywnie uczestniczył w antysowieckich prowokacjach. Oświadczył: „plany dotyczące utworzenia tajnych radiowych stacji przy użyciu przenośnych nadajników armii czeskiej były przygotowane już dawno”.

Tak oto burżuazyjny dziennikarz angielski jeszcze raz potwierdza wobec całego świata fakt, że kontrrewolucja przygotowywała się na długo przedtem”.

Niestety i na łamach naszej prasy pojawia się echo tych pożałowania godnych relacji, tak jak to miało miejsce w specjalnym numerze *Kultury* — vide artykuł, S. Popkiewicza „Rola radia”.

Wybitny specjalista od spraw łączności radiowej i to szczególnie w warunkach okupacji — S. Popkiewicz oparł się na opisie Davida Leitch’a, wiedeńskiego korespondenta *Sunday Times’a*, który w artykule „The resistance forces are outwitting Russia” częstuje nas masą równie sensacyjnych, co nieprawdziwych faktów.

Przez pierwsze dziesięć dni słuchałem i nagrywałem programy wolnych czechosłowackich rozgłośni i stacji telewizyjnych. Później rozmawiałem z wielu ludźmi związanymi z czechosłowackim ruchem odnowy, obecnie przebywającymi na Zachodzie czasowo lub na stałe. Dysponuję ponadto prawie pełnym kompletem (215 pozycji) prasy czechosłowackiej z pierwszych dziesięciu dni okupacji oraz pełnym kompletem nasłuchów radia i telewizji z tego samego okresu. Na tej podstawie chciałbym sprostować szereg faktów podanych przez Davida Leitch’a, a powtórzonych przez S. Popkiewicza.

W artykule S. Popkiewicza „Rola radia” czytamy:

„Czechosłowacki kierownik ruchu oporu, który przybył do Austrii dla zorganizowania radio-komunikacji z Austrii do Czechosłowacji w języku niemieckim i czeskim, stwierdził, że podziemna organizacja włącznie z ruchomymi tajnymi radiostacjami, prasami drukarskimi i transportem była stworzona przez Czechów z inicjatywy i za radą Rosjan”.

Jedno zdanie i kilka błędów. Po pierwsze nie była to czeska organizacja podziemna, lecz jednostki regularnej armii czechosłowackiej wyszkolone w celu prowadzenia sabotażu i dywersji oraz utrzymywania łączności radiowej i kierowania przez radio masowym ruchem oporu w czasie okupacji (spodziewano się agresji z Zachodu). Jednostki te zaopatrzone są istotnie w przenośne stacje radiowe o dużej mocy, przenośne drukarnie i środki transportu.

Po drugie do Austrii nie przybył kierownik ruchu oporu, bo ruch ten jako zorganizowana siła nie istniał, do końca pozostając spontanicznym. Do Austrii udawali się parę razy emisariusze różnych grup tego ruchu.

Po trzecie nie chodziło o specjalne programy w języku niemieckim (tych w radio i telewizji austriackiej było bardzo dużo i stały na świetnym poziomie), lecz o audycje radiowe w językach czeskim i słowackim, na wypadek, gdyby wolne radiostacje w Czechosłowacji miały zamilknąć. Zorganizowanie radio-komunikacji miało na celu przekazywanie depesz agencyjnych i doniesień na tematy czechosłowackie dla działających radiostacji czechosłowackich.

Dalej w artykule znajdujemy wiadomość, że organizacja podziemna liczyła „co najmniej 40.000 członków”. Skąd ta statystyka? I co za zbieżność z propagandą sowiecką mówiącą o 40 tysiącach kontrrewolucjonistów? Jak można mówić o tajnej podziemnej organizacji, skoro we wszystkich rozgłośniach, w telewizji, redakcjach dzienników i czasopiśmie, w drukarniach pracowali ci sami redaktorzy, komentatorzy, speakerzy, dziennikarze, technicy i drukarze co przed okupacją? Jak można mówić o tajnej podziemnej organizacji skoro wiadomości do prasy i radia dostarczała agencja CzTK, komitety wojewódzkie, powiatowe i miejskie partii, znani działacze społeczni, placówki czechosłowackiego wojska, obsługa dalekopisów, szpitale. Jak można mówić o tajnej organizacji skoro dzieci, młodzież, robotnicy spontanicznie podejmowali się kolportażu gazet i ulotek, przekazywania wiadomości.

Nie jakaś tajna organizacja podziemna lecz jedność i solidarność całego społeczeństwa pozwoliły na sprawne działanie środków masowego przekazu informacji, na szybkie demaskowanie zdrajców i kolaborantów, na skuteczne prowadzenie akcji dezorientacji okupantów przez niszczenie i przestawianie drogowskazów oraz zdejmowanie lub zamienianie tabliczek z nazwami ulic, numerami domów i nazwami instytucji.

Czy stuprocentowo udane strajki protestacyjne, jakie odbyły się w całej Republice były też dziełem organizacji podziemnej? Przecież wezwanie do tych strajków rzuciły organizacje partyjne i XIV nadzwyczajny zjazd KPCz.

Czy setki tysięcy hasel antyokupacyjnych jakie pojawiły się na murach miast i osiedli, czy masowe wywieszanie czechosłowackich flag narodowych i czarnych chorągwi żałobnych też było dziełem jakiejś podziemnej organizacji?

Czytamy dalej:

„Zorganizowali oni ponadto trasy ucieczki zagranicę, którymi przerzucano ponad 300 wybitnych przedstawicieli zwolenników Dubczeka”.

To twierdzenie też nie odpowiada rzeczywistości. Wiadomo przecież, że zwolennicy Dubczeka pozostali w kraju, a ci nieliczni, którzy są na Zachodzie znaleźli się tu legalnie, wyjeżdżając z Czechosłowacji z ważnymi paszportami. Bardzo chciałbym poznać nazwisko choć jednego „wybitnego przedstawiciela zwolenników Dubczeka”, który na Zachód przedostał się nielegalnie. Znam ośrodek wielu wybitnych przedstawicieli czechosłowackiego życia politycznego i kulturalnego (pisarzy, dziennikarzy, działaczy Klubu 231 i KAN), którzy przebywają na Zachodzie. Żaden z nich i nikt z wielu, wielu innych, o których wiem, nie przybył tu nielegalnie. Wszyscy mieli lub nadal mają ważne paszporty czechosłowackie. Do dziś zanotowano zaledwie kilkanaście przypadków nielegalnego przekroczenia granicy, kilkanaście ucieczek na Zachód. Lecz wśród tych uciekających nie było ani jednego „wybitnego przedstawiciela zwolenników Dubczeka”.

Również niezgodne z rzeczywistością jest twierdzenie, że:

„po powrocie Svobody i Dubczeka większość tych radiostacji przyjęło linie prorządową nazywając się stacjami 'legalnymi', a nie jak uprzednio 'wolnymi'”.

Otóż już od 21 sierpnia rozgłośnie te używały razem przymiotników „wolne” i „legalne”, jak mogą o tym najlepiej świadczyć podane niżej przykłady zapowiedzi wywoławczych kilku radiostacji (podaję fonetycznie): „Hlasi se vam svobodny, legalni vysilac czechoslovenskeho rozhlasu Praha”.

„Ważeni posłuchaczi, hovorzi Plzeň — *legalni* vysilacz ceskoslovenskeho rozhlasu Plzeň”.

„Posluchate *svobodny, legalni* vysilacz Jižni Morava”.

„Opiet se vam hlasime z naszeho televizniho improvizovaneho studia, kde k vam hovorzi *legalni a svobodny* televizni vysilacz”.

Również przez cały czas, a nie dopiero po powrocie Dubczeka i Svobody, rozgłosnie te reprezentowały linię prorządową, utrzymując nieprzerwany i bezpośredni kontakt z przedstawicielami partii, Zgromadzeniem Narodowym i członkami rządu, nadając oficjalne oświadczenia i apele władz oraz realizując oficjalnie przyjętą linię biernego oporu. Kilka razy przed mikrofonami radia i telewizji przemawiał prezydent Ludvik Svoboda.

Dalszy błąd polega na stwierdzeniu, że „uruchomili oni (Rosjanie) ostatnio własną „quislingowską” radiostację „Wełtawa”.

Rundfunk Moldau (bowiem jest to rozgłosnia nadająca z Drezna w NRD), czyli „Wełtawa” rozpoczęła nadawanie programów już wczesnym rankiem 21 sierpnia (Radio Praha doniosło o tym 21 sierpnia o godzinie 5.25). Trudno też nazwać ją „quislingowską”, bowiem najprawdopodobniej nie pracuje w niej ani jeden obywatel czechosłowacki. Zespół tej rozgłosni tworzą byli Niemcy sudeccy, na co wskazuje wyraźny „sudecki” akcent wszystkich speakerów i komentatorów.

Przypuszczam, że S. Popkiewicz nie znał tych faktów, opierając swą relację na podstawie doniesień *Sunday Times’a*, uważałem jednak za konieczne sprostować wszystkie poważniejsze błędy. Jeszcze jednym dowodem potwierdzającym fakt, że nie może chodzić o jakąś organizację podziemną jest komunikat Agencji CzTK z 22 października zawierający oświadczenie Centralnego Zarządu Służby Łączności:

„W prasie zagranicznej pojawiają się wiadomości o tym, że w ostatniej dekadzie sierpnia w Czechosłowacji działały nielegalne stacje radiowe pochodzenia zachodnoniemieckiego. Po dokładnych badaniach Centralny Zarząd Służby Łączności oświadcza, że wiadomości te nie odpowiadają prawdzie”.

Alfred ZNAMIEROWSKI

« Damoj »

Jest wtorkowy słoneczny poranek. Miasto zbudziło się do codziennego życia. Dzieci były już w szkole, robotnicy przy maszynach, kiedy do przygranicznego Czeskiego Cieszyńska zjechała z ulicy Frydeckiej długa kolumna wojsk radzieckich i skierowała się przez Most Przyjaźni do Polski.

Ludzie spieszyli za codziennymi zakupami, za codziennymi radościami i troskami. Każdy jednak przystanął na chwilę przy głównej ulicy miasta, by popatrzeć jak wracają.

„Damoj, damoj...” — tu i tam, ktoś z żołnierzy rzucił w szpalery jakieś zdanie, którego główną treścią był „dom”. Nikt ich z tych szpalerów nie zegnał. Ludzie patrzeli i mówili tylko do siebie.

W transporterach, samochodach ciężarowych siedzieli młodzi i starsi. Jedni mieli kamienne twarze, inni opuszczone powieki, niektórzy próbowali się umieścić. Pomimo słonecznej pogody wiało chłodem...

A jednak na pośrodku mostu Przyjaźni była grupa osób, przeważnie starszych wiekiem. Machali rękoma, rzucali goździkami, żegnali. Było wśród nich

kilka znajomych twarzy. Byli jednak oddzieleni od tych mas obramowujących ulicę barierką żelazną, sposobem myślenia i czucia.

W pośrodku mostu żołnierze w transporterach i ciężarówkach jakby ożyli. Za Olzą witały ich transparenty, wszystkie chyba cieszyńskie szkoły i zakłady pracy. Były również przemówienia, powitania, podziękowania.

Żołnierze radzieccy wracają do domu. Pewnie się cieszą na dom rodzinny, na matkę, żonę i dzieci. Życzymy im szerokiej drogi i wiele radości w ich kraju rodzinnym. Chcielibyśmy, aby i ta reszta wojsk, jaka u nas pozostaje, mogła się jak najprędzej tak cieszyć...

Głos Ludu z 31 października 1968.

1.000.000

GILLETTE super silver
wysłał w bieżącym
roku do Kraju
T A Z A B

- Obecnie cło zostało podniesione z 1 zł. i pół na 10 zł. od sztuki, co oczywiście zlikwidowało opłacalność wysyłki większych ilości. (Od 30 sztuk cło wynosi tylko 3 zł. od sztuki).
- Powyższą podwyżkę tak uzasadnia „Życie Warszawy” z 19 lipca: ... „za każdy dolar wydany za granicą na zakup „Silverów” otrzymywało się w Kraju do 280 złotych”.
- Tak było istotnie i TAZAB ma pełną i wyłączną satysfakcję wprowadzenia tego towaru i ułatwienia naszym Klientom na całym świecie NAJKORZYSTNIEJSZEJ pomocy rodzinom.
- Okazja ta została obecnie przekreślona, ale w najnowszych ILUSTROWANYCH KATALOGACH TAZABA ZNAJDĄ ZAINTERESOWANI INNE KORZYSTNE OKAZJE.

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB and C^o., Tazab House

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W.7.

16, STUYVESANT STR., NEW YORK, N.Y. 10003,

Tel.: ALgonquin 4-4161

20, RUE LEGENDRE, PARIS 17^e, Tel.: 924-0045

Sprawy i troski

Antypody (3)

Zachodnia Australia, największy obszarem stan, jedna trzecia całej powierzchni kraju, ma około miliona mieszkańców, z których połowa zamieszkuje w Perth. Przez prawie całą historię australijską, Zachód był dziki, pusty, niezamieszkały, kraj bez przyszłości i bez dziejów. Jeszcze na południu bywali wielorybnicy, zawijały statki do Fremantle, byli rybacy w Perth i Geraldton, początki przemysłu w Kwinana — a dalej na północ — nic. Czasy się zmieniły, Zachodnia Australia jest na najlepszej drodze by stać się najbogatszym stanem, podwoić swą ludność w krótkim czasie, przeskoczyć z epoki jucznego konia na helikopter.

Dotychczasowe i nadal trwające odkrycia geologiczne zmieniają Australię w sposób w świecie chyba nieznanym i w tempie dotąd niespotykanym. Tradycyjny obraz równinnych pastwisk z milionami baranów, ustępuje miejsca przemysłowi minerałów. Nie ma tygodnia żeby prasa nie donosiła o nowych odkryciach, ostatnio znów ropy naftowej w którymś tam kolejnym miejscu. Sama Zachodnia Australia ze swymi górami żelaznymi ma dosyć rudy by zaopatrzyć cały świat na przeciąg paruset lat!

To całe nowe bogactwo Australii, bonanza czy El Dorado są przy tym — lubimy paradoksy — także pewnym, niewielkim zresztą, nieszczęściem dla tego kolosalnego kraju o małej ludności. W kraju, gdzie bogactwo leży na wierzchu, gdzie góra żelaza albo niklu warta jest miliardy dolarów, nie rusza się miliona jeśli na oko nie wygląda na milion. Jest tyle nietkniętych dziedzin gospodarki australijskiej, że każdy inny naród, zwłaszcza azjatycki czy europejski, cierpiący na przeludnienie i brak bogactw naturalnych, żyłby bogato i długo z owych niewykorzystanych źródeł. A źródła te są najróżniejsze. Wspominałem już o braku nowoczesnego rybołówstwa. Ale to nie wszystko. Japończycy robią

idące na cały świat konserwy zupy z płetw rekinów, łapanych u wybrzeży Australii, najbardziej zarekinionych wód na świecie. Rosjanie na statku-przetwórni (nie wiem czy nie ze Stoczni Gdańskiej przypadkiem?) łapia krewetki w Zatoce Carpentarii. Skóry krokodyli z Terytorium Północnego i północnego Queenslandu jadą w stanie surowym do Niemiec Zachodnich i wracają do eleganckich sklepów Sydney i Melbourne jako torebki i portfele. Po znakomitym obiedzie na pokładzie Qantas'owskiego Boeinga 707 w drodze z Paryża do Sydney, podano sery. Poprosiłem o roquefort. Był, w samolocie z owczej Australii, importowany wprost z Danii. Nie znaczy to, żeby nie było australijskiego *Danish Blue*, ale na licencji duńskiej i raczej trudny do znalezienia w tutejszych sklepach. Dlaczego? Bo owiec nie opłaci się doić. Sytuacja szalenie podobna do peerelowskiej — tyle że odwrotnie. Tam się nie opłaca to czy tamto z uwagi na wysokie koszty państwowo-administracyjne, a tu z powodu nadmiaru możliwości i braku rąk do pracy.

Cytowałem przykład importowania grzybów z Taiwanu do Darwinu, ale także u wybrzeży Terytorium Północnego pojawia się licznie jamochłon znany jako trepang, delikates kuchni chińskiej. Ale w restauracjach Europy i Australii trepangi są produkcji japońskiej. W miasteczkach północnego Queenslandu, w Darwinie, ulice wysadzone są palmami kokosowymi. Pytałem tubylców wszędzie po kolei co się robi z owocami. Nic. Spadają. Widocznie w starej dobrej tradycji Newtona.

Toteż, zdawałoby się, że cała sprawa polega na tym, żeby mieć pomysł i trochę zaradności czyli tak zwanej smykałki handlowej. No, ale tak proste to nie jest. W Australii dochodzi jeszcze jeden czynnik, bardzo ważny i niemożliwy do obejścia: odległości. Znowu niewyobrażalne z Europy wielkości kraju, w którym Dania zmieściłaby się z naddatkiem między Sydney a Canberra.

Wróćmy do krokodyli, bo to temat dobry, ładny i egzotyczny. Australia jest ostatnim krajem na świecie posiadającym krokodyle słonowodne, żyjące u ujść rzek, wyjątkowo cenne dla producentów torebek, bo nie zrogowaciałe boki pozwalają na wykorzystanie prawie całej skóry. Łapie się to prawie na całej australijskiej północy, holuje rzekami do miasteczek i osiedli, obdiera ze skóry. A potem? Potem trzeba przewieźć dla odpowiedniego wyprawienia do, przynajmniej, Sydney, czyli około dwóch tysięcy mil. Oczywiście przewieźć drogo bo na ogół samolotem. Gdyby na północnych terenach powstały farmy krokodyli, tak jak w niektórych innych krajach na świecie, to pewnie z czasem opłaciłoby się zbudowanie i garbarni i wytwórni wyrobów ze skóry krokodyla. Ale na farmy nie godzą się krótkowzroczne władze

niektórych osiedli. Śmieszne, ale czasem chodzi tu o prestiż. Gdzieś w końcu ubiegłego wieku prasa szwajcarska odśpiewała pieśń żałobną nad ostatnim alpejskim niedźwiedziem witając „erę nowoczesności i cywilizacji”. I trochę w podobny sposób władze na przykład Cairns nie lubią wzmianek o krokodylach, bo to w ich mniemaniu obniża wartość cywilizacyjną ich okolicy. Coś niecoś jest w tym pewnie oporów z czasów wydarzenia, jakie miało miejsce w Cairns przed kilku laty. Miejscowy łowca krokodyli na terenie swej posiadłości trzymał w stawie coś około sześćdziesięciu sztuk, które, z braku ogrodzenia, pewnego dnia rozlaży się po miasteczku w poszukiwaniu szczurów i drobiu. Pojawiały się wtedy znieenacka na cudzych gankach, lub pozowały przy *barbecue*, wprowadzając histerię i popłoch do cichego życia osiedla. Jak tam było to było, ale faktem jest, że miejscowe władze są dosyć łaskotliwe i nie chcą nawet słyszeć o udzieleniu licencji na prowadzenie krokodylej farmy. Niemniej krokodyłe słonowodne nie czekają na zmianę władz i wymierają w przyspieszonym tempie.

Australijskie odległości to problem chyba jeden z poważniejszych w szybkim rozwoju kraju. Najbliższe z tym łączy się oczywiście sprawa komunikacji, a jeśli komunikacja to przede wszystkim albo samolot albo transport morski, bo kolei jest niewiele, na ogół przestarzałe i nie łączą ośrodków kopalnianych z przemysłowymi, poza najnowszymi i dosyć nielicznymi wyjątkami. Nie chodzi mi o pociągi osobowe, chociaż na przykład między Adelaidą a Perth trzeba się przesiadać, bo tor w pewnym miejscu zmienia swą szerokość. Tajemnica leży w konserwatyzmie dwóch inżynierów, Szkota i Irlandczyka, którzy budowali dwa odcinki kolei według najlepszej, ale bardzo własnej, wiary i wiedzy. Na przestrzeniach między Australią Zachodnią a Południową, Wiktoria i Nową Południową Walią podróżuje się całymi dniami i nocami — raczej bliżej kolei transsyberyjskiej niż Europy Zachodniej. Na północy, między Darwinem a Larrimah towarowe pociągi chodzą jak Bóg da i jak rzeki pozwolą. Tory kładzie się bez twardej podbudowy, bo i tak pora deszczów całą budowę rozmyje, i wtedy zaczyna się od nowa. Co roku. Dwa razy do roku. Towarowe pociągi chodzą więc od przypadku do przypadku, co urozmaica życie mieszkańcom owych okolic, posługujących się samochodami, bo wezbrane rzeki przebywa się po mostach kolejowych w braku zerwanych kołowych. Ponieważ nigdy nie wiadomo kiedy mianowicie należy spodziewać się pociągu, a wśród sawanny czy dżungli widoczność jest ograniczona — więc nie ma mowy o nudzeniu się w czasie wielodniowej podróży z Darwinu do Alice Springs.

Znacznie trudniej jest wybudować trwałe linie kolejowe

w poprzek Półwyspu York dla połączenia kopanego nad Carpentarią bauksytu z przetwórniami w Townsville czy Rockhampton. Toteż tutaj, jak dotąd, możliwy jest tylko transport morski i tak musi zostać chyba jeszcze przez dłuższy czas.

Z dzikich górzystych okolic Savage River na Tasmanii wydobytą rudę żelazną miesza się z wodą i cenne błoto przepycha się pod ciśnieniem kilkadziesiąt mil do wybrzeża, gdzie się toto odwadnia, granuluje i sypie do tankowców. Wbrew pozorom transport tańszy niż wybudowanie linii kolejowej przez zupełnie nieprawdopodobnie trudny teren.

Najprościej oczywiście byłoby wybudować przemysł przetwórczy na miejscu, w bezpośredniej bliskości kopalni, i tak będzie się dziać w niedalekiej przyszłości, bo istnieją już projekty budowy hut w pobliżu żelaznych gór Mount Tom Price, Mount Newman i Mount Goldsworthy na wybrzeżu Oceanu Indyjskiego. Ale budowa taka w terenie zupełnie dzikim jest niezwykle kosztowna, a tropikalny klimat nie ułatwia sprawy. Przekonałem się przed rokiem w Izraelu, że koszty inwestycji na Negevie, w pobliżu Morza Martwego są przeciętnie — z przyczyn głównie klimatu — o 60 procent wyższe niż w Europie. Tymczasem w Zachodniej Australii koszt musi być jeszcze wyższy i z powodu ogromnego oddalenia od większych ośrodków i z przyczyn trudności utrzymania na miejscu wykwalifikowanej siły roboczej, o czym pisałem poprzednio.

Dawniej poszukiwacz złota nie miał tak skomplikowanych problemów, brał sito, worek na plecy, kapelusz z rzędem korków na sznurkach dla odpędzania much i wędrował pięćset czy dwa tysiące kilometrów. Dziś nowoczesny poszukiwacz studiuje tabele notowań giełdowych i codzienną prasę w poszukiwaniu nowych inwestycji nawet najmniejszego kapitału, zostawiając romantykę przygody amatorom-prospektorom i wyprawom geologicznym.

Już chyba wszystkie możliwe i niemożliwe minerały i złoża odkryto w Australii, ale najcenniejszego materiału, najpotrzebniejszego do życia jeszcze ciągle brak: wody. Z trudności wodnych zdałem sobie sprawę od razu pierwszego dnia po obejrzeniu wanny w moim hotelu. Była znacznie płytsza niż w Europie. Mionego lata stopniowo ograniczano zużycie wody w Melbourne, w Canberra i na Tasmanii, zabraniając początkowo używania spryskiwaczy, potem podlewania trawników i kwiatów w ogrodach, aż po apele o oszczędzanie wody w gospodarstwach domowych. Wracając samochodem z Melbourne do Sydney widziałem dzikie kangury pijące wodę z jednego na pół wyschłego stawu razem z jak najbardziej swojskimi krowami. Wiktoria zazwyczaj zielona, przybrała wszystkie odcienie spopielalej żółtości, a mi-

jane lasy eukaliptusowe czernią pni świadczyły o niedawnych pożarach *bush'u*. Spod budynku parlamentu w Canberra prawie co dzień nad okolicznymi wzgórzami wisały dymy pożarów. Po starcie z Launceston na Tasmanii widać było z samolotu trzy oddzielne *bush-fires* na niewielkiej przestrzeni między miastem a cieśniną Bass. Co roku pożary lasów zabierają ofiary w ludziach, niszczą domy, samochody na szosach — i nie ma na to rady. Podobno w wysokich temperaturach australijskiego lata zapala się eteryczny olejek eukaliptusowy, a na pewno świetnie temu pomaga rzucanie niedopałków. Służba przeciwpożarowa dysponuje oprócz zwykłego sprzętu helikopterami i buldożerami do wygniatania przecinek przeciwogniowych, pilnuje lasów z wież strażniczych i z powietrza. I tylko jeden brak stale odczuwa: wody. Na północy w letniej porze deszczowej niebo obrywa się w potokach wody, wzbierają rzeki zamieniając drogi w jeziora a domy farmerów w wyspy, a na południu wysychają rzeki i stawy, pada setkami bydło i owce. (Tylko jakoś nigdy i nigdzie nie brak napojów chłodzących?! — to dla dystrybucji handlowej w PRL).

Tam gdzie projekty nawadniające zostały już wykonane, na przykład w dolinie Murrumbidgee — zasilanej wodą z systemu elektrowodnego Snowy Mountains — lato jest znów zielone, drzewa obwieszone pomarańczami i cytrynami, dojrzewają winogrona, wodne koła regulują dopływ na ryżowe pola. Tak mogłoby być prawie wszędzie. Projekty nawadniania nie tylko w warunkach australijskich są niesłychanie kosztowne, a sprawa indywidualnego wiercenia studzien głębinowych została zaniedbana z winy samych farmerów, którym rząd już przed wielu laty obiecywał pomoc finansową i techniczną. Z wyjątkowo słowiańskim „jakoś to będzie” farmerzy po kilku kolejnych w miarę mokrych latach uznali wydatek za nader zbędny i zostało jak było. Tymczasem z wodą dzieją się rzeczy dziwne. Zaczyna znikać stamtąd, gdzie jeszcze niedawno była, a w nowych miejscach się nie pojawia. Istniała od dawna teoria, a może domysł, że gdzieś w środkowej Australii znajduje się kolosalne podziemne jezioro. Istniał i podobno istnieje do dziś dosyć stary projekt utworzenia we wnętrzu Australii sztucznego morza dla zmiany klimatu. Morze Czarne przecież zmieściłoby się między Brisbane a Canberra, a Śródziemne między Brisbane a Carnarvon, i jeszcze zostałyby miejsca na bardzo szerokie plaże. Jakby nie było Australia musi znaleźć wodę i dla swego rolnictwa i dla coraz bardziej rosnącego przemysłu. Projekty nawadniania suchych okolic, lub odwadniania zbyt mokrych mnożą się jeden po drugim, realizuje się je w imponującym tempie i rolnicza mapa Australii zaczyna ulegać zmianie. Wspomniany już parokrotnie system elektro-wodny

Snowy Mountains jest już właściwie po kilku latach budowy ukończony. Buduje się niezwykle ważny system Ord River na północo-zachodzie — ważny również jako pionierski projekt w warunkach jak najbardziej tropikalnych. Zaczyna się budowę drugiego już na Tasmanii systemu wodnego, by na żyznych ziemiach wnętrza wyspy zaczęła rosnąć pszenica zamiast eukaliptusów i drzewiastych paproci.

Woda może mieć ogromny wpływ na zasiedlenie niezamieszkałych dotąd obszarów, choćby nawet Tasmanii, wyspy większej dwukrotnie od Holandii o zaludnieniu mniejszym od Krakowa. Nawet w dzisiejszych warunkach Australia mogłaby wykarmić i dać pracę ludności kilkakrotnie liczniejszej niż obecna. I imigracja stała się koniecznością, programem, może nawet narodowym *hobby*. Naprawia się popełnione dawniej błędy w polityce imigracyjnej, żałuje za grzechy popełnione, chociaż nie wszystko jeszcze za grzechy się uważa. Takim grzechem numer jeden, w moim mniemaniu, był brak w powojennym okresie europejskiej nędzy i exodusu, rozsądnego i na dużą skalę zakrojonego planu osiedlania nowych rolników na dziewiczych ziemiach. Głodni Europejczycy imigranci na pewno więcej wykazaliby stanowczości i pewnie szybciej uporali się z przeciwnościami przyrody australijskiej, niż rozpuszczeni łatwością życia tradycyjni i konserwatywni farmerzy tubylczy. Niby nie jest jeszcze za późno na zmianę polityki i w tej dziedzinie, ale twardych pionierów głodnych ziemi i jej plonów należałoby dziś szukać za żelazną kurtyną, spoza której wyjazd staje się coraz bardziej problematyczny. A dać podwarszawskiemu badylarzowi z tysiąc hektarów Pustyni Simpsona, to za dwa lata zarzuciłby australijski rynek kalafiorami i rzodkiewką.

Przeszło dwa i pół miliona imigrantów, czyli jak się ich tu nazywa: nowych Australijczyków, osiedliło się w okresie powojennym. Niektórzy zrobili majątki, innym powodzi się po prostu dobrze, jeszcze inni wyjechali do swych starych domów, lub do innych zamorskich krajów. A jak to się działo? dlaczego? — to w następnym miesiącu.

George J. FLEMMING

Sumienie krytyki

Krytyka i historia sztuki od zarania swoich dziejów związane są losem tragicznej wyroczni o szekspirowskim odcieniu antytezy. Historia sztuki, która jako dyscyplina humanistyczna ukształtowała się we właściwym tego słowa znaczeniu dopiero pod koniec minionego stulecia, rości sobie prawo do syntezy obu dziedzin, niemniej poza tradycją włoską z początku wieku i pewnymi wyjątkami w tradycji anglosaskiej, rzadko realizuje tego rodzaju założenie. Krytyka sztuki natomiast często przeciwstawia się historii w sposób wręcz agresywny, nie rzadko tym samym motywując potrzebę własnego istnienia. W dzisiejszym świecie rola krytyki zwiększyła się (począwszy od połowy dziewiętnastego wieku) zdecydowanie na własną korzyść. Można nawet śmiało powiedzieć, że wpływa ona na kształtowanie się teorii historii sztuki, wyprzedzając niejako jej ewolucję estetyczną. Kategoryzacja historyczna prądów awangardy dwudziestowiecznej (typowa dla krytyki historyków sztuki) jest jednym z najmniej ciekawych dojść do problemów sztuki dnia dzisiejszego. Dziedzina sztuki w sposób jaskrawy demaskuje tym samym charakter *pré-scientifique* (Bachelard) nauki, zadawałającej się snem doktryny ewolucjonizmu historycznego. Sztuka, która przez jakiś czas przejęła na swoje ramiona ciężar filozofii¹ i sublimację etyczną, utraconą przez religię², jest dzisiaj nadal pionierem postępu umysłu ludzkiego i, może jeszcze bardziej, bastionem suwerenności osoby ludzkiej, którą przez długie wieki łączono z pojęciem *humanitas*. W obliczu grozy politycznej i spustoszeń moralnych, w obliczu absurdałnego impasu mechanizacji (automatyzacji) — tu mieści się tragedia pozytywizmu — *humanitas* naszego stulecia jest poszukiwaniem przestrzeni psychologicznej, tego *der innere Wunsch* Kandinskiego.

1. Na przykład teorie Maurice Denis'a czy „Über das Geistige in der Kunst” (1912) Kandinskiego.

2. Malewicz, lub teozofia Mondriana.

Krytyka sztuki jest z zasady działalnością *zaangażowaną*, łączy się aktywnie z pewnym prądem artystycznym, a dzisiaj przeciwstawia Sztukę (kreację) Kulturze (w jej dzisiejszej, zdemityzowanej formie „konsumpcji” kulturalnej). Przepaść między Kulturą, pojętą jako instytucjonalny system wartości użytkowych — materialnych bardziej, aniżeli moralnych w obliczu skomercjonalizowanej formy „konsumpcyjnej” *mass-culture* McLuhan’a, a Sztuką pogłębia się w obecnych latach w sposób prawie że sztuczny; sztuka chcąc wyodrębnić swoje pozycje, czując się zagrożoną przez nowoczesną mistyfikację pseudokultury „popularyzowanej”, stara się wykazać swoją odrębność, stara się wytwarzać wartości *anty-kulturalne*. Odpowiada ona w ten sposób Wielkiej Czkawce Kultury, która stara się udławić dzisiejszą „cywilizację”, prostytującą jednostkę ludzką (aż strach napisać Człowiek, co brzmiało „dumnie” dla Gorkiego) do roli maszyny biologicznej, która zaspakaja się „produktami”... Honorowe miejsce w tym nowym batalionie artystów zajmują „Art Brut” Jean Dubuffet’a i pozycje anty-kulturalne Gombrowicza. Jest to jedno więcej złudzenie Sztuki (ale jakże piękne!), gdyż jak długo by się nie utrzymali poza obiegiem *kultury* Gombrowicz, tak samo jak Duffet zostaną wchłonięci przez tę Żarłoczną Hydrę — Historię (= Kulturze).

W obliczu kaskady najprzeróżniejszych awangard („izmów”) XX wieku, krytyka (ta pośledniejsza) często przyjmowała pozycję historyzującą, co po części negowało samą jej istotę, czyli kombatywność w obronie nowej idei, która z zasady powinna zakładać też nową lekturę historii. Biegle spojrzenie na szczyty historii krytyki artystycznej przekona nas, że dobrymi krytykami były właśnie głowy nieprzekorne — Diderot, Baudelaire, Apollinaire, Breton etc. Dzisiaj, po długich latach jawnej polityzacji krytyki, wchodzi ona w okres o wiele ciekawszy i ważniejszy niż lata międzywojenne, niż nawet od razu po drugiej Wojnie; krytyka obarczona jest coraz więcej odpowiedzialnością moralną dzisiejszej sztuki, która z odwagą Nieświadomych bierze na siebie odpowiedzialność dawnej *humanitas*, będącej przywilejem świadomego intelektu — literatury, filozofii, dyscyplin „humanistycznych” i politycznych. Krytyka sztuki, jeżeli nie jest „upupiona” własną niemocą konserwatyzmu (czy intelektem krytyka), powinna być zdecydowanym aktem anty-społecznym (w sensie społeczeństwo = *société de consommation*), anty-konserwatywnym i tym sposobem anty-kulturalnym. Że pozycja ta nie jest romantycznym polotem fantazji i marzeniem o „*Wundergeststärke*” świadczą choćby reakcje wszystkich reżymów totalitarnych naszych czasów, które czują zagrożenie w proklamowanej przez surrealistów *Révolution permanente*. Pozycja hitlerowskiej doktryny *entartete Kunst*, która w sposób przerażająco dokładny pokrywa się z stalinowskim „socrealizmem”, jest tylko dojściem do szczytu wielkości czysto ilościowego nagromadzenia sił reakcji; konserwatywny mechanizm „obrony społeczeństwa”, który bynajmniej nie godzi się z proklamowaną przez system republikański „wolnością jednostki”, kiełkuje w każdym mikro-klimacie

grup społecznych, gdyż byłoby przesadą chcieć udowodnić, że to faszysti wyśmiewali kubistów i bili surrealistów. Mechanizm ten jest refleksem już na tyle zaadoptowanym przez społeczeństwo, że analizowała go starożytna tragedia grecka, tak jak i Freud. Na tej zasadzie wyrobiła się w nauce pozytywistycznej teoria, która w sposób naiwny tłumaczy pojawienie się każdego nowego stylu mechanizmem „reakcji na poprzedni”. Jest w tym z pewnością pewna prawda, niemniej dotyczy ona zaledwie powierzchwnych zjawisk artystycznych, dając nam jedynie pojęcie o, tak zwanych przez dzisiejszych strukturalistów, *épiphénomènes* systemu kultury. Tak jaskrawe w systemie gombrowiczowskim *definitio ab negotione* jest potrzebą organiczną dzisiejszej sztuki, bardziej niż kiedykolwiek wyrastającej na bastion niezależności człowieka w obliczu normatywnego nihilizmu *masy*.

Świadomość ta ujawnia się coraz częściej w ostatnich latach w krajach wysokoprzemysłowych, w krajach w których kiełkuje dzisiejsza awangarda artystyczna. W Stanach Zjednoczonych artykuły takich wybitnych krytyków jak Greenberg i Fried zabarwione są kombatanizmem doktryny politycznej (marksizmem), a Rosenbergowi zawdzięczamy termin *action painting*, charakteryzujący malarstwo Pollocka³.

Scena europejska nie jest wolna od podobnych tendencji, niemniej przykre doświadczenia historyczne i szczególnie ostatnie, coraz okrutniej podrzucane nam przez Historię przemianę słowa *wolność*, sprawiły, że „sprostituowano je razem z jednostką ludzką” (Malaparte). Typowo europejska mądrość pesymizmu intelektualnego⁴ została choćby częściowo przełamana przez tegoroczne wydarzenia polityczne — Francja, Włochy, Czechosłowacja...

W obliczu „majowej rewolucji” francuska krytyka przeżyła tydzień powierzchownego entuzjazmu. Fakt znamienny dla całokształtu wydarzeń — nawet (i szczególnie!) krytycy „awangardowi” (pseudo, gdyż w zasadzie są oni bardziej posłuszni modzie niż zdecydowany konserwatysta), nieświadomi własnego instynktu — gdyż służą oni najbardziej pospolitym ideałom sztuki „konsumpcyjnej”, czuli się w obowiązku stanąć na pozycji „anty”: anty-rządowej, anty-abstrakcyjnej (co jest dzisiaj modne, na zasadzie powierzchownej negacji i pseudo-awangardy). Ewolucja wydarzeń ujawniła, że prawdziwi twórcy nie są „anty” w sposób powierzchowny, ujawniła słomiany ogień tych pseudo-rewolucjonistów. Prawdziwi krytycy pozostali poza zasięgiem tego wzlotu niemocy, wiedząc, że prawdziwa rewolucja artystyczna odbywa się, może nawet w tej samej chwili, ale nie w tym organizmie psychodramy publicznej, ale w pracowni artysty, gdzie jednoty-

3. Barbara Rose: „Problems of Criticism. The Politics of Art” in ARTFORUM, feb. 1968.

4. Kojève daje najbardziej pesymistyczną dzisiaj interpretację hegliańskiego (vol. VI, nr 6) „zamkniętego cyklu”, ale już Shakespeare pisał:

„Words are gown so false

I am loath to prove reason with them”.

godniowy zamęt nie wystarczy na to aby ściany świata waliły się i powstawały w nowym porządku.

Zaangażowanie prawdziwe i zaangażowanie fałszywe dają sobie codziennie spotkanie na łamach czasopism o sztuce, czasami w sposób przedziwnie dramatyczny walczą o te same wartości, tyle że odmienną bronią, na różnych poziomach. Synteza polityzacji — prawdziwej i tej powierzchownej — krytyki sztuki odbyła się w Bordeaux na tegorocznym wrześniowym kongresie krytyków AICA (*Association Internationale des Critiques d'Art*). Spotkanie Meksykańczyków z Czechami, Włochów z Amerykanami i pozycje delegatów z krajów „demokracji ludowych” wykazały dobitnie, że w samej istocie krytycy z prawdziwego zdarzenia świadomi są swojego zaangażowania społeczno-politycznego poprzez postawę estetyczną i środki wyrazu, używane w celu obrony wolności sztuki, bardziej niż kiedykolwiek dążącej do wyzwolenia się z norm uniformizującego ich porządku socjalnego. W tym świetle ogólne potępienie sowieckiej agresji w Czechosłowacji, było niejako odbiciem głębokiego zaangażowania moralnego na polu życia pozaintelektualnego. Przemówienie J. Chałupeckiego, delegata z Pragi, było wspaniałą syntezą dzisiejszej roli sztuki i krytyki, która uwidoczniła się w tak szlachetny sposób podczas wydarzeń czeskich. Chałupecki powiedział m.in.: ... „Sztuka jest potrzebna naszej epoce, gdyż na tle wszystkich innych działalności ludzkiej jednostki, sztuka jest najpełniejszą manifestacją wolności. ... jest ona schronieniem, gdzie możemy ukryć się od banałów i przykrości świata... Za parę dni, my wracamy do Kraju aby bronić prawa wolności twórczej dla artystów. Liczymy na solidarność międzynarodową krytyków aby nam pomogli⁵...

W obliczu tej świadomości własnej odpowiedzialności moralnej przemówienie delegata polskiego⁶ raziło już nie tylko ślepym posłuszeństwem wobec doktryny rządowej, ale wydawało się zmorą historii, która nęka nas ciągle poprzez wspomnienia soc-realizmu. Solidarność mówcy należała do tego co Jean Dubuffet nazywa „policją kulturalną”⁷ (w tym wypadku należałoby jeszcze

5. *Sud-Ouest* z 13. IX. 1968.

6. A wiadomo, że był nim Juliusz Starzyński — profesor Uniwersytetu Warszawskiego i były dyrektor Instytutu Sztuki przy PAN. Nie chcąc tracić cennego miejsca na łamach *Kultury* przytoczę jedynie relację, niezwykle powściągliwego i kurtuazyjnego zazwyczaj Pierre Paret'a (*Sud-Ouest* — 14. IX. 1968), który nie wymienia nazwiska polskiego mówcy (jedynie nie wymienione!) Pisz on: ... „Mme Ambrosi (Yugoslavie), Mr Arad (Hongrie) et Mr Heist (Allemagne de l'Est) parlent en termes modérés, exempts de fanatisme... leurs exposés ne sont en aucune façon des manifestes et il leur arrive de souligner leur désaccord avec certaines méthodes qui leur sont imposées... La seule fausse note de cette dernière matinée vient du délégué polonais qui, avec la discourtoisie en usage dans certaines mafias, exécute sans art le numéro qu'on lui a commandé de faire. L'accueil glacial réservé à son intervention contraste vivement avec celui que reçoit quelques instants plus tard M. Comaresco (Roumanie)”.

7. Jean Dubuffet *Asphyxante culture* — Paris, 1968 (éd. J.-J. Pauvert).

dodać słowo „polityczną”). Na tym tak jaskrawym wypadku polityzacji krytyki (negatywnej oczywiście) należałoby przypomnieć odwagę niektórych wystąpień literatów warszawskich. Odwaga intelektualna mimo pewnego zabarwienia dziewiętnastowiecznym bohaterstwem pozostaje przywilejem dzisiejszej *humanitas*.



Na marginesie tego tak przykrego dla honoru polskiej krytyki incydentu należy przypomnieć, że Juliusz Starzyński od lat znany jest z „elastyczności” swojego sumienia intelektualnego. Z właściwą sobie „ewolucją perspektywy estetycznej” akceptował on credo socrealizmu i nawet stosował go w sposób zawstydzająco naiwny dla profesora uniwersytetu na polu historii sztuki, gdy w roku 1955⁸ przenosił tę teorię, nie dającą się w żaden sposób obronić argumentami naukowymi, poza XX wiekiem, na pole... Renesansu włoskiego; starał się udowodnić „więzy socjalne” Tycjana (malarza królów i najbardziej wyrafinowanej arystokracji!) z... prostotą ludu weneckiego i prawie, że mianował Tycjana pierwszym... „realistą socjalnym”.

Andrzej NAKOV

8. Actes du Congrès Intern. d'Histoire de l'art — Venise, 1955.

« Listy delfińskie »

Wartość biografistyki jako środka wyjaśniającego mechanizm i cechy twórczości artystycznej jest z pewnością najbardziej kontrowersyjna. Ma też stąd swych gorących zwolenników i niemniej zagorzałych przeciwników, co gorsza mających tak w jednym jak drugim wypadku dostateczną ilość ważkich argumentów.

Z pewnością styl życia, poglądy, warunki i doświadczenia, a przede wszystkim sylwetka moralna, determinują w znacznej mierze pisarza. Znając je możemy określić ich odbicie lub zaprzeczenie w dziele, możemy niejednokrotnie śledzić powstawanie i rozwój tych czy innych pomysłów tematycznych przed ich artystyczną realizacją — jednym słowem traktowanie artysty jako przedmiotu na równi z jego dziełem jest tu jak najbardziej celowe.

Znacznie mniej daje ono w odniesieniu do przedstawicieli sztuk plastycznych, a szczególnie muzyki, dziedziny twórczości mającej dzięki swemu abstrakcyjnemu charakterowi — realizacji „idei czystej formy” — ciąg niemal autonomiczny, którego

wyjaśnienie przesłanki biograficznymi przeważnie nigdzie nie prowadzi.

Problem więc badania i udostępniania materiałów dotyczących bezpośrednio prywatnego życia twórców, w pierwszym rzędzie korespondencji, pozostaje nadal otwarty.

Tematem który od lat dwudziestu stanowił coś w rodzaju „węza morskiego” polskiej muzykografii, a od lat dwunastu stał się przedmiotem gwałtownego sporu, jest autorstwo listów Chopina do Delfiny Potockiej. Ponieważ spór ten zbliża się do końca przynajmniej swej pierwszej fazy, warto poświęcić całej sprawie nieco uwagi i dokonać choć prowizorycznego podsumowania.

Na wstępie trzeba też podnieść sprawę podstawową — wartości owej korespondencji jako dokumentu muzycznego. Ponieważ wielokrotnie wysuwano argument, że motywem zwolenników udostępnienia owych niewydanych dotąd listów jest jedynie sensacyjność ich treści, a nawet że kryją się za nim całkiem interesowne wyliczenia, stwierdzić trzeba z naciskiem, że spośród całej korespondencji Chopina znajdujemy tu chyba najwięcej wzmianek dotyczących bezpośrednio twórczości, pozwalających odtworzyć psychologię Chopina-kompozytora.

Mówiąc o końcu „pierwszej fazy” nie mam tu na myśli dojścia do wspólnych wniosków i ujednolicenia poglądów... Jest to dziś z pewnością niemożliwe. Zbyt wiele zostało tu zaangażowanych emocji i osobistych ambicji. Tym niemniej doszło do pewnej niepisanej i niewypowiedzianej ugody — teksty postanowiono wydać, co niewątpliwie sprowadzi spór na tory bardziej rzeczowe i pozwoli oprzeć argumenty na dokładnej analizie tekstów.

Na „płaszczyźnie instytucjonalnej” „stronami” były Międzynarodowa Fundacja Chopinowska oraz warszawskie „Towarzystwo im. Fryderyka Chopina”, będące w istocie państwowym instytutem zajmującym się badaniami chopinowskimi, współorganizowaniem konkursów chopinowskich oraz uczestniczeniem w akcjach wydawniczych.

Siły więc bardzo nierówne — z jednej strony skromna instytucja o prywatnym charakterze stowarzyszenia grupy miłośników muzyki chopinowskiej, z drugiej potężna machina posiadająca rozległe kontakty zagraniczne i ciesząca się autorytetem wynikającym z kilkudziesięcioletniej, choć nieco fikcyjnej ciągłości...

Ostatecznie cały spór mimo kultu (często przybierającego przesadne formy) muzyki Chopina w polskim społeczeństwie dotyczyłby ograniczonego grona bezpośrednio zainteresowanych gdyby nie to, że stał się on demonstracją wysoce charakterystycznych metod stosowanych w polskim życiu kulturalnym i naukowym.

Zacznijmy więc od kroniki wydarzeń, rozpoczynającej się w pierwszych latach powojennych, kiedy to po raz pierwszy pojawił się problem owych listów.

Znany badacz spraw chopinowskich B. E. Sydow przygotowywał właśnie edycję monumentalnej „Bibliografii Chopina”, dzieła które ostatecznie ukazać się miało już po jego śmierci w roku

1948... Otóż autor ten otrzymał wówczas od nieznanej bliżej Pauliny Czernickiej propozycję nabycia do zbiorów odbudowującego się TIFC-u niepublikowanych i bliżej dotąd nieznanych listów Chopina do Delfiny Potockiej, dotyczących czasów i spraw kwestionowanego przez wielu biografów kompozytora romansu. Jako dowód posiadania tych materiałów przedstawiła ona kolejno szereg odpisów, przeważnie fragmentów listów. I sprawa natychmiast nabrała rozgłosu gdyż niewątpliwie kompetentny znawca rękopisów i spraw chopinowskich, jakim był Sydow, nie miał wątpliwości że chodzi tu o autentyki.

Dalej, niestety, sprawy zaczęły się komplikować gdyż Czernicka przedstawiając coraz to nowe dowody posiadania oryginałów zwlekała z ich ostatecznym przedstawieniem tłumacząc to oporami ze strony rodziny, zmianą miejsca przechowywania listów itd., itd...

Jak było w istocie nie wiemy i pewno nigdy nie dowiemy się; być może chodziło tu o podbicie ceny, być może po prostu listy, a raczej ich oryginały, stanowiły własność kogoś innego, w każdym razie zainteresowanie Sydowa było w pełni uzasadnione. W istocie zarysowywała się możliwość dotarcia po raz pierwszy do owej korespondencji, której istnienie wzmiankowane aluzyjnie przez najpoważniejszych monografistów Chopina (Hoesick, Jachimecki) pozwalało przypuszczać, że nie chodzi tu jedynie o sensacje erotyczne, ale że poruszano w niej także ważne problemy muzyczne.

Powody dla których korespondencja ta nie została poprzednio ogłoszona, a dostęp do niej obwarowany był jak najściślejszą dyskrecją są nader niejasne. Jej erotyczna treść nie jest z pewnością motywem wystarczającym, wszak zawierająca nieporównanie więcej momentów istotnie skandalicznych korespondencja między tą samą Delfiną a Zygmuntem Krasińskim od dziesięcioleci była powszechnie znana. I tu więc stoimy wobec niewiadomej.

W każdym razie wśród znawców i badaczy życia i dzieła Chopina ustna tradycja przechowywała nie tylko fakt istnienia owych listów, ale także ogólną ich treść czy wreszcie niektóre, bardziej pomysłowe sformułowania...

Sprawa jednak nie znalazła pozytywnego zakończenia, zmiany statusu TITCu, śmierć Sydowa a zapewne też zmienne i pełne niepokoju losy posiadaczki owych kopii i jednocześnie domniemanej dysponentki ich oryginałów spowodowały, że utknęła ona gdzieś ok. 1949 na martwym punkcie.

Analizując dziś całokształt okoliczności owych lat wydaje się najbardziej prawdopodobne, że wszystkie owe niekonsekwencje wynikały w znacznej mierze z sytuacji, w której znajdowała się posiadaczka owych materiałów, wysiedlona gdzieś z Litwy czy Wileńszczyzny, nieprzystosowana do nowych warunków, szukająca wszelkimi siłami środków egzystencji. Jak wiemy zresztą wyśiłki owe okazały się daremne — zakończyły się samobójczą śmiercią w Jeleniej Górze.

Podkreślenie tych okoliczności nie jest bez znaczenia dla cha-

rakterystyki dalszego biegu spraw. Jak się ostatnio okazało owe listy proponowane TIFCowi nie były czekiem bez pokrycia. Być może umiejętne rozegranie tej sprawy mogło dać w efekcie nabycie oryginałów.

Tak czy inaczej, zmarły przed kilkoma laty kompozytor Tadeusz Szeligowski był w posiadaniu nabytych od P. Czernickiej fotokopii kilku listów będących niewątpliwie autografem Chopina. Co ciekawsze, fakt ten do niedawna pozostawał całkowicie nieznany, ujawnienie owych materiałów nastąpiło dopiero w ubiegłym roku. Dziś należą one do bogatego zbioru chopinianów będących własnością Arthura Hedley'a, angielskiego monografisty Chopina, stale mieszkającego w Londynie... Trafiły one tam bezpośrednio od spadkobierców Szeligowskiego, w Polsce nikt się nimi nie zainteresował.

Przebieg sprawy był zresztą dosyć dziwny i jednocześnie charakterystyczny dla istniejących stosunków. W latach 1949-1960 panowało wokół niej w Polsce całkowite milczenie. W pierwszych latach tego okresu „ustawiano” nową biografię „Chopina-wolterianina”, która swą realizację znalazła w biograficznym filmie „Młodość Chopina”, potem natomiast, zdaje się, owe listy poszły po prostu w zapomnienie.

Inaczej natomiast działo się na emigracji, gdzie zaczęto się nimi poważnie zajmować, jakkolwiek niedostępność materiałów czyniła niemożliwym jakiekolwiek definitywne rozstrzygnięcie. Tym niemniej stworzona w Kanadzie z inicjatywy Prof. Mateusza Glińskiego „Międzynarodowa Fundacja Chopinowska” postawiła sobie za cel doprowadzenie do pełnego i krytycznego wydania tekstu owych listów w przekonaniu, że ich autentyczność jest więcej niż prawdopodobna.

Punktem zwrotnym stał się „Międzynarodowy Kongres Muzykologiczny” poświęcony twórczości Chopina oraz historii muzyki polskiej, odbyty w Warszawie w lutym 1960.

W trakcie tej imprezy, w której wzięła udział bardzo duża liczba wybitnych specjalistów ze wszystkich niemal krajów i kontynentów, Prof. Gliński wygłosił szczegółowo uargumentowany referat udowadniając autentyczność tekstów owej korespondencji oraz postulując jej publikację. Oczywiście argumentacja owa nie mogła być kompletna, gdyż podstawą analizy mogły być jedynie fragmenty ogłoszone głównie przez Sydowa na początku sprawy, ale i ich analiza filologiczna oraz trafne umieszczenie w biografii kompozytora przekonało wielu słuchaczy*.

Tym niemniej rzecz nabrała skandalicznego posmaku gdyż A. Hedley poczuł się niemal osobiście dotknięty przytoczeniem przez prelegenta kilku bardziej swawolnych pasażów (oczywiście nie dla innego celu niż dla wykazania konkordancji między tymi a „oficjalnie” uznanymi listami) wobec czego już w komunikacie

* Kompletną „Księgę” tego kongresu wydało „Państwowe Wydawnictwo Naukowe” w roku 1963.

końcowym zdecydowano się umieścić „ubolewanie”, a Gliński stał się natychmiast przedmiotem ustnej na razie nagonki...

Tym niemniej przytoczone argumenty sprawiły, że przestano sprawę bagatelizować. Właściwie trudno dociec czemu akurat w Warszawie przyjęto *ex officio* nieautentyczność owej korespondencji — przecież żaden bezpośrednio „ideologiczny” powód nie stanowił przesłanki w tym kierunku. To że później starano się za wszelką cenę postawić na swoim jest zrozumiałe, zbyt mocno zostały w to zaangażowane osobiste ambicje i autorytety wpływowych osób (Lissa, Iwaszkiewicz), ale sam punkt wyjścia był chyba wybrany dosyć przypadkowo.

Jako główny argument na początku kampanii słyszało się, że „nie można sprawiać przykrości Hedley’owi, on tyle zrobił dobrego dla spraw chopinowskich oraz TIFCu”.

Motyw zatem całej akcji wydawał się błahy, niepasowanie owych listów do sylwetki Chopina, zrekonstruowanej czy też raczej wyobrażonej przez Arthura Hedley’a. Przyznać zresztą trzeba, że postawa tego ostatniego w całym sporze odbijała raczej korzystnie od metod stosowanych przez „obrońców” jego tez.

Jako odpowiedź na referat Glińskiego postanowiono pospieszne i „definitywne” zamknięcie sprawy listów. Jako metody użyto tak drogich „aparaczykowskiemu” sercu „środków administracyjnych”, połączonych z „rozwodnieniem odpowiedzialności”. Celowi temu w idealny i wypróbowany sposób służy „konferencja”. Ostatecznie nie jest zbyt trudno zgromadzić grono ludzi o znanych nazwiskach, a o kompetencjach odległych od przedmiotu sprawy i wyprodukować po jednostronnym przedstawieniu argumentów odpowiednią „uchwałę” mogącą już później służyć jako „podkładka” z mocą obowiązującą.

Niemal więc nazajutrz po wspomnianym kongresie taka konferencja została zwołana do nader dekoracyjnie w zimowym pejzażu usytuowanego pałacu w Nieborowie, pod auspicjami i przewodnictwem tandemu Lissa-Iwaszkiewicz.

Oczywiście konferencji postarano się nadać postać poważnego naukowego kongresu. Ujawniono też nowy argument w postaci mającego być bezpośrednim „warsztatem fałszerstwa”, zeszytu rękopisów Czernickiej, starannie odszukanego w Jeleniej Górze... Autentyczność tego ostatniego nie była zresztą przez nikogo kwestionowana, tylko ostateczne wnioski z jego analizy okazały się co najmniej pospieszne.

Ekspertyzy specjalistów dotyczące najdrobniejszych szczegółów tekstu zdołały się doszukać jedynie słabiutkich poszlak — tu Chopin pisze o spotkaniu kogoś w Paryżu podczas gdy wiadomo, że w tym dniu przebywał bodajże w St. Germain, w innym znów powstała wątpliwość czy jeden z użytych wyrazów już wówczas istniał w polszczyźnie... W tym drugim zresztą wypadku okazało się że występuje w niewiele późniejszym tekście Norwida... W sumie „ogłędając drzewa nie dostrzeżono lasu”, tj. tak szczególnego i charakterystycznego stylu listów Chopina... Oczywiście znamy przykłady wielkich fałszerstw literackich jak „staroczeskie” teks-

ty Hanki, czy też stale zaprzatający sławistów problem autentyczności tekstu poematu „Słowo o Pułku Igora”, a raczej rzeczywistej daty jego powstania... Marginesem warto zauważyć, że jakiegokolwiek przyznawanie się w Polsce do tej wątpliwości uznawane jest jako wyraz „wrogich tendencji antyradzieckich”...

We wszystkich jednak tych wypadkach nikt nie miał wątpliwości że kwestionowane dzieła mogły powstać jedynie w pracowni „fałszerzy” (jeśli tak można mówić) wielkiej wiedzy i talentu, co zupełnie nie zgadzało się z osobowością Pauliny Czernickiej.

Osobę jej poddano więc znacznym przekształceniom. Okazała się być absolwentką bodajże petersburskiego konserwatorium, posiadaczką znacznych włości i urządzonego w nich prywatnego muzeum chopinowskiego, będącego ośrodkiem egzaltowanego kultu... Poddano też krytycznej analizie jej heraldyczny wywód aby dowieść, że choć Komarówna z domu nie była w żaden sposób spokrewniona ze spadkobiercami Delfiny.

Chyba jednak zdano sobie sprawę że to wszystko zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe, wobec czego opracowanie „komunikatu końcowego” — rodzaju *rapport de synthèse* — powierzono związanej z TIFCem młodej adeptce muzykologii; jej tekst miał też się niebawem stać przedmiotem interwencji na tle nieposzanowania własności autorskiej i nieściśłości niektórych relacji.

Zadbane również o odpowiednią reklamę, czemu służył długi cykl radiowych dyskusji z udziałem protagonistów owej konferencji, zawierający równie dużo osobistych impresji nie na temat, jak braku konkluzji. Jediną osobą naprawdę kompetentną spośród zaangażowanych w tę sprawę był znakomity znawca rękopismianstwa polskiego romantyzmu, wydawca pism Norwida — Prof. I. W. Gomulicki. Jego jednak opinie dalekie były od wymaganych, pospiesznych i definitywnych konkluzji...

W sumie liczono niewątpliwie, że wszelka możliwa opozycja przytłoczona falą argumentów nie zostanie dopuszczona do głosu i tym samym decyzje „Konferencji Nieborowskiej” zyskają „moc obowiązującą”. Tu jak w wielu innych wypadkach podstawowym czynnikiem była postawa czołowego polskiego pisma muzycznego — „Ruchu Muzycznego”, którego naczelny redaktor Zygmunt Mycielski okazał się najdalszy od postawy „solidarnościowej dyscypliny”, umożliwiając Głińskiemu opublikowanie szeroko uargumentowanej odpowiedzi, zaznaczając jednocześnie że dyskusja winna się toczyć tak długo, jak padać w niej będą rzeczowe i ważne argumenty.

To sytuację zmieniło — autorzy „Konferencji Nieborowskiej” przestali się na nią powoływać, a Z. Lissa zmuszona była publicznie przyznać, że materiałów tych „naukowo nie badała”, co zresztą nie ulegało wątpliwości, jako że w tej dziedzinie nie posiada ona żadnych kompetencji.

Wycofanie się jednak z poprzednich pozycji nie zmieniło taktyki polegającej na „administracyjnym” uniemożliwianiu postępu prac, któremu towarzyszyły osobiste ataki na przeciwników.

W przedziwny sposób nadano całej sprawie aspekt „polityczny”

wykorzystując fakt, że teza autentyczności listów znalazła wielu zwolenników wśród przedstawicieli polskiego pisarstwa emigracyjnego.

Do tego dołączono zgoła niesmaczne posądzenia o motywy intrygowości — opublikowanie listów miało rzekomo przynieść Prof. Gliškiemu fortunę, jak to eufemicznie określił J. Iwaszkiewicz „zbił sobie wcale wygodne dożywocie na listach do Delfiny” (*Życie Warszawy*, 11-12. II. 68).

Jeśli do tego dodamy wypowiedzi prof. Igora Bełży z Akademii Nauk ZSSR, który zdecydowanie schodząc poniżej swego poziomu językiem „agit-propu” „potraktował” Gliškiego określeniem „amerykańskich aferzystów”, będziemy mieli dość dokładny obraz atmosfery...

Oczywiście nie omieszkanego też wykorzystać sposobności do osobistych szykan. Latem 1963 roku prof. Gliški odwiedził Warszawę z zamiarem dotarcia do źródeł interesujących go tekstów. Przyjmowany był nader uprzejmie, ale „załatwiany odmownie”. Wprawdzie „udostępniono” mu przechowywany w kasie pancernej TIFCu „zeszyt Czernickiej”, w sposób jednak uniemożliwiający zapoznanie się z jego treścią nie mówiąc już o zrobieniu jakichkolwiek notatek.

Nie lepiej poszło w innych sprawach. Prof. Gliški otrzymał wówczas od Filharmonii Narodowej zaproszenie na następny sezon jako dyrygent, jak również Erwin Axer zamierzał wystawić w Warszawie jego sztukę pt. „Tajemnica Chopina”.

Druga z tych spraw pozostała ostatecznie w sferze niezrealizowanych projektów, w stosunku natomiast do projektów filharmonicznych nie zawahano się uciec do pociągnięcia równie drastycznych co kompromitujących. Dosłownie w przeddzień wyjazdu została cofnięta wystawiona poprzednio przez polską ambasadę wiza wjazdowa, aby być przywróconą z uprzejmym listem gdy termin koncertu minął. Jak udało się stwierdzić u źródła, Lissa po wyczerpaniu, na próżno, wszelkich nacisków zmierzających do skłonienia Filharmonii do anulowania kontraktu, użyła swych wpływów „partyjno-rządowych”, aby uniemożliwić realizację koncertów...

Wysiłki jednak nie okazały się daremne. „Nieugięta” postawa „Ruchu Muzycznego” i wzrastająca waga argumentów Gliškiego w polskim środowisku muzycznym nie pozwoliły na „zamknięcie sprawy”... W ubiegłym roku ukazała się nakładem Polskiego Wydawnictwa Muzycznego monografia J. M. Smotera pt. „Spór o listy Chopina do Delfiny” — rodzaj „białej księgi” zawierającej tak same teksty będące przedmiotem dyskusji, jak argumenty „za i przeciw”. Autor posiadający odpowiednie kwalifikacje tak filologiczne jak muzyczne ostrożnie analizuje przebieg dotychczasowej dyskusji starając się uwypuklić jej główne punkty (warto niewątpliwie tej książce poświęcić szczegółowe omówienie)... Nie znajdując ostatecznego rozwiązania kwestii stwierdza jednak kategorycznie że teza o sfałszowaniu listów przez P. Czernicką nie da się utrzymać.

Największą jednak wartością cytowanej monografii jest opublikowanie, wraz ze szczegółowym opisem, fotokopii siedmiu lub ośmiu (niekiedy chodzi o niekompletne teksty) listów, do niedawna całkowicie przemilczanych, a udostępnionych obecnie przez A. Hedley'a. Są to te same teksty, które nabyte w roku 1947 przez T. Szeligowskiego trafiły kilka lat temu do zbiorów londyńskiego chopinologa.

Fakt ten ma znaczenie przełomowe. Dysponując kompletem dostępnych w chwili obecnej materiałów można będzie dalsze wnioski oprzeć na rzeczowej i naukowej argumentacji. Istnieje poza tym poważna nadzieja, że oryginały gdzieś istnieją, i że wydobyć ich na światło dzienne stanie się kiedyś realne...

Już dziś jednak można z powodzeniem ryzykować twierdzenie, że ich autentyczność została udowodniona, chociaż poprzedni zwolennicy tezy fałszerstwa bynajmniej nie skapitulowali. Dn. 26 lutego TIFC zorganizował nową, choć tym razem już publiczną, dyskusję, która jednak zakończyła się bez żadnej uchwały, a uczestniczący w niej prof. Gomulicki silnie podważył argumenty zwolenników „fałszerstwa”.

Wprawdzie i to nie kończy sprawy gdyż dwa następne artykuły J. Iwaszkiewicza (*Życie Warszawy*, *op. cit.*) oraz inspirowany przezeń Jerzego Waldorffa (*Świat*, 24. III.68) nie tykając meritum poświęcone były niewybrednemu „opluskwianiu” (modna dziś szczególnie praktyka w PRLu) Mateusza Glišńskiego.

Na pierwszy z tych ataków właściwej odpowiedzi udzielił Z. Mycielski, tuż przed odejściem z „Ruchu”, stwierdzając, że dyskusja jest najdalsza od charakteru prywatnej sprawy między Harasowskim, Hedley'em, Gliškim i Smoterem, drugi kwalifikuje się raczej na forum sądowe i nie ma potrzeby nim się tu zaprzątać, jakkolwiek ciekawe byłoby dojść jakie to względy lojalności skłoniły Waldorffa, dosyć niezależnego felietonistę, do zajęcia aż tak krańcowej postawy...

Niewątpliwie najważniejszym punktem obecnej dyskusji jest ciekawa i oryginalna opinia Hedley'a podtrzymującego nadal tezę fałszerstwa i starającego się udowodnić, że posiadane przezeń fotokopie, które, przyznać trzeba, lojalnie udostępnił, są właśnie podstawowym falsyfikatem. Jak dotąd w swych argumentach ogranicza się on do stwierdzenia, że fotokopie te są niczym innym jak zręcznym fotomontażem słów wybranych ze znanych od dawna listów Chopina do różnych osób (w tym też do Delfiny) i że sporządzenie ich *nie nastręczałoby zbyt wielkich trudności technicznych*.

Oczywiście rozstrzygnięcie może przynieść jedynie dokładna i z pełnym znanstwem przeprowadzona analiza grafologiczna, lub raczej paleograficzna, a tej dotąd brak.

Natomiast podstawowa „teza robocza” Hedley'a odnośnie owej domniemanej łatwości dokonania tego rodzaju fotomontażu budzi podstawowe wątpliwości. W istocie jest to chyba niemożliwe, gdyż trzeba by założyć, że tuż po wojnie działał w Polsce w powiązaniu z Czernicką specjalista znakomicie kwalifikowany, po-

siadający wspaniale wyposażone laboratorium fotograficzne, i do tego łatwy dostęp do chopinowskich oryginałów rozsianych po całej Europie i poza nią.

Doprawdy, biorąc pod uwagę czas (1945-47) i warunki, chyba nawet w ówczesnej Anglii tego rodzaju działalność byłaby utopią. Co więcej nawet przy spełnieniu poprzednich warunków dokonanie montażu technicznie nie jest bynajmniej proste — przeciwnie piekielnie trudne. Przecież w tym celu trzeba by dokładnie „zgrać tło” listów pisanych na różnych papierach, ujednolicić rozmiar pisma, wybrane jako model oryginały, ograniczyć do wąskiego kręgu chronologicznego, gdyż wiemy że każde pismo dość istotnie zmienia się z czasem. To w końcu tworzy niemal kwadraturę koła...

Istotniejszy jest jeszcze argument natury filologicznej. Jak wiadomo „listy delfińskie” są pod względem tematycznym całkowitym unikatem, że Chopin używa w nich szeregu szczególnych sformułowań wynikających z jego stosunku do adresatki i treści erotycznych wyrażanych często przy pomocy zabawnych muzyczno-erotyczno-eufemicznych neologizmów (choćby tak rozślawiona „desdurka”), których z oczywistych powodów na próżno szukać gdzie indziej... Ten więc chyba argument całkowicie upada.

Ale nie wyprzedzajmy biegu spraw. Jesteśmy nie u końca ale u początku rzeczowej dyskusji, tzn. po przeciwnikach zwolennicy autentyczności powinni się w pełni wypowiedzieć. Dotąd bowiem ograniczali się głównie do apologii, a to jak wiadomo nie jest wystarczające.

Zapowiadane więc przez Międzynarodową Fundację Chopinowską kompletne wydanie (*Bulletin of the International Chopin Foundation*, vol. XI, May 1968) winno prócz argumentów za autentycznością dać też kompletne w miarę możliwości opracowanie z filologicznego i historycznego punktu widzenia, odtwarzając okoliczności i wydarzenia towarzyszące tej korespondencji.

To co bowiem najbardziej interesuje poważnego czytelnika, to nie szczegóły erotyczne, mimo dowcipu nie wykraczające poza bez trudu dostępne polonica tego gatunku i epoki (choćby znakomite „Zberezieństwa” Aleksandra Fredry), ale liczne wzmianki o muzyce, istotne nawet wtedy gdy służą jako przedmiot erotycznego fantazjowania. Wszystko to zasługuje na szczegółowe omówienie, a kompozycje o których mowa w listach na drobiazgową identyfikację.

Niewątpliwą zasługą Mateusza Glińskiego jest przewyżczenie owego „tabu”, ciężącego nad biografią Chopina, jak gdyby jego pierwszy życiorys, skreślony przez księdza Jełowickiego, niewątpliwego przyjaciela kompozytora, ale też „ku zbudowaniu służyć mający” miał być modelem wiecznie obowiązującym.

Skoro słusznie nie wahano się opublikować korespondencji Zygmunta Krasińskiego, korespondencji obfitującej w tyle momentów kłopotliwych, często wyjątkowo drastycznych, bezpośredniość i prostota stosunku Chopina do Delfiny Potockiej nie powinna nikogo razić. Tak jak w wypadku Krasińskiego tak i tu

znajdujemy całą kopalnię istotnych danych, wzbogacających ogromnie naszą wiedzę o człowieku i twórcy.

Miejmy nadzieję, że tak jak w Polsce, w odniesieniu do wieloletnich studiów Smotera, tak i na emigracji znajdzie się wydawnictwo zdolne nadać odpowiednią rangę edycji „według Mateusza Glinńskiego”. Dwudziestoletni wysiłek, często niezrozumiany i dokonywany w pojedynkę w pełni na to zasługuje.

Adam SUTKOWSKI

Komunikaty

KONGRES WSPÓŁCZESNEJ NAUKI I KULTURY POLSKIEJ NA OBCYZYŃIE

Polskie organizacje naukowe, kulturalne i zawodowe w Londynie podejmując zgłoszoną przed paru laty przez p. Adama Ciołkosza inicjatywę, organizują we wrześniu 1970 roku w Londynie Kongres Współczesnej Nauki i Kultury Polskiej na Obczyźnie.

Ma on dokonać przeglądu polskiego dorobku kulturalnego i naukowego poza granicami Polski, omówić położenie nauki i kultury w Kraju, podkreślając potrzebę wolności słowa, myśli oraz badań naukowych, jako niezbędnego warunku dla rozwoju kultury i nauki. Umożliwi on również nawiązanie i podtrzymanie łączności pomiędzy polskimi uczonymi w wolnym świecie, których liczba rośnie z roku na rok.

Prace Kongresu skupiać się będą w Komisjach w ramach nauk:

1. Humanistycznych — kierownik Prof. Dr H. Paszkiewicz,
2. Kultury — kierownik Dr L. Kielanowski,
3. Prawno-społeczno-ekonomicznych — kierownik Prof. Dr B. Hełczyński,
4. Przyrodniczych — kierownik Dr E. Judenko,
5. Ścisłych — kierownik Dr S. Biel,
6. Technologicznych — kierownik Prof. inż. arch. St. Połujan i
Dr Z. C. Szkopiak.

Poza pracą w komisjach przewiduje się dwie sesje plenarne: inauguracyjną z referatem o dorobku Polaków na obczyźnie w rozwoju nauki i kultury oraz końcową dla podsumowania prac Kongresu.

W ramach Kongresu przewidywane jest, w miarę możliwości, zorganizowanie koncertu muzyki polskiej, wystawy obrazów i rzeźb polskich malarzy i plastyków oraz wspólny bankiet dla uczestników Kongresu.

Przewidywany jest udział w Kongresie uczestników nie tylko z Wielkiej Brytanii, lecz i z innych krajów europejskich. Rozważany jest w tej chwili projekt, aby w ramach Kongresu Londyńskiego i w tym samym czasie zebrała się na obrady w Rzymie, na Uniwersytecie Gregoriańskim, polska sekcja filozofii i teologii chrześcijańskiej oraz historii Kościoła. Istnieje nadzieja, że mniej więcej w tym samym czasie odbędzie się podobny Kongres w Nowym Jorku, grupujący uczonych polskich z krajów amerykańskich.

Zgłoszone oryginalne prace w języku polskim, angielskim lub francuskim, zostaną wydane drukiem i rozesłane przed Kongresem zgłoszonym uczestnikom. Prace już wcześniej publikowane nie będą przyjmowane.

Sprawozdanie z Kongresu, obejmujące także sprawozdania z dyskusji w komisjach, zostanie wydane drukiem, jako 2-gi tom materiałów Kongresu.

Prace przygotowawcze prowadzi Komitet Organizacyjny Kongresu, w którego skład wchodzi przedstawiciele instytutów, organizacji naukowych, kulturalnych i zawodowych w Londynie: dr S. Biegański, dr S. Biel, dr L. Ciołkoszowa, mgr. Cz. Czapliński, dr W. Czerwiński, mgr. A. Czułowski, dr M. Danilewiczowa, p. A. Dargas, mgr. J. Garliński, dr W. Gunther, prof. B. Hełczyński, dr L. Kielanowski, dr S. Mękowski, ks. dr J. Mirewicz, prof. dr H. Paszkiewicz, inż. E. Polturak, prof. S. Połujan, inż. A. Rynkiewicz, prof. dr T. Sulimirski, dr C. Szkopiak, inż. T. Szlenkier, inż. A. Ścibor-Rylski, prof. inż. R. Wajda, kmr. B. Wroński, mgr. J. Zieliński.

Prezydium Komitetu Organizacyjnego stanowią: prof. inż. R. Wajda, przewodniczący, inż. A. Ścibor-Rylski i mgr. J. Zieliński — wiceprzewodniczący, inż. A. Rynkiewicz — sekretarz i dr L. Ciołkoszowa.

Komitet ufa, że polscy pracownicy naukowcy i osoby związane z polskim życiem kulturalnym na obczyźnie, poprą tę inicjatywę swym udziałem w pracach Kongresu.

Osoby pragnące wziąć udział w Kongresie lub też zgłosić referat na Kongres zechcą przesłać Komitetowi swe adresy w celu przysyłania im Komunikatów Informacyjnych z dalszymi szczegółami.

Adres dla korespondencji: *Komitet Organizacyjny Kongresu Współczesnej Nauki i Kultury Polskiej na Obczyźnie, 9, Princes Gardens, London, S.W.7.*

SPECJALNY ZESZYT

« KULTURY »

poświęcony wydarzeniom czechosłowackim

Str. 224.

Cena F. 7,50.

Losy mojej książki

W maju 1957 roku, po kilkudniowych obradach IX plenum KC PZPR, opublikowano uchwałę w sprawie odpowiedzialności partyjnej za wypaczenia w organach byłego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Kilka dni później, 22 maja, zabrałem się do pisania powieści, którą ukończyłem 20 czerwca tegoż roku. Przez następny miesiąc przepisywałem rzecz na maszynie, po czym zaniósłem maszynopis mojemu wydawcy — Państwowemu Instytutowi Wydawniczemu. Była to pierwsza praca do której przystąpiłem nie posiadając żadnej umowy wydawniczej: nie było czasu na rozmowy, sygnowanie dokumentów itp. historie. Tytuł „Zatrzymany do wyjaśnienia” zawdzięczam ówczesnemu kierownikowi działu polskiej literatury współczesnej PIW-u, p. Andrzejowi Kijowskiemu.

Jednocześnie powieść przyjął do druku Jarosław Iwaszkiewicz, redaktor miesięcznika *Twórczość*. Zważywszy, iż druk miesięcznika trwa dość długo oraz z uwagi na to, że najbliższe numery tego czasopisma były już zaplanowane, redaktor naczelny *Twórczości* postanowił druk powieści rozpocząć w październiku. Część druga miała się ukazać w zeszycie listopadowym.

Tymczasem toczyła się między Państwowym Instytutem Wydawniczym a redaktorem *Twórczości* korespondencja, mająca ustalić kolejność ukazania się utworu, wreszcie strony uzgodniły, że książka wydana przez Państwowy Instytut Wydawniczy ukaze się następnego dnia po wydaniu listopadowego numeru *Twórczości*, zawierającego zakończenie „Zatrzymanego do wyjaśnienia”.

Poświęciłem tej sprawie nieco miejsca, ponieważ ten jeden miesiąc okazał się fatalny dla wszystkich zainteresowanych — dla Państwowego Instytutu Wydawniczego, dla *Twórczości* oraz dla autora. W miesiącach letnich cenzorzy przeczytali powieść, wyrazili zgodę na druk, w październiku ukazała się w *Twórczości* — część pierwsza, lecz zanim zdołano wydrukować część drugą,

całość została zatrzymana. Nie zdążyłem nawet obejrzeć okładki, przygotowanej przez pracownię graficzną Państwowego Instytutu Wydawniczego: egzemplarz wydany przez to wydawnictwo odebrał mi — w sposób dyplomatyczny — odpowiedzialny kierownik wydziału KC. W mowie potocznej nazywało się, że powieść została zatrzymana do wyjaśnienia. Po 10 latach formuła ta zjawi się ponownie, w innych okolicznościach, ale o tym za chwilę.

Zainteresowane strony znalazły się w opresji. Państwowy Instytut Wydawniczy oraz *Twórczość* straciły kilkaset tysięcy złotych, mnie wypłacono dwa honoraria, lecz mimo tego wielkopańskiego gestu decyzja zatrzymania książki ugodziła we mnie boleśnie.

Była ona tym boleśniejsza, że jeden z ówczesnych sekretarzy KC PZPR zakomunikował mi uchwałę Sekretariatu KC, wyrażającą mi uznanie za napisanie partyjnie zaangażowanej powieści, która — tak brzmiało uzasadnienie — nie może się ukazać z uwagi na stan rozbicia panujący wówczas w PZPR. Minął rok po powrocie Wł. Gomułki do życia politycznego i ostre zatargi między stalinowcami a zwolennikami nowego kierunku nie schodziły z porządku dziennego.

W tym stanie rzeczy wspomnianą uchwałę przyjęto z „ciężkim sercem”: z ciężkim sercem i ja przyjąłem tę decyzję. Wkrótce potem, podczas spotkania w KC z delegacją Włoskiej Partii Komunistycznej usłyszałem, że nie zostałem wykluczony z partii, mimo iż napisałem powieść, która uległa konfiskacie... Tak więc konfiskata utworu była — jak się okazuje — czymś normalnym, nienormalne było to, iż nie zostałem usunięty z szeregów partii. To co było tytułem do chwały całkiem niedawno, obróciło się przeciwko mnie. I nie tylko przeciwko mnie.



„Zatrzymanego do wyjaśnienia” napisałem w ciągu miesiąca, pisałem dniem i nocą, bez wytchnienia, wypełniony łękiem czy zdążę. Spieszyłem się, ponieważ uwierzyłem, że nadszedł czas kiedy można już powiedzieć wszystko. Omyliłem się.

W rok po „polskim październiku” wydano zakaz rozpowszechniania książki traktującej o „październiku”. Minął zaledwie rok, a już było za późno. Już nie chciano przyznawać się do tego, co uczyniono kilka miesięcy wcześniej, mianowicie, że nadeszła odnowa i podjęto walkę ze stalinizmem. Po roku zaledwie już nie chciano potępić metod o których traktuje ta książka.

Ofiary stalinizmu w Polsce, znające powieść oraz decyzję, były zdruzgotane: ludzie ci zrozumieli, że zakaz wydania utworu równoznaczny jest z niechęcią potępienia metod stalinowskich. Ludzie ci, znający mechanizm władzy, znali również system opisany przeze mnie: zakaz równał się niechęci rozprawienia się ze zbrodniami metodami. Tak więc powieść się nie ukazała. Ludzie hołdujący zasadzie, iż skoro czegoś nie opisano, to „coś” nie istnieje, odnieśli zwycięstwo. Zwolennicy magicznego myślenia, brali sku-

tek za przyczynę, utrwalając w ten sposób niedowład intelektualny, ideowy i moralny. Zabito ponownie opinię publiczną.



Dzięki drukarzom powieść krążyła w licznych odbitkach, docierając do różnych kręgów czytelniczych: czytali ją legalnie członkowie Biura Politycznego, członkowie KC, ministrowie, profesoria uniwersytetów: mniej legalnie czytali książkę studenci i działacze społeczni. Generał, którego nie znałem wówczas osobiście, przesłał mi egzemplarz powieści oprawiony przez nieznanego mi introligatora. Generał był ofiarą praktyk stalinowskich.

Do przekładu na język francuski przystępował znakomity tłumacz, pisano o książce w Anglii, mówiono o niej w radio w NRF, wydawcy monachijskiemu (K. Desch) odpisywałem przez szereg lat wykrętnie, tłumacząc, że dopóki książka nie ukaże się w Polsce, tak długo nie mogę wyrazić zgody na przekład. Reżyserom w Warszawie dwukrotnie „odradzano” dokonania przeróbki scenicznej: naiwni, posłuszni wezwaniu, aby sięgnęli po temat współczesny, odnaleźli go w mojej powieści; ale dlatego, że dotykała współczesności nie mogła ujrzeć światła dnia! Studenci rosyjscy, studiujący polonistykę, zwracali się do mnie z prośbą o egzemplarz, ponieważ nie mogli nabyć książki w księgarniach Moskwy i Leningradu. Wiedzieli więc o jej istnieniu, lecz nie wiedzieli, że została zakazana. Na zebraniach Związku Literatów Polskich w Warszawie przytaczano ten casus jako dowód braku wolności. Bezskutecznie.



Mija 11 lat od napisania książki, przez cały ten czas nie uczyniłem nic, aby ją wydano, nie wysyłałem jej również zagranicę. Nie uczyniłem nic ponieważ żądano by ode mnie, abym rzecz „poprawił”, a żądaniu takiemu odmówiłbym. „Poprawiać” znaczyłoby tyle, co przyjąć stalinowski punkt widzenia, a to mi nie odpowiadało.

Mówiono mi, że książka może się ukazać, wcześniej trzeba jednak zmienić uchwałę, zakazującą jej wydania, ale uchwałę mogą zmienić tylko ci ludzie, którzy ją podjęli... Tych ludzi nie było już w sekretariacie KC PZPR. Niektórzy z nich byli na tyle uczciwi, że odeszli sami, wycofali się z życia politycznego, ponieważ przekonali się, że nie o to walczyli, co aktualnie się działo w Polsce.



Opuściłem Polskę w końcu stycznia 1968 roku, legalnie, za prawomocnym „paszportem”, mimo to szukano tej książki wśród wielu innych książek, wywożonych z Polski za zgodą i wiedzą władz. Policjanci znaleźli ją pośród innych i jak w każdym państwie prawnym posiadam protokół, gdzie napisano, że „egzemplarze 'Zatrzymanego do wyjaśnienia' zatrzymano do wyjaśnienia

nia". Tak więc formuła policyjna użyta przeze mnie jako tytuł literackiego utworu, wróciła, by spełniać policyjną funkcję. Jeszcze na granicy w Zebrzydowicach rozebrano mnie i całą moją rodzinę do naga w poszukiwaniu egzemplarza zakazanej książki. Grabież została dokonana, pozbawiono mnie mojej własności, zacząłem zabiegać o uzyskanie egzemplarza, który po wielu perypetiach dotarł do moich rąk.

Stanisław WYGODZKI

Tel-Aviv, listopad 1968.

Raporty amb. Lipskiego

WYBUCH DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ W OŚWIETLENIU AMBASADY POLSKIEJ W BERLINIE

Zgodzą się zapewne wszyscy, że ważnym obowiązkiem każdego pokolenia jest przede wszystkim jak najbardziej skrupulatnie i umiejętnie gromadzenie trwałych śladów swej własnej epoki. Jak wszystko w życiu, tak i wszelkie jego ślady mają naturalną tendencję do zniszczenia, do zaguby, do zatarcia. Można i należy je ratować i utrzymywać, póki czas. Mają także wielką wartość dla późniejszych, bardziej „obiektywnych” historyków, współczesne opracowania nawet świeżych bardzo wydarzeń, chociażby nawet nie pretendowały do miana prac historycznych.

Do typu wydawnictw źródłowych należy świeżo wydana w Nowym Jorku książka w opracowaniu prof. Wacława Jędrzejewicza, dająca obraz stosunków polsko-niemieckich w świetle archiwum, dokumentów i urywków wspomnień Józefa Lipskiego, pierwszego i ostatniego ambasadora Rzeczypospolitej w Berlinie¹.

Ma ona swój własny, odrębny charakter: nie są to, ściśle mówiąc, wspomnienia dyplomaty, który zajmował ważne stanowisko w czasach wyjątkowo krytycznych, jakkolwiek jest w niej dużo elementu pamiętnikarskiego. Nie jest to tylko zbiór dokumentów dyplomatycznych, pomimo, że stanowią one główną jej treść i zajmują w niej najwięcej miejsca. Redaktor wydawnictwa nadał mu swoistą formę i charakter, łącząc umiejętnie i bardzo szczęśliwie liczne artykuły Józefa Lipskiego w pismach polskich, dotyczące fragmentów jego pracy dyplomatycznej z obfitą kanwą niczym nie zastąpionych oryginalnych jego raportów dla War-

1. DIPLOMAT IN BERLIN, 1933-1939. Papers and Memoirs of Józef Lipski, Ambassador of Poland. Wacław Jędrzejewicz, Editor. Columbia University Press. New York and London, 1968. Str. XXXVI i 679. Cena \$ 17,50.

szawy, otrzymywanych stamtąd instrukcji, jakoteż korespondencji z innymi placówkami dyplomatycznymi Polski.

Książkę zaczyna tłumaczenie artykułu o przymierzu polsko-francuskim (1929)², potem mamy artykuł o wczesnych planach niemieckich anektowania Pomorza³ (1930). Znajdujemy także rozprawkę o Westerplatte⁴, artykuł o pakcie czterech i rewizjonizmie⁵ (marzec 1933). Przytaczam je przykładowo celem zilustrowania metody układu wydawnictwa. Jest ich jeszcze więcej w różnych miejscach książki, a łącznie z licznymi uwagami i wyjaśnieniami Lipskiego, jakie się zachowały w jego archiwum, składają się one same przez się na pokaźną całość 214 stron.

Ponadto redaktor książki wszędzie, gdzie zachodzi tego merytoryczna potrzeba, daje swoje wstępne wyjaśnienia, przeważnie natury historyczno-faktycznej, ułatwiające zrozumienie właściwego znaczenia ogłoszonych dokumentów. Jest to praca wykonana umiejętnie, trafnie, z wielką uwagą i starannością.

Książkę poprzedza szkic biograficzny pióra Aleksandra Janty, dający zwięzły, lecz dokładny obraz życia i pracy Józefa Lipskiego.

Przed objęciem placówki w Berlinie był Lipski od r. 1926 dyrektorem departamentu zachodniego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i na tym stanowisku miał możność gruntownego poznania całokształtu spraw i stosunków międzynarodowych, a w szczególności tak w owych czasach ważnych a trudnych stosunków polsko-niemieckich. Już po kilku latach urzędowania zyskał w sferach poinformowanych — zarówno po stronie polskiej, jak i po niemieckiej — opinię poważnego znawcy tych zagadnień. Pamiętam, jak w roku 1930 lub 1931 odwiedził Warszawę dziennikarz niemiecki o poglądach liberalnych, zwolennik pojednania z Polską, który mi mówił: „macie przecież człowieka, który się wybitnie nadaje do reprezentowania Polski w Berlinie: zna świetnie Niemcy, jest zrównoważony, spokojny, wybitnie zdolny — powinien zostać posłem w Berlinie”. Nie znałem wtedy Lipskiego osobiście, byłem nieco zaskoczony tym oświadczeniem gościa, ale natychmiastowe sprawdzenie tej opinii, przekonało mnie, że miał słuszość. Chodziło wówczas jedynie o kwalifikację na to trudne stanowisko w całkowitym oderwaniu od kierunku naszej wobec Niemiec polityki.

Dokumenty, jakie książka zawiera, obejmują okres nieco dłuższy aniżeli urzędowanie Lipskiego w Berlinie. Znajdujemy w niej niezmiernie interesującą korespondencję urzędową Lipskiego jako dyrektora departamentu zachodniego, i ministra Becka z Alfredem Wysockim, ówczesnym posłem polskim w Berlinie. W piśmie z 23 lutego 1933 r. Lipski przesyłał Wysockiemu „krótki zarys pewnych zagadnień w zakresie stosunków polsko-niemieckich”, zaznaczając, że Ministerstwo nie ma jeszcze gotowych „ podsta-

2. „Bellona” (Londyn, 1967).

3. „Sprawy Międzynarodowe” (Londyn, 1947).

4. „Bellona” (Londyn, 1951).

5. „Bellona” (Londyn, 1951).

wowych instrukcji", jakie by mogło przesłać placówce w Berlinie. Zajmuje się w tym liście „rozwojem stosunków wewnętrznych w Reichu”, sprawą niemieckich pacyfistów, którzy zabiegali o pomoc polską, ratyfikacją układu likwidacyjnego i traktatu handlowego, załatwieniem skarg mniejszości niemieckiej w Polsce oraz ogólnymi wskazaniem co do naszej polityki wobec Rzeszy: powinniśmy okazywać naszą dobrą wolę, wprowadzać w życie zawarte układy, doprowadzać do nowych specjalnych układów i w ogóle kłaść nacisk na stosunki z takimi kołami w Niemczech, które dążą do pokojowego rozwoju międzynarodowego współistnienia. 20 maja tegoż roku poszły nowe instrukcje, oparte na decyzji Marszałka Piłsudskiego „by unikać wszystkiego co by mogło w przyszłości krępować swobodę naszego działania”, co oznaczało w szczególności zaniechanie nacisków na wprowadzenie w życie traktatu handlowego. Zaczęły się wówczas ataki na Polskę ze strony niemieckiej w formie dosyć lekceważącego traktowania Wysockiego, jako przedstawiciela „państwa sezonowego” oraz akcja prasowa na tle rzekomego prześladowania niemieckiej mniejszości, podburzania do wojny z Niemcami i przedstawiania Polski w najgorszym świetle. Z drugiej strony, już na jesieni 1931 roku ukazały się po stronie niemieckiej pewne symptomy dążenia do pojednania czy zbliżenia z Polską. Badania Wysockiego w kwestii poglądów na stosunki z Polską w łonie różnych niemieckich partii politycznych wykazały, jak Wysocki później pisał, że nie było pod tym względem różnicy pomiędzy Centrum katolickim, nacjonalistami czy junkrami: ludzie z Centrum twierdzili jedynie, że pragnęliby swoje cele osiągnąć środkami pokojowymi, gdy inni otwarcie mówili o wojnie.

Toteż pamiętamy dobrze sensację, jaką wywołały rozmowy Wysockiego z 2 maja 1933 roku, zapowiadające „odprężenie” — w stosunkach polsko-niemieckich. Dało ono początek pertraktacjom, rozpoczętym przez Wysockiego a doprowadzonym do końca przez Lipskiego, wynikiem których była polsko-niemiecka deklaracja o nieagresji z 26 stycznia 1934 roku. Był to niewątpliwie doniosły moment w stosunkach polsko-niemieckich, który dał okazję Hitlerowi do wielokrotnego podkreślania, że państwo polskie musi być traktowane jako oczywista rzeczywistość, że nie jest możliwe unicestwienie narodu polskiego i że Niemcy i Polska mogą i muszą żyć obok siebie, a zamiast dawnego wrogiego nastawienia przejść trzeba do przyjaznego współżycia. Oświadczał, że ta deklaracja nie tylko będzie korzystna dla Polski i Niemiec, ale że wywoła odprężenie w całej Europie. Konkretnie miała ona podzielać łągodząco na sprawę Gdańska i na wzajemne traktowanie mniejszości narodowych. Stwarzała istotnie pozory radykalnej zmiany na lepsze, wywołała wielkie zainteresowanie na zachodzie a nawet — zwłaszcza nieco później — podejrzenie, czy aby Polska nie „skumała się” z Niemcami.

Archiwum Lipskiego nie ujawnia sensacyjnych rewelacji. Przebieg wydarzeń, jakie śledzi czytelnik z napięciem, czytając ten tom, jest znany od dawna z wcześniejszych publikacji, zwłaszcza

z dokumentów niemieckich, ze wspomnień ambasadorów Coulondra, Hendersona, François-Poncet'a, Noëla, ministra Gafencu, gen. Gamelin i wielu prac historycznych, poświęconych owym czasom. Jest to jednakże wartościowe uzupełnienie materiałów poprzednio ogłoszonych: ilustracja trudnych i bezowocnych wysiłków Polski, by stosunki z Niemcami doprowadzić do stanu normalnego i by zapobiec zbrojnemu konfliktowi.

Misja Lipskiego, którą rozpoczął osiągnięciem owej deklaracji ze stycznia 1934 roku, miała w istocie za główny cel doprowadzenie do uzdrowienia tych stosunków. Dążenie do tego celu nie było łatwe, nie tylko z uwagi na awanturniczą, można powiedzieć z zasady zaczepną, politykę Hitlera, ale także wskutek postawy państw zachodnich, które, na przykład, oponowały przeciwko polskiej akcji na Westerplatte w r. 1933, będącej jedynie próbą przeciwstawienia się coraz jawniejszej agresywności Niemiec. Genezę tej deklaracji wyjaśniają bliżej artykuły Piotra Wandycza: „Trzy dokumenty: przyczynek do zagadnienia wojny prewencyjnej” (*Zeszyty Historyczne*, Zeszyt 3) oraz Wacława Jędrzejewicza „Sprawa wojny prewencyjnej z Niemcami” (*tamże*, Zeszyt 10). Pomimo, że ta deklaracja nie cieszyła się poparciem ze strony opinii publicznej w Niemczech, pomimo, że — jak Hitler powiedział Lipskiemu w marcu 1935 r. — „psychologicznie nie było możliwe tak wyraźne skreślenie terytorialnych rewindykacji, jak w przypadku Alzacji i Lotaryngii” — przez pewien czas rząd hitlerowski w swych oficjalnych oświadczeniach przestrzegał też deklaracji i w działaniach swoich unikał jaskrawych z nią sprzeczności. Taka postawa była związana z polityką wobec Rosji Sowieckiej a także — z pewnością — z przekonaniem Hitlera „że wszystkie państwa powinny działać solidarnie we wspólnym wysiłku pokonania niebezpieczeństwa komunistycznego”. Z tego punktu widzenia wszelkie tarcia pomiędzy państwami europejskimi stają się nieważne. Była to wyraźna aluzja, że Polska winna iść z Niemcami przeciwko Rosji, a dodawał wówczas, że Polska „może zachować swe stanowisko na wschodzie przez jakie dziesięć-piętnaście lat” — ale solidarność z Niemcami (czego wyraźnie nie dopowiadał, ale co było jasne z jego słów) mogłaby ją uratować (rozmowa Lipskiego z Hitlerem 13 kwietnia 1935 r., str. 185).

W miarę upływu czasu, im bardziej stawało się jasne, że Polska nie pójdzie na żadną akcję z Niemcami przeciwko Rosji, a Zachód wykazywał coraz większą miękkość i ustępliwość — Hitler, czując się z tej strony bezpieczny, stawał się wyraźniej zaczepny tym bardziej że jego siła wojskowa wzrastała. Ostatnim chyba objawem pokojowego nastawienia Niemiec w stosunkach z Polską była oficjalna współżaloba po śmierci Piłsudskiego i udział wielkiej delegacji hitlerowskiej z Goeringiem na czele w krakowskich uroczystościach pogrzebowych. Jednocześnie Lipski zapewniał, że polityka Polski wobec Niemiec nie ulegnie zmianie, jako że „Marszałek jasno określił cele administracji wewnętrznej,

organizację sił zbrojnych i politykę zagraniczną". „Przez szereg lat zaprawiał swych współpracowników do niezależnej pracy w myśl jego instrukcji”.

Pomimo takich zapewnień Lipskiego Hitler już wtedy wspominał jako o możliwości „za jakie piętnaście lat” — o budowie specjalnej kolei i autostrady poprzez Pomorze „dla celów komunikacyjnych”. Ale jednocześnie zapewniał jeszcze, że póki on żyje polityka „deklaracji” nie ulegnie zmianie.

18 kwietnia 1933 r., Piłsudski podyktował majorowi Lepeckiemu projekt dekretu, powołującego — w razie wojny z Niemcami — „Rząd Obrony i Jedności Narodowej” i wprowadzającego „nowe organy władz wojskowych i cywilnych”. Projekt takiego dekretu na przypadek już wtedy przewidywanej wojny, powinien być być uważany za ważny składnik „testamentu” Piłsudskiego. Gdyby zatem istotnie — jak Lipski zapewniał Hitlera w rozmowie z 22 maja 1935 r. „nauki Marszałka stanowiły reguły obowiązujące nas wszystkich”, to zapewne już w r. 1938 a z pewnością w r. 1939, kiedy zbliżanie się wojny było całkowicie jasne dla Becka, Śmigłego-Rydza i Prezydenta Mościckiego, powstałby Rząd Jedności Narodowej, czego się wówczas domagano.

Raporty Lipskiego dają obraz stopniowego, ale stałego i wyraźnego pogarszania się stosunków polsko-niemieckich a już 24 października 1938 r. Ribbentrop zgłosił wobec Lipskiego „propozycje”, mające na celu całkowite usunięcie przyczyn możliwych z Polską sporów: połączenie Gdańska z Rzeszą, budowa eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej poprzez Pomorze, w zamian za możliwe przedłużenie deklaracji z 1934 r. o dalsze dwadzieścia pięć lat i gwarancję granic polsko-niemieckich. Możliwą łączną akcją obu państw widział Ribbentrop w sprawach kolonialnych, w emigracji Żydów z Polski oraz we wspólnej polityce wobec Rosji na zasadach paktu antykominternowskiego. Lipski zareagował od razu stwierdzeniem, że nie widzi możliwości porozumienia na zasadzie powrotu Gdańska do Rzeszy. Ribbentrop jeszcze wtedy — a było to już po hitlerowskim „załatwieniu” Czechosłowacji — zapewniał, że Niemcy będą usiłowały rozpocząć fazę pokojowego rozwoju sytuacji i powoływał się na znane oświadczenie Hitlera, że nie ma już dalszych żądań terytorialnych. Zapewniał (19 listopada 1938) jakoby podstawową zasadą polityki Rzeszy było utrzymanie jak najlepszych stosunków z Polską, a jednocześnie dopytywał się o stanowisko Polski w sprawie autostrady i twierdził, że Rzesza jest mocno zainteresowana, by Polska tworzyła „jak najsilniejszą barierę przeciwko bolszewizmowi”.

W swej mowie z 30 stycznia 1939 roku w Reichstagu Hitler wspominał, że Niemcy mają spokojne granice na północy, na zachodzie i południu, nie mówiąc nic o granicy wschodniej, ale wyraźnie oświadczył, że *wierzy w trwałą pokój*. Lipski tłumaczył to rzekomym przekonaniem Hitlera, że uda mu się osiągnąć swe cele w zakresie polityki zagranicznej środkami pokojowymi, bez potrzeby uciekania się do akcji zbrojnej. W istocie była to takty-

ka słowna, rodzaj dosyć przejrzystej zasłony dymnej, obliczonej na czasowe uspokojenie czy zwodzenie Zachodu. Jeszcze 2 marca 1939 r. i Hitler i Goering — w obliczu coraz jawniejszych prowokacji ze strony Gdańska — zapewniali Lipskiego, że ich polityka wobec Polski nie ulega i nie ulegnie zmianie i że w szczególności — póki oni prowadzą politykę niemiecką — nie będzie konfliktu na tle Gdańska. Nie umieli wszakże, a raczej nie chcieli, uśmierzyć ani antypolskich rozruchów studenckich w Gdańsku, ani antypolskich posunięć Senatu.

20 marca 1939 r. Lipski widział jasno, że jego misja pojednawcza, rozwijana od chwili podpisania polsko-niemieckiej deklaracji, nie tylko nie daje żadnych rezultatów, lecz najoczywściej stała się bezcelową — i złożył swą dymisję. Nie została przyjęta wtedy, i odrzucona raz jeszcze, później. Musiał wypić kielich gorczy do końca. 8 sierpnia 1939 w rozmowie z Beckiem a następnie ze Smigłym-Rydzem stwierdził, że niemieckie zbrojenia i przygotowania do wojny idą w całej pełni, że Polska winna być przygotowana na wszelką ewentualność i że w tej chwili nie można „dokładnie się orientować w ścisłych planach niemieckich”. Lipski uważał jednak, że „z punktu widzenia niemieckiego” Niemcy — po pokonaniu Polski — zwrócą się przeciwko Rosji, będąc jeszcze w wojnie na Zachodzie.

Takie oświadczenie Lipskiego z daty 8 sierpnia 1939 r. było niewątpliwie dowodem jego głębokiego spojrzenia na rzeczywistość międzynarodową i jasnego widzenia otwierającej się wówczas przyszłości.

Przyszły następnie ostatnie tygodnie przed wybuchem wojny, targające nerwy rozmowy z ambasadorami W. Brytanii i Francji. Szczególnie wymowna jest notatka pierwszego sekretarza ambasady w Berlinie, Henryka Malhomme'a o jego rozmowie z Sir Neville Hendersonem w dniu 31 sierpnia 1939. Zastał go znacznie postarzałego, zmienionego, powtarzającego kilkakrotnie: „*je n'aime pas la guerre*”. Był złamany wypadkami. Powiedział mu: *w razie wojny Polska niewątpliwie będzie zniszczona i straci niepodległość; W. Brytania i Francja nie będą zdolne przez czas długi przyjąć jej z pomocą. Prawdopodobnie po długich latach wojnę wygra W. Brytania a Polska odzyska swą niepodległość, ale poniesione straty będą nie do naprawienia.*

Pisząc w r. 1947 w londyńskich *Sprawach Międzynarodowych o Stosunkach polsko-niemieckich w świetle aktów norymberskich*, Lipski przypomniał wynurzenia Hitlera wobec Ciano podczas ich konferencji w Obersalzburg 12 sierpnia 1939 r. Mówiąc o słabości i niedostatecznym wyposażeniu armii polskiej i przewidując jej szybkie pokonanie zauważył, że Francja i W. Brytania nie mogą już przysłać Polsce potrzebnego zaopatrzenia. „Gdyby wszakże Polska była otrzymywała z Zachodu pomoc gospodarczą przez czas dostatecznie długi, mogła była się uzbroić a przewaga niemiecka byłaby przez to zmniejszona”. To przyznanie Hitlera jest dowodem, jak krótkowzroczną była polityka Zachodu.

Stalin chętnie porozumiał się z Hitlerem, by wybuch wojny przyspieszyć i zrobić na tym pakcie trwały interes.

Nie jest rolą ambasadora robienie polityki swego kraju. Także i Lipski nie mógł być i nie był twórcą polityki zagranicznej Polski, ani nawet jej postawy wobec Niemiec. Był — jak przystało na lojalnego przedstawiciela Rzeczypospolitej — doskonałym, starannym, dokładnym, myślącym wykonawcą zasadniczych decyzji, jakie zapadały w Warszawie — początkowo według wskazań Piłsudskiego a po jego zgonie po linii, jaką im nadawały narady Becka, który zdawał się dominować, Śmigłego-Rydza i Prezydenta Mościckiego — w tej właśnie kolejności ich osobistego wpływu i możliwości wpływu. Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że sprawozdania Lipskiego, jego ocena sytuacji w Niemczech i położenia międzynarodowego, jego poglądy ważyły wiele. Pracowity i uważny, spokojny ale twardy, cierpliwy i wytrwały, taktowny, ale trzymający się wytkniętej linii, wytworzył sobie taką pozycję, że nie można było się zgodzić na jego odejście z placówki przed końcem przedwojennego dramatu. Do ostatniej chwili zachował się z godnością a gdy skończyła się misja dyplomatyczna znalazł się w wojsku, w normalnej szkole podchorążych, we francuskim Coëtquidan: obowiązek obywatelski spełniał dalej, w innej formie i dziedzinie.

Zostawił po sobie — w postaci swego „archiwum” — świadectwo poważnego dorobku dyplomatycznego, wielkiego osobistego wysiłku; ilustrację codziennej pracy prawdziwego dyplomaty który, będąc lojalnym urzędnikiem, nie zatracił swej osobowości, umiał nawet czasami odmówić wykonania instrukcji ministra.

Profesor Jędrzejewicz, redagując i oddając tę książkę do publikacji, zaopatrując ją w doskonałe adnotacje, odsyłacze, bibliografię i indeks, przysłużył się wybitnie polskiej literaturze historycznej o drogach, jakie prowadziły i doprowadziły do wybuchu drugiej wojny światowej.

Zygmunt NAGÓRSKI, sr.

DATA	POLITYKA
15-10-68	
16-10-68	Premierzy Kosygin i Czernik podpisali w Pradze układ o stacjonowaniu wojsk sowieckich w Czechosłowacji na czas nieokreślony. Nie ujawniono ilości tych wojsk.
17-10-68	W Waszyngtonie przyznaje się nieoficjalnie, że Stany Zjednoczone współpracują z Sowietami w dążeniu do przywrócenia pokoju w Wietnamie.
18-10-68	W czasie dyskusji nad ratyfikacją traktatu o stacjonowaniu wojsk sowieckich w Czechosłowacji w parlamencie czechosłowackim doszło do burzliwej wymiany zdań. Premier Czernik przyznał, że we współczesnym świecie suwerenność nie może być w pełni zrealizowana. VIII Zjazd Lotników Polskich w W. Brytanii uchwalił rezolucję potępiającą agresję Czechosłowacji i wyrażającą solidarność z narodami czeskim i słowackim.
19-10-68	W Brukseli odbył się IV Światowy Kongres Polskiego Stronnictwa Ludowego, który zjednoczył polski ruch ludowy na emigracji. Prezesem Kom. Wyk. został Franciszek Wilk, red. <i>Jutra Polski</i>, dotych. Prezes Rady Nacz. PSL; Sekr. gen. został J. Rzemieniecki a Prezesem Rady Nacz. Cz. Bańczyk. Przywódcy rumuńscy dali do zrozumienia, że gotowi są wznowić traktat przyjaźni z Sowietami, który wygasł w początkach rb. Przed samą inwazją Rumunia podpisała taki traktat z Czechosłowacją.
20-10-68	Przemawiając na masowym wiecu w pobliżu granicy bułgarskiej prez. Tito odrzucił sowiecką koncepcję „uwarunkowanej suwerenności”. Tito spotkał się następnie z amerykańskim podsekretarzem Stanu Katzenbach'em.
21-10-68	W 2 miesiące po inwazji wojska Paktu Warszawskiego zaczynają wycofywać się z Czechosłowacji.

KULTURA I NAUKA

Trzej uczeni amerykańscy: Nirenberg, Khorana i Holley otrzymali nagrodę nobla w dziale medycyny za odkrycia genetyczne.

69-letni pisarz japoński Yasunari Kawabata otrzymał nagrodę literacką Nobla za całokształt twórczości.

Z powodu 80-tej rocznicy urodzin prof. Edwarda Lipińskiego odbyło się uroczyste spotkanie w lokalu Polskiego T-wa Ekonomicznego w Warszawie.

Sekretarz Zw. Pisarzy Węgierskich, Imre Dobozy, przemawiając na międzynarodowym Sympozjum Literackim w Belgradzie oświadczył, że komuniści czechosłowaccy winni rozprawić się z dogmatykami i zapewnić pisarzom swobodę twórczą.

RÓŻNE

Krzysztof Topolski, skazany w Warszawie na 18 miesięcy więzienia za „organizowanie niepokojów studenckich”. Podobny proces J. Szczęsnego odbył się w Łodzi.

Rada miejska m. Belo Horizonte, stolicy Minas Gereis (Brazylia) przyznała honorowe obywatelstwo miasta Józefowi Erlichowi za zasługi na polu społecznym.

Po inwazji Czechosłowacji 14 generałów PRL otrzymało wysokie odznaczenia sowieckie. Spychalski i Jaruzelski otrzymali Order Lenina.

DATA	POLITYKA
22-10-68	
23-10-68	
24-10-68	Ulbricht wznowił ataki na Czechosłowację. Jego zdaniem robotnicy czechosłowaccy powinni obalić Dubczeka.
25-10-68	
26-10-68	Przemawiając na Zjeździe Komsomołu Breżniew przestrzegł młodzież sowiecką przed uleganiem ideologicznym wpływom Zachodu.
27-10-68	Parlament czechosłowacki zatwierdził projekt ustawy przekształcającej republikę w Federację Czechów i Słowaków.
28-10-68	Z okazji 50-lecia Czechosłowacji w Pradze odbyły się masowe demonstracje antysowieckie. 400 profesorów i studentów filozofii Uniw. Praskiego uchwaliło rezolucję potępiającą układ o stacjonowaniu wojsk sowieckich w Czechosłowacji. Sąd w Berlinie wschodnim, skazał za manifestacje pro-czeskie Thomasa Brascha (syn wiceministra Kultury) i Rositę Hunsiger na dwa lata i trzy miesiące więzienia; Erikę Berthold (córka dyr. Inst. Soc. Marks. przy KC) na 10 miesięcy z zawieszeniem; Sandrę Weigiel na 2 lata z zawieszeniem. Nieznany jest wyrok na synów prof. Hakemanna: Franka i Floriana. Trzech emigrantów kroackich zostało zamordowanych w Monachium. Policja niemiecka przypuszcza, że powody morderstwa są polityczne.

KULTURA I NAUKA

Trzej astronauta amerykańscy powrócili na ziemię po 11-dniowej podróży w rakiecie „Apollo”. Zdaniem ekspertów ich lot jest pierwszym etapem podróży na księżyc.

39 członków Zarządu Zw. Pisarzy Sow. wystosowało list do pisarzy czechosłowackich, usprawiedliwiający inwazję. Listu nie podpisali 3 członkowie Zarządu: Twardowski, Simonow i Leonow.

Znany pisarz Francuski Paul Morand został członkiem Akademii Francuskiej. Morand ma 80 lat.

Katolicki Uniw. w Lublinie obchodził 50-lecie istnienia. Papież Paweł VI nadał depezę gratulacyjną.

A. Twardowski, red. mies. *Nowyj Mir*, wystosował list do sekretarza Zw. Pisarzy Sow. Fiedina w obronie Sołżenicyna, domagając się opublikowania jego najnowszych powieści „Oddział rakowatych” i „Pierwszy Krąg”.

Polski Teatr Dramatyczny w Chicago wystawił „Dziady” Mickiewicza w reżyserii p. Zbierzowskiej-Frydrych.

Teatr ZASP-Ognisko w Londynie wystawił „Derby w pałacu”, komedię współczesną Jarosława Abramowa.

W Carnegie Endowment w N. Jorku odbyło się uroczyste posiedzenie ACEN’u, poświęcone 50-leciu odzyskania niepodległości przez Polskę i powstania państwa czechosłowackiego.

RÓŻNE

W Pekinie ogłoszono, że prez. Chin komunistycznych Liu Shao-chi usunięto z partii. Zmiana na stanowisku prezydenta wymagała zwołania Kongresu Narodowego, który ostatni raz obradował w styczniu 1966 r.

Zmarła w Londynie w wieku lat 63 Irena Komorowska, żona gen. Bora-Komorowskiego.

Zmarł w Warszawie w wieku lat 69 pisarz i poeta Anatol Stern.

1600 Czechów i Słowaków wyjeżdża każdego dnia ze swego kraju.

Zmarł w Paryżu Jean Schlumberger jeden z założycieli i animatorów *Nouvelle Revue Française*.

Zmarł w Warszawie ks. bp Władysław Suszyński, adm. apostolski w Białymstoku.

Zmarł w Poznaniu, w wieku lat 81, prof. Kazimierz Tymieniecki, wybitny historyk, znawca Średniowiecza.

Dwa przedsiębiorstwa handlowe na Węgrzech utworzyły pierwszą po wojnie spółkę akcyjną. Przewiduje się utworzenie dalszych spółek tego typu.

Zmarł w Poznaniu, w wieku lat 80, wybitny dyrygent Zygmunt Wojciechowski.

DATA	POLITYKA
29-10-68	Kancelarz Kiesinger i min. Spraw Zagranicznych Brandt obejmują osobisty nadzór nad śledztwem w sprawie ostatnich afer szpiegowskich, które urosły do rozmiarów międzynarodowego skandalu.
30-10-68	Premier Izraela Eszkol i min. Obrony Dayan ostrzegają Egipt przed sprowokowaniem wojny, w której Izrael zada Egiptowi cios ostateczny.
31-10-68	Według wiadomości nadchodzących z kraju członek Politbiura B. Jaszczuk obejmuje z polecenia Gomułki nadzór nad sprawami gospodarczymi. Jaszczuk krytykował niejednokrotnie „rewizjonizm gospodarczy”.
1-11-68	Prezydent Johnson podjął decyzję bezwarunkowego wstrzymania bombardowań Północnego Wietnamu. Sekretarz Stanu Rusk wyraził nadzieję, że otworzy to drogę do konstruktywnych rokowań pokojowych.
2-11-68	
3-11-68	W stolicy Jordanii Ammanie doszło do gwałtownych walk ulicznych między wojskiem a grupami partyzantów palestyńskich. Zdaniem obserwatorów król Husain zamierza rozprawić się z partyzantami, którzy wymykają się spod jego kontroli.
4-11-68	Rząd Południowego Wietnamu odmówił wzięcia udziału w rozmowach paryskich, w których bierze również udział delegacja Wietkongu.
6-11-68	Ryszard Nixon, kandydat Partii Republikańskiej zwyciężył w wyborach prezydenckich w Ameryce niewielką większością głosów. Kardynał Wyszyński przybył do Rzymu.

KULTURA I NAUKA

Dr Andrzej Nowicki powołany został w skład Włoskiej Akademii Nauk za odkrycie dzieła Giordano Bruno w zbiorach wrocławskiej biblioteki.

Dwaj uczeni amerykańscy otrzymali nagrody Nobla: prof. Alvarez z zakresu fizyki i prof. Onsager z chemii.

Filozofowie jugosłowiańscy skupieni przy piśmie *Filosofija, Praxis i Sociologija* wysłali pismo do Polskiej Akademii Nauk, że nie wezmą udziału w Międzynar. Zjeździe redaktorów pism filozoficznych i socjologicznych w Warszawie na znak protestu wobec okupacji Czechosłowacji i represji wobec szeregu filozofów i socjologów polskich w ostatnim okresie.

W berlińskiej Deutsche Opera odbyła się światowa premiera baletu Andrzeja Panufnika pt. „Kain i Abel”.

W prasie włoskiej ukazały się prace o problemach Europy Wsch. prof. Jerzego Łukaszeńskiego z Bruges: *Civitas: „Il rafforzamento della CEE a di ostacolo al ravvicinamento con l'Europa del Est?”* i *Lo Spettatore Internazionale: „Europa Orientale: balcanizzazione o integrazione?”*

Ks. Prałat dr Józef Rozwadowski otrzymał sakrę biskupią i został ordynariuszem łódzkim.

RÓŻNE

Zmarł w Krakowie, w wieku lat 79, prof. Ludwik Ehrlich, wybitny uczony w dziedzinie prawa międzynarodowego i jego historii.

Na Olimpiadzie w Meksyku Polska zajęła 11 miejsce zdobywając 5 złotych, 2 srebrne i 11 brązowych medali.

Mówi się o rosnącym kryzysie grupy katolickiej „Znak”, w której narasta tendencja do współpracy z grupą Moczara. Za jego zwolenników uchodzą podobno: Janusz Zabłocki z *Więzi* i T. Myślik z *Tygodnika Powszechnego*.

Północne Włochy nawiedziła znów klęska powodzi. Kilkaset osób straciło życie a wiele tysięcy dach nad głową.

Zmarł w St. Zjednoczonych, w wieku lat 77, wybitny francuski dyrygent Charles Munch.

DATA	POLITYKA
7-11-68	W Warszawie ogłoszono, że w ciągu ostatnich 4 lat z PZPR usunięto ponad 230 tys. członków, to jest jedną ósmą ogólnego stanu liczbowego Partii.
8-11-68	Sowiecka <i>Prawda</i> podała, że potęgą militarną Związku Sowieckiego jest gwarancją, że Czechosłowacja pozostanie państwem komunistycznym.
9-11-68	Plenum KC PZPR w Warszawie usunęło jednogłośnie z Komitetu Centralnego Adama Schaffa i Stefana Żółkiewskiego za ich „postawę w czasie wydarzeń marcowych”.
10-11-68	
11-11-68	W Warszawie rozpoczął się V Zjazd PZPR. W inauguracyjnym wielogodzinnym przemówieniu Gomułka zaatakował rewizjonistów. Mimo ogromnej reklamy i propagandy Zjazd jest dowodem bankructwa Partii, która szuka wyjścia w zaostrzaniu kursu, bezwzględnej lojalności w stosunku do obecnego kierownictwa Partii, i w nacjonal-socjalizmie. Zjazd nie wywołał żadnego oddźwięku w społeczeństwie, które żyje w atmosferze apatii i strachu przypominającej lata okupacji niemieckiej. W Pradze doszło do bójki ulicznej gdy grupa komunistów i działaczy czechosłowacko-sowieckiego T-wa Przyjaźni demonstrowała na rzecz Rosji. Demonstracji pro-sowieckiej przewodził były min. Spraw Zagranicznych Dawid.
14-11-68	Rozpoczęło się Plenum Czechosłowackiej Partii Komunistycznej, mające kluczowy charakter dla dalszego rozwoju wypadków w Czechosłowacji.

KULTURA I NAUKA

Niemiecka Agencja Katolicka KNA informuje, że ks. bp Wł. Rubin w najbliższym czasie przestanie pełnić obowiązki delegata kardynała Wyszyńskiego do spraw emigracji, ze względu na ważne i absorbujące funkcje w Watykanie.

Zmarł w Moskwie znany pisarz rosyjski Al. Kosterin. W okresie stalinowskim siedział 17 lat w łagrach. Został usunięty z partii i ze Zw. Pisarzy za obronę dyskryminowanych narodów Zw. Sow. i za potępienie zbrojnej okupacji Czechosłowacji.

W rocznicę 50-lecia Niepodległości odbyło się w Londynie uroczyste nabożeństwo w Kościele Polskim.

RÓŻNE

Nadeszły wiadomości o zwolnieniu z więzień 150 spośród 300 aresztowanych studentów Uniw. Wrocławskiego za udział w marcowych rozruchach. Żadnego ze zwolnionych nie przyjęto na studia.

Tzw. „Trybunał Russella” wydał oświadczenie oskarżające ZSSR o zbrodnie agresji Czechosłowacji.

Dwaj przywódcy marcowych demonstracji studenckich w Warszawie, J. Dojcze-
wand lat 24 i Sławomir Kretkowski zostali skazani na dwa i pół lata pierwszy i półtora roku drugi. Skazani w procesie niejawnym odmówili przyznania się do winy. Pozostali studenci oczekujący w więzieniu na procesy a którzy byli przesłuchiвани jako świadkowie zajęli identyczne stanowisko.

Listy do Redakcji

Lawrence, Kansas, październik 2968.

Szanowny Panie Redaktorze,

W zasadzie wystrzegam się pisania listów do redakcji, choćby mnie nie wiem jak świerzbiał język i palce. Jednak tym razem muszę koniecznie zrobić kilka uwag na marginesie dwóch wspomnień o profesorze W. Lednickim w nrze 8-9 *Kultury*. Ładne, utrzymane w dyskretnym tonie wspomnienie Marisona rzuca światło na zmarłego profesora usuwając równocześnie całkowicie w cień osobę autora tych wspomnień. To się wprawdzie autorowi chwali, ale jego zbytnia skromność zmusza mnie wprost do komentarza. B. Marison (Zaporowski) był najbliższym współpracownikiem Lednickiego przez kilka ostatnich lat jego życia i pozostał przy nim aż do dnia jego śmierci. W tej współpracy wiele było ze strony Marisona samozaparcia i poświęcenia, ponieważ Lednicki był przykrym szefem i ciężko z nim było współpracować. Fundusze jakimi dysponował były bardzo małe i każda inna praca byłaby Marisonowi przyniosła wyższą zapłatę. W ostatnim roku współpracy Lednicki jakby się nieco zmienił i ocenił wierność i oddanie swojego współpracownika. Naturalnie, ocenił po swojemu. Wszystko to kosztowało Marisona dużo nerwów i cierpliwości, a porządkowanie papierów po zmarłym, które mu powierzono, przerasta możliwości jednego człowieka.

O ile wspomnienie Marisona jest rzeczowe, choć nieco oczywiście upoetyzowane, o tyle W. A. Zbyszewski wydaje sądy o charakterze, zasługach i poglądach profesora Lednickiego. Nie wydają mi się wszędzie słuszne, zresztą trudno abym dokładnie tak samo oceniała Lednickiego jak Zbyszewski. Razi mnie użyte przez Zbyszewskiego w odniesieniu do zmarłego słowo staruszek. Staruszkim Lednicki nigdy nie był i gdyby żył sto lat nie byłby nim także. Był dziewiętnastowieczny, był staroświecki, był oryginałem, zwłaszcza na tle uniwersytetu w Berkeley, ale nie był staruszkim. Przeciwnie, był ruchliwy, żywy, reakcje jego były dziwaczne, ale nie zdzięczinniałe. W ciągu lat dziesięciu, w których go znałam, nie zmienił się ani na jotę pomimo udaru i choroby. Jeździł, podróżował, stał godzinami na *cocktail parties*, rozjeżdżał z odczytami po całej Ameryce, gościł u siebie i przyjmował zaproszenia, prowadził wóz (czego mu lekarze niby zakazali), czytał, pisał, plotkował... I gderał po swojemu, często bez podstaw, ale też nie bez pewnego wdzięku. Był stary, ale nie był staruszkim.

Trudno mi klócić się z twierdzeniem, że Lednicki nie miał w sobie nic rosyjskości, bo rosyjskość, polskość i inne „ości” to czysta metafizyka. W każdym razie otaczał się Rosjanami, pisarze rosyjscy byli mu bliscy, lubił mówić po rosyjsku i godzinami rozmawiał z uroczą sekretarką Wydziału Słowiańskiego, Rosjanką p. Shebeko. Oczywiście, przyznaję, że takie sympatie z tym co p. Zbyszewski określa jako rosyjskość nie mają, albo nie muszą mieć nic wspólnego, bo definicja teje rosyjskości opiera się wyłącznie na intuicji. Dalej: „miał odrobinę akcentu wileńskiego ale nie rosyjskiego”. Nie mnie wychowanej prawie od dziecka poza Krajem kwestionować ten wyrok. Garstka Polaków jednak, skupiająca się koło uniwersytetu w Berkeley, garstka pisarzy, uczonych, arystokratów była innego zdania. Jak orzekła pewna księżniczka polska: „Tak mówili Polacy w Rosji”.

Czy Lednicki był wielkim rusycystą? Był wybitnym rusycystą swojego pokolenia. Dzisiaj inaczej się pisze, inaczej się dokumentuje, nauka ma inne wymagania. Zbyszewski zarzuca mu, że był rozwlekły. To nieprawda. Był rozwlekły tam gdzie pisał o sobie, o swojej rodzinie, natomiast w pracach naukowych wcale nie był rozwlekły, przeciwnie to co chciał powiedzieć, wyrażał krótko i zwięźle. Przy tym o ile w tym co pisał o sobie styl jego był ciężki, o tyle w pracach naukowych, zwłaszcza dawniejszych, miał styl lekki, czytało się go z zainteresowaniem, utrzymywał czytelnika w napięciu. Interpretacje jego były, jak na owe czasy, oryginalne i śmiałe. Będąc w sprawach życia codziennego oryginałem, w literaturze odznaczał się rozsądkiem, będąc dziwakiem w sądach o znajomych, oceniał trzeźwo pisarzy. Zawsze mnie te dwie strony Lednickiego zdumiewały.

Jako człowiek Lednicki też był najbardziej chyba rozdwojoną osobą, jaką dotychczas spotkałam w życiu. Był przykry w bezpośrednim obejściu, zwłaszcza, jeśli się z nim musiało współpracować. Natomiast tam gdzie chodziło o nie bezpośrednie traktowanie kolegów czy studentów był bardzo sprawiedliwy, bez szemrania służył swoim nazwiskiem i autorytetem, pisał niezliczone podania i prośby w imieniu różnych, nieraz naciągających go petentów, byłych studentów i takich, którzy mu wmawiali, że są jego byłymi studentami. Tym samym ludziom, którzy go nachodzili i na których krzyczał w czterech ścianach swojego gabinetu, załatwiał równocześnie niemożliwe rzeczy, wstawiał się za nimi u najwyższych władz uniwersyteckich, latał, chodził, nudził, aż wreszcie udało mu się coś dla nich wykreślić. Przy tym nie była to tzw. protekcja, bo nie forytował wcale Rosjan, czy katolików, czy hrabiów — latał tak samo dla Żydów, Gruzinów, Irlandczyków. Był patriotą Polski Idealnej (wymysł jego, który bardzo mi przypadł do serca), ale nie miał w sobie nic z szowinisty. Ta strona jego charakteru nie została nigdzie nigdy podkreślona, bo ludzie niczego się bardziej nie obawiają niż długów wdzięczności.

Do napisania listu do Redakcji skłoniła mnie ostatecznie ambicja Zbyszewskiego, aby jego uwagi stały się dokumentem dla przyszłego historyka. Może więc ten sam przyszły historyk uwzględni też moje skromne trzy grosze. Przez lat siedem widywałam Lednickiego codziennie (nie licząc kilku jego pobyków w Europie) i codziennie z nim rozmawiałam.

Łączę wyrazy szacunku,

Jadwiga MAURER



Berkeley, 13 listopada 1968.

Do Redaktora *Kultury*,

Ogromnie mi przykro. Piszę w tym roku już drugi list do redakcji czasopisma. Pierwszy był do *New York Review of Books*, ze sprostowaniem, bo Allen Ginsberg podpisał mnie i Herberta pod manifestem „Poet Power”, układaniem którego bawili się poeci zebrani w Stony Brook pod New Yorkiem. Tym razem muszę sprzeciwić się Mieroszewskiemu. Zgłasza on do mnie i w ogóle do poetów niejasne pretensje, że niby publicyści się wypowiadają a poeci chcą być ani „za” ani „przeciw” tylko „nad”. A nawet wręcz powiada: „Dla Miłosza i pewnych poetów emigracyjnych młodego i średniego pokolenia — Gomułka i Moczar, choć nie reprezentują już rewolucji i socjalizmu — to przecież wydają się mniej reakcyjni niż emigracja i jej antykomunizm”. To jest zdanie, proszę mi wybaczyć, trafiające kulą w płuć.

Z Polski wyjechałam dawno. Mieszkam w Ameryce. Moje zainteresowania i problemy są określone przez świat w jakim żyję. Jeżeli piszę po polsku

to bynajmniej nie oznacza, że mam spędzać czas na bezustannej ekscytacji tym co przed godziną zdarzyło się wiele tysięcy mil od miejsca gdzie osiadłem. A poza tym gdzież to jest powiedziane, że ma się obowiązek deklarować publicznie co się myśli o aktualnych wypadkach? Przecież to byłoby zajęcie nie zostawiające ani jednej chwili na inną pracę, skoro się zważy, że okropności dziejące się na powierzchni planety wołają o codzienny protest. Mieroszewski myli się, sądząc, że jestem „nad”. Jestem po prostu w czymś innym.

Jeżeli Mieroszewski jest ciekaw mojej opinii o tym co się odbywa w Polsce, muszę mu powiedzieć, że niestety jest to opinia o wiele bardziej pesymistyczna niż jego. Zresztą odsyłam go do artykułu Pauliny Preiss „Propozycja syntezy” w *Kulturze*, który zwięźle i moim zdaniem jak najtrafniej ujmuje sytuację.

Zale Mieroszewskiego zdają się sprowadzać do tego, że poeci nie zagrzmią w trąby jak to zrobił Wierzyński pisząc „Czarny Polonez”. To znaczy, że nie docenia zasięgu zbiorowych stanów paranoicznych w jakie popadł ten zupełnie już skołowany naród. Wobec takich schorzeń utwory nawiązujące do tradycji romantyzmu ubiegłego stulecia są, by tak rzec sucho, nieadekwatne.

Skoro już piszę ten list, korzystam z okazji żeby wyrazić moją wdzięczność za piękny artykuł K. A. Jeleńskiego o mojej poezji, tudzież poskarżyć się na błędy drukarskie w cytatach. Nie będę nikogo nudzić ich katalogiem, nawet jeżeli „mrozami natchnień” ma jakiś sens, a „wrzosami natchnień”, żadnego. Najśmieszniejszy tylko błąd przytoczę: „picie do lustra bez urody” zmieniło się w „picie do lustra bez wody” czyli słuszną karą mnie spotkała, bo rzeczywiście wody dodanej do alkoholu nie lubię. Chociaż, bez wody *czy* bez urody, nie należy tego co mówi „podmiot liryczny” brać dosłownie.

Czesław MIŁOSZ

Jego Ekszelencja
Prymas Polski
Kardynał Wyszyński.

Berlin, 15 listopada 1968.

Wasza Ekszelencjo

Apeluję do Was w imieniu polskich studentów, tych którzy od marca br. przebywają w więzieniach, tych którzy obecnie są potajemnie sądzeni, skazywani na kilkuletnie więzienie i tych, których podobny los czeka w niedalekiej przyszłości.

Ostatnio odbyło się w Warszawie kilka procesów, które niestety nie różnią się od procesów moskiewskich z 1936 r. W październiku br. 21-letni Krzysztof Topolski został skazany na półtora roku więzienia oraz utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na dwa lata „za znieważenie narodu polskiego” — jak podano w prasie polskiej. Proces odbywał się przy drzwiach zamkniętych. Prokurator powołał kilku agentów MSW jako świadków, którzy zeznali, iż Topolski w wypowiedziach publicznych w marcu br. poniżał naród polski. Sędziowie nie mieli żadnych skrupułów akceptując zeznania podstawowych świadków jako dowód rzeczowy w sprawie Topolskiego. To stanowisko sędziów jest dalszym dowodem, iż w Polsce brak niepodległości sądów, a te które działają, przypominają stalinowski system sprawiedliwości.

Podobne procesy wytoczono Józefowi Dajczgiewandowi i Sławomirowi Kretowskiemu. Pierwszy został skazany na 2 i pół lat więzienia, drugi na półtora roku więzienia. Prasa daje do zrozumienia, iż ci studenci są Żydami, syjonista-

mi, a tym samym nie są dobrymi patriotami i Polakami. Tacy dziennikarze jak np. Ryszard Gontarz (*Walka Młodych* 20. X. 1968 r.) nie tylko gwałcą etykę dziennikarską, ale przedstawiają się w gorszym świetle aniżeli propagandyści Goebelsa.

Apeluję do Waszej Ekscelencji, gdyż nikt inny nie jest w stanie pomóc polskiemu narodowi, znajdującemu się w tragicznej sytuacji, narodowi rządzonemu przez przywódców o semi-faszystowskiej ideologii. W tym czasie politycznego, ekonomicznego i społecznego kryzysu, naród polski, jak to miało często miejsce w przeszłości, oczekuje na Waszą pomoc. Mam dla Was Ekscelencjo, podobnie jak miliony Waszych kompatriotów wielki szacunek. Podczas mojego pobytu w Polsce wiele razy wysłuchiwałem Waszych kazań. Byłem obecny na Waszym nabożeństwie w kościele św. Jana w czerwcu 1966 r., gdy tysiące wiernych zgromadziło się wokół kościoła, aby słuchać Waszych słów Ekscelencjo. Partia i rząd robiły wszystko, aby temu przeszkodzić, ale siła Waszych słów i oddanie Polaków zwyciężyły.

Znam dobrze wielu spośród studentów, przebywających obecnie w więzieniu i oczekiwujących na areszcie przesłuchiwań kpt. Bartczaka i jego lokai, na polecenie Mocзара. I szczerze muszę powiedzieć, że są oni najlepszymi synami i córkami narodu polskiego, kochającymi swoją ojczyznę i gotowymi poświęcić swoje życie słusznej sprawie. Ich jedynym przestępstwem jest to, że oskarżyli partię i rząd o niepraworządność i pogwałcenie praw konstytucyjnych, oraz o niszczenie polskiej kultury. Politycy i kierowana przez nich prasa pragną zdyskredytować ich w oczach narodu, zbrukać ich dobre imię. Nikt inny oprócz Was, Wasza Ekscelencjo, nie może powiedzieć prawdy narodowi polskiemu i nikt nie zwróci się do nikogo innego jak tylko do Was po informację, radę, a przede wszystkim po prawdę. Dlatego też proszę Was o pomoc. Największą pomocą dla tych studentów może być Wasza modlitwa. Cóż może być bardziej pomocnego na tym świecie jak nie duchowe orędzie mędrca. W święto Bożego Narodzenia, gdy są oni oddzieleni od swych rodzin, jestem pewny, że Wasze, Ekscelencjo, błogosławieństwo byłoby dla nich największym wsparciem.

Przesyłam ten apel na Wasz Ekscelencjo tymczasowy adres w Watykanie i proszę o wybaczenie, że wysyłam jego kopię do *Kultury* w Paryżu, która, jak sądzę, jest jedynym organem politycznym symbolizującym głos opozycji.

Z głębokim poważaniem,

Peter RAINA



Montreal, 20 października 1968.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie często, niestety, można czytać w *Kulturze* artykuły p. W. Zbyszewskiego, a szkoda, bo zawsze ciekawe, chociaż bywają kontrowersyjne.

Ostatni pod tytułem, „Dwaj Ledniccy”, pobudził mnie do reakcji, nie ze względu na zasadniczy temat omówiony przez p. Zbyszewskiego, bo go znam niedostatecznie, ale poruszył mnie pewien szczegół, o którym pisać będę.

W artykule tym autor opisuje swoje pierwsze spotkanie z Aleksandrem Lednickim. Miało ono miejsce w Krakowie w 1925 r. na obiedzie *Czasu*, na którym jak zawsze prezydował redaktor, wtedy p. Antoni Beaupré, a na którym p. Zbyszewski był „jako współpracownik *Czasu*, beniaminek tego czci godnego organu, i ulubiony uczeń trzech ostatnich Stańczyków, Jaworskiego, Estreichera i Krzyżanowskiego”.

Od najwcześniejszej młodości znałem to środowisko i tych czcigodnych Prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, jak i redaktora *Czasu*, bo przychodzili często, do naszego domu, przy ulicy Sławkowskiej w Krakowie, na zebrania *Czasu*, którego Ojciec mój¹ był jednym z współwłaścicieli, jak też i stronnictwa, któremu przez wiele lat przewodził. Toteż przyznaję, że zaskoczony zostałem i zdziwiony, gdy w tym artykule przeczytałem: „Germanofilami prawdziwymi byli w Polsce tylko Stańczycy, oraz niektórzy Żydzi, specjalnie galicyjcy, którym Niemcy i kultura niemiecka, imponowała”.

Jak i co myśleli o Niemcach galicyjscy Żydzi, nie wiem, ale wiem, że konserwatyści krakowscy, jako stronnictwo, nigdy nie byli germanofilami.

Wyobrażam sobie, że profesorowie, których p. Zbyszewski był ulubionym uczniem, gdyby żyli i przeczytali wyżej zacytowane zdanie, przestaliby go lubić, a redaktor Beaupré, za głowę by się złapał widząc, że dawny współpracownik *Czasu* mógł taką opinię o Stańczykach wydać, która była sprzeczna z tym w co oni wierzyli i co w tym dzienniku głosili.

Mogli oni, tak jak p. Zbyszewski pisze o prof. Estreicherze, podziwiać, nawet bardzo, naukę niemiecką i niemieckie uniwersytety, ale równocześnie wiedzieli, że od czasów Bismarcka, kiedy Niemcy uległy Prusakom, stały się one największym wrogiem Polski.

Nie chcę być gołosłownym więc zacytuję urywek z tego co pisał o tym współautor: „Teki Stańczyka”, prof. Stanisław Tarnowski, w zeszycie *Przeglądu Polskiego* z 1 lipca 1891 r. na 25-lecie powstania tego organu, w którym głoszone były myśli Stańczyków. Wydanie książkowe tego zeszytu tu nabyłem². Brzmi to: „Jest naprzód wiekowa, dziedziczna, krzyżacka nienawiść do Polski, jest dalej to prawo, mocą którego człowiek (czy naród) przebaczy czasem krzywdy jakich doznał, ale nigdy tych, które drugiemu zadał. Prusy pamiętają dobrze, co zrobiły Polsce, chciałyby zapomnieć, myślą, że zapomnieć by mogły, gdyby ta Polska nie stała przed oczyma świata. Trzeba zatrzeć jej ślady, trzeba zrobić żeby to była ziemia niemiecka!”

Proszę osądzić, czy te zdania, przewidujące to co się działo w Polsce 50 lat potem, mogły być napisane przez germanofila?

By dać jeszcze inny przykład, przypomnę, że za czasów gdy namiestnikiem w Galicji był, wybitnego rozumu człowiek, Stańczyk, Prof. Michał Bobrzyński, stanął w Krakowie, w 1910 r. za jego pełną zgodą i aprobatą, fundowany przez Paderewskiego pomnik, dla upamiętnienia 500 rocznicy zwycięstwa pod Grunwaldem. Jasne jest, że gdyby Bobrzyński był germanofilem, aprobaty na postawienie tego pomnika, by nie udzielił.

Powtarzam, Stańczycy germanofilami nigdy nie byli, ale wiedząc, że polityka jest sztuką właściwie nie zmiennych głównych celów, a zmiennych środków stosownie do czasu i położenia, postanowili być „Austrofilami”, bo wyrozumowali, po powstaniu 1863 r., że w różnonarodowym demokratyzującym

1. Ojciec autora tego listu, hr. Zdzisław Tarnowski z Dzikowa (1862-1937) był znanym politykiem grupy konserwatystów krakowskich, zwanych Stańczykami. Był ich długoletnim i ostatnim prezesem.

Po odrodzeniu Polski, konserwatyści z całej Polski połączyli się w jedno stronnictwo pod nazwą Prawicy Narodowej, której Z. Tarnowski był pierwszym prezesem. Posłował on do Sejmu Krajowego we Lwowie, był członkiem Izby Panów we Wiedniu, a po odrodzeniu Polski, senatorem R.P.

2. Zeszyt *Przeglądu Polskiego* na który się autor listu tego powołuje, wydany był także jako książka pt. „Z Doświadczeń i Rozmyślań” przez Prof. St. Tarnowskiego, autora Zeszytu, w drukarni *Czasu*, w 1891 r. Dochód przeznaczony był na restaurację katedry na Wawelu. Książka ta, mimo upływu prawie 80 lat od jej wydania, ciągle w wielu sprawach jest aktualna.

się cesarstwie Habsburgów, przez odpowiednie postępowanie, zyskać można wiele dla utrzymania polskości. Wiadomo, że się nie pomylili, bo przy współudziale innych polskich stronnictw, zyskali dla Galicji polskie szkoły powszechne i średnie, dwa uniwersytety, Akademię Umiejętności, także sądownictwo i administrację w języku polskim, no i samorząd z Sejmem krajowym we Lwowie.

Stańczycy dążyli także do tego, by korzystając z rozwijających się możliwości móc z czasem, w odpowiedniej chwili, związać odradzającą się Polskę unią personalną z cesarstwem Habsburgów, tak jak związane były wtedy Węgry. Myśleli o tym, bo o innym związku, czy federacji, wtedy marzyć nawet nie było można, a bali się że Polska, gdy się odrodzi sama, nie będzie mogła przeciwstawić się naporowi dwu wrogich sąsiadów, Niemiec i Rosji.

Dodam tu jeszcze, chociaż to nie jest potrzebne do tego co pragnę uzasadnić tym listem, jak oceniał i co napisał prof. Tarnowski we wspomnianym już wyżej zeszycie *Przeglądu Polskiego* o stosunku Rosji do Polski, bo to zawsze jest aktualne. Piszę on tak: „Rosya musi dążyć do zagarnięcia reszty ziem polskich. Może się tego zawsze wypierać, może nawet szczerze, na pewien choćby długi przeciąg czasu, sprawę tę odkładać, do szczęśliwej pory, zrzec się tego naprawdę i na zawsze nie może, chyba, gdyby była pobita tak stanowczo, że klęska zmieniłaby całe jej dzisiejsze stanowisko, a w skutku tego z czasem i jej naturę. Dziś żądza ukryta i zaprzeczana, jest taka sama, jak była za Wiedeńskiego Kongresu”.

Stańczycy, a szczególnie ich tuzy, z początku Koźmian, Szujski i Tarnowski, później Bobrzyński, Estreicher, Jaworski, Potocki, pamiętali o tym co dla Polski osiągnęli przed 5 wiekami, swoją polityką „Panowie Małopolscy” pod przewodem: Tenczyńskich, Melsztyńskich i Tarnowskich — złoty okres naszego polskiego bytowania — naszej historii.

Szukali w mniej korzystnych dla Polski warunkach, bo w okresie niewoli, rozwiązania, które dałoby Polsce podstawy nie tylko do odrodzenia, ale przez unię personalną Korony Polskiej z Austro-Węgrami, zaplecze i towarzyszy, do przeciwstawienia się naporowi od wschodu i od zachodu, który ciągle się wzmacniał.

Inaczej potoczyły się wypadki. Gdy Polska się odrodziła, przed 50 laty, cesarstwo Habsburgów upadło, a warunki tak się potem, niestety, ułożyły, że Polska nie związała się z innymi sąsiadami, którzy w rezultacie, tak jak Polska, samotne uległy pod naporem Niemiec i Rosji. Ufajmy że ta straszna nauka, od 30 lat prawie trwająca, tak dla Polski jak i jej sąsiadów, tym razem nie pójdzie na marne.

W liście tym przeciwstawiłem opinii pana Zbyszewskiego czołowych Stańczyków, profesorów Bobrzyńskiego i Tarnowskiego, bo samo zdanie moje, człowieka, który znał dobrze, ale nie był uczniem tak jak p. Zbyszewski, wymienionych przez niego Stańczyków, bałem się, że na szali, na wadze poglądów, może na moją stronę nie przeważać.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, moje ukłony wraz z wyrazami mego szacunku,

oddany

Artur TARNOWSKI

KSIEGARNIA POLSKA W PARYŻU

123, Bd. St. Germain — Paris 6^e — Tel.: 326-04-42

DOROCZNA SPRZEDAŻ GWIAZDKOWA

CODZIENNIE PRZEZ CAŁY GRUDZIEŃ

W GODZ. 10 — 20 BEZ PRZERWY

Książki oraz albumy polskie i francuskie na upominki • Specjalne wydawnictwa dla dzieci i młodzieży • Artystyczne szopki i kartki świąteczne • Polskie płyty: kolędy, muzyka rozrywkowa i poważna.

PREMIE KSIĄŻKOWE od zakupów min. 15 Fr.

Przyjmujemy wszelkie zlecenia telefoniczne i korespondencyjne.
Oficjalną inaugurację Sprzedaży Gwiazdkowej — w sobotę 7 grudnia — zaszczytą swym udziałem i podpisywaniem swoich nowych książek w godz. 17 — 20 :

KAZIMIERZ IRANEK-OSMECKI: b. szef Wydz. Inform.-Wywiadowczego AK — „*Kto ratuje jedno życie — Polacy i Żydzi 1939-1945*”.

TADEUSZ NOWAKOWSKI: znakomity pisarz i publicysta —
„*Niestworzone rzeczy*” — opowiadania
„*Aleja dobrych znajomych*” — szkice i reportaże.

JULIAN MAJCHERCZYK: znany działacz emigracyjny —
„*Emigranci*” — pierwsza powieść z życia górników polskich we Francji.

ANNA WINCZAKIEWICZ:

„*Przeżyłam*” — nieznanne epizody wojennej Warszawy, getta i obozu.

Dopełnieniem tej uroczystości będzie:

WIECZÓR AUTORSKI

plk. K. Iranek-Osmeckiego i red. T. Nowakowskiego

w Bibliotece Polskiej (6, quai d'Orléans — Paris 4^e) w niedzielę 8 grudnia o godz. 20.30 — (udział w kosztach 10 F, studenci — 5 F)

Indeks autorów i tematów « Kultury » za rok 1968

Spis autorów

ADAMSKI Bohdan, AIKEN Conrad, ANDRZEJEWSKI Jerzy, ARAGON, AUDEN Wystan Hugh. — BARTHEL DE WEYDENTHAL Jan, BAUMAN Zygmunt, BERLIŃCZYK, BERRYMAN John, BIELINKOW Arkadij W., BIENKOWSKA Danuta Irena, BISPING Józef, BORWICZ Michał, BRODZIŃSKI Bohdan, BRZESKI Andrzej, BUDZIŃSKI Jan. — CHCIUK Andrzej, CHIAROMONTE Nicola, CIOŁKOSZ Adam, cummings e. e., CYGAN Wincenty CZAJKOWSKA Magdalena, CZARNOGURSKY Pavel, CZAPSKI Józef, CZERNIAWSKI Adam. — DANILEWICZOWA Maria, DAROWSKI Jan, DICKEY James, DUBNOWA-ERLICHOWA Zofia, DUGAN Alan. — FLEMMING George J., — GARDER Michel, GIDYŃSKI Józef, GOMBROWICZ Witold, GÖMÖRI George, GRIBACZEW Jurij, GRUBY Maciej, GRYNBERG Henryk, GRĘDZIŃSKI January, GUZY Piotr. — HANUS Pavel, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERTZ Aleksander, HERTZ Zofia, HEYDENKORN Benedykt, HŁASKO Marek, HOSTOWIEC Paweł, HRISNY Pavel. — IWANIUK Wacław. — JELEŃSKI K. A., JENNE Benjamin Józef, JEWTUSZENKO Jewgenij, JĘDRZEJEWICZ Wacław. — KAŁUSKI Marian, KAWECKI Bohdan, KAWIERIN Wienjamin, KONDRATOWICZ Ludwik, KORBOŃSKI Stefan, KORSON J., KOTARBIŃSKI Tadeusz, KOWALIK Jan, KOWALSKI Stanisław, KOZŁOWSKI S. W., KROK-PASZKOWSKI Jan, KUBISZ Paweł, KUNITZ Stanley, KWIATKOWSKI Hieronim, ks. — LASKOWSKI Janusz, LEBENSTEIN Jan, LEDERER Jiri, LENIN W. I., LIBRACH Jan, LONDYŃCZYK, LOWELL Robert, LUBELSKI Andrzej. — ŁOBODOWSKI Józef. — MACKIEWICZ Józef, MACLEISH Archibald, MANDELSZTAM Osip, MARISON Boyden, MAURER Jadwiga, MERTON Thomas, MERWIN W. S., MEYNERT Piotr, MIĄZEK Bonifacy, ks., MIECZKOWSKI Bogdan, MIEDZIŃSKI Bogusław, MIŁOSZ Czesław, MIEROSZEWSKI Juliusz, MOND Jerzy, MOORE Marianne, MOSTWIN Danuta, MROŻEK Sławomir, MYCIELSKI Zygmunt. — NAGÓRSKI Zygmunt, sr., NAKOV Andrzej, NEATROUR Elizabeth, NEMEROV Howard. — OKUDŻAWA Bułat, OLASEK Tadeusz, OLFENIUS Pierre, OSADCZUK Bohdan. — PACZOWCY Maria i Bohdan, PELIKAN, PEŁCZYŃSKA Wanda, P. H., PLATH Sylvia, POLAKIEWICZ Adam, POPKIEWICZ Sabin, PREISS Paulina, PUACZ

Edward. — RACZYŃSKI Edward, RAINA Peter, REDAKCJA, REWSKI Zbigniew, RIPKA Hubert, ROETHKE Theodore, RUBIN Władysław, ks. bp., RUMŁ Jiri, RUSZKIEWICZ Ireneusz. — SCHERER Olga, SCHOENFELD Henryk, SHAPIRO Karl, SIEMASZKO Zbigniew S., SKOLIMOWSKI Henryk, SŁOMKA Artur, ks., SOJKA Wojciech, ks., SPŁAWIŃSKI Mieczysław, STEIN Gertruda, STEVENS Wallace, STĘPIEŃ Tadeusz, SUTKOWSKI Adam, SYMONOLEWICZ-SYMMONS Konstanty, SZNARBACHOWSKI Włodzimierz, SZPOTAŃSKI Janusz. — TARNAWSKI Wit, TARNOWSKI Artur, TERLECKI Tymon, TURKIEWICZ Zygmunt, TYRMAND Leopold. — ULLMANN Tadeusz. — VESELY Ludwik. — WANDYCZ Piotr, WARREN Robert Penn, WARSKI Jan, WEINSTEIN Jan, WEINTRAUB Wiktor, WĘDZIAGOLSKI Karol, WIERZYŃSKI Kazimierz, WIŁKOYĆ Jan J., WOROSZYLSKI Wiktor, WRÓŃSKI Henryk, WYGODZKI Stanisław. — ZAMBROWSKI Antoni, ZAREMBA Paweł, ZBYSZEWSKI W. A., ZDZIECHOWSKI Paweł, ZNAMIEROWSKI Alfred, ZUBRZYCKI Jerzy, ZWIĄZEK DZIENNIKARZY R.P. AUSTRALIA. — ŻAGIELL E., ŻOCHOWSKI Stanisław.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

- Agresja w oczach okupantów* (Ruszkiewicz I., Budziński J., Stępień T., Gribaczew J.) (253).
 CIOŁKOSZ Adam: *Karol Marks o cenzurze* (253).
 CZAPSKI Józef: „*Wystrzał wśród nocy*” (253).
 GARDER Michel: *Rewolucja czechosłowacka* (253), przeł. z francuskiego Zofia Hertz.
 GRYNBERG Henryk: *Wygnanie z Polski* (11/254).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Pół miliona żołnierzy przeciw 2000 słów* (253).
 HERTZ Aleksander: *Ptak, który kala* (11/254).
 HERTZ Zofia (tłumacz) ob. Garder M.
 JELEŃSKI K. A.: *Notatki o majowej rewolucji* (6/248-7/249).
 KORSON J.: *Wydarzenia Miesiąca* (1/243-2/244, 3/245, 4/426, 5/247, 6/248-7/249, 8/250-9/251, 10/252, 11/254, 12/255).
 KROK-PASZKOWSKI Jan: *Praga żąda złota* (6/248-7/249).
 — *Surowce i polityka* (253).
 LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (1/243-2/244, 4/246, 5/247, 6/248-7/249, 8/250-9/251, 10/252, 11/254, 12/255).
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *Czyja krowa?* (8/250-9/251).
 — *Druga Europa* (6/248-7/249).
 — *Ewolucja czy rewolucja* (4/246).
 — *Imperializm, globalizm, współpraca* (5/247).
 — *Konfrontacja w Pradze* (253).
 — „*Malaria*” (12/255).
 — *Materiały do refleksji* (3/245).
 — „*Następny do raju*” (11/254).
 — *Rok 2000* (1/243-2/244).

- Mniejszość polska w Czechosłowacji* (253).
MOSTWIN Danuta: *Czarny ogień* (10/252).
NAGORSKI Zygmunt, sr.: *Dynastia Kennedy'ch* (8/250-9/251).
O agresji w Bloku i na Zachodzie (Andrzejewski J., Lebenstein J., Mrożek Sł., Mycielski Z., Paczowscy B. i M., Sznarbachowski Wł., Aragon, Jewtuszenko E., Korson J.) (253).
OSADCZUK Bohdan: *I kontrreformacja i faszyzm* (253).
POPKIEWICZ Sabin: *Rola radia* (253).
Protesty w sprawie Czechosłowacji (Lederer J., i inni oraz Berlińczyk) (5/247).
PRL *sierpień-wrzesień 1968* (253).
SZNARBACHOWSKI Włodzimierz: *Włoska partia komunistyczna o Czechosłowacji* (8/250-9/251).
ZNAMIEROWSKI Alfred: *Czechosłowacja 1967-1968* (253).

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

- GOMBROWICZ Witold: *Fragment z Dziennika* (1/243-2/244, 3/245, 5/247, 6/248-7/249, 8/250-9/251, 10/252, 11/254, 12/255).
GUZY Piotr: *Kartki z notatnika* (1/243-2/244).
HOSTOWIEC Paweł: *Bolesław Miciński* (4/246).
— *Notatnik nieśpiesznego przechodnia* (10/252).
JELEŃSKI K. A.: *Poeta i przyroda* (11/254).
MIŁOSZ Czesław: *Liturgia Efraima* (8/250-9/251).
— *Zapisek wczesnym rankiem* (1/243-2/244, 3/245, 5/247, 10/252).
SCHOENFELD Henryk: *Kogo nazywamy człowiekiem prawdziwie kulturalnym* (1/243-2/244).
SUTKOWSKI Adam: *Sprawy muzyki polskiej* (3/245, 4/246).

Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- ADAMSKI Bohdan: *My home my castle* (8/250-9/251).
BIENKOWSKA Danuta Irena: *Demonstrator* (10/252).
— *O typowości* (10/252).
CZAPSKI Józef: *Wyrwane strony 1965* (4/246).
CZERNIAWSKI Adam: *Akt* (5/247).
— *Rozproszony* (1/243-2/244).
FLEMMING George J.: *Przed dziesięciu laty* (253).
GÖMÖRI George: *Praga — Bratysława — Budapeszt* (253), przeł. z angielskiego Gustaw Herling-Grudziński.
GRUBY Maciej: *Plaża* (4/246).
— *Warszawski week-end* (6/248-7/249).
HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw (tłumacz) ob. Gömöri G.
HŁASKO Marek: *List z Ameryki* (3/245).
LUBELSKI Andrzej: *Konsument to ja* (4/246).
MACKIEWICZ Józef: *Biesiada w Tarankowiczach* (5/247).

- MAURER Jadwiga: *Antyojczyzna* (1/243-2/244).
 SIEMASZKO Zbigniew S.: *Spotkanie z Mackiewiczem* (4/246).
 TERLECKI Tymon: *Dziennik z Ghany — 1966* (dok.) (1/243-2/244).
 WARSKI Jan: *Kino centralne* (8/250-9/251).

Utwory poetyckie

- AIKEN Conrad: *Palimpsest: Zwodniczy portret* (8/250-9/251), przeł. z angielskiego Wacław Iwaniuk.
A la Katusza (253).
 AUDEN Wystan Hugh: *Ku pamięci Yeatsa* (8/250-9/251), przeł. z angielskiego Wacław Iwaniuk.
 BERRYMAN John: *Three Dream Songs* (8/250-9/251), przeł. z angielskiego Wacław Iwaniuk.
 cummings e. e.: *Jeśli w ogóle istnieje jakieś niebo* (8/250-9/251), przeł. z angielskiego Wacław Iwaniuk.
 DICKEY James: *False Youth: Two Seasons* (8/250-9/251), przeł. z angielskiego Wacław Iwaniuk.
 DUGAN Alan: *Poem* (8/250-9/251), przeł. z angielskiego Wacław Iwaniuk.
 GRYNBERG Henryk: *Aż do końca* (4/246).
 — *Dziedzictwo* (4/246).
 — *Nasz Pacyfik* (4/246).
 IWANIUK Wacław: *Najmniejsza antologia* (wstęp do wyboru współczesnych poetów amerykańskich (8/250-9/251).
 — (tłumacz) ob. Aiken C., Auden W. H., Berryman J., cummings e. e., Dickey J., Dugan A., Kunitz S., Lowell R., MacLeish A., Merton T., Merwin W. S., Moore M., Nemerov H., Plath S., Roethke T., Shapiro K., Stein G., Stevens W., Warren R. P.
 KOWALSKI Stanisław: *List do Min. Kultury* (10/252).
 — *List do starych komunistów* (10/252).
 KUBISZ Paweł: *Jazda, umykać* (253).
 KUNITZ Stanley: *Ojciec i syn* (8/250-9/251), przeł. z angielskiego Wacław Iwaniuk.
 LOWELL Robert: *Skunk Hour* (8/250-9/251), przeł. z angielskiego Wacław Iwaniuk.
 ŁOBODOWSKI Józef: *Tryptyk o zamordowanym kościele* (12/255).
 — (tłumacz) ob. Małaniuk J., Mandelsztam Osip, Okudźawa Bułat.
 MACLEISH Archibald: *America Was Promises* (8/250-9/251), przeł. z angielskiego Wacław Iwaniuk.
 MAŁANIUK Jewhen: *Bezsensność* (10/252), przeł. z ukraińskiego Józef Łobodowski.
 — *Już aniołowie...* (10/252), przeł. z ukraińskiego Józef Łobodowski.
 — *Luty* (10/252), przeł. z ukraińskiego Józef Łobodowski.
 — *Podkradł się luty...* (10/252), przeł. z ukraińskiego Józef Łobodowski.
 — *W miesiącu Februarze...* (10/252), przeł. z ukraińskiego Józef Łobodowski.

- MANDELSZTAM Osip: *Boże, pozwól jeszcze* (6/248-7/249), przeł. z rosyjskiego Józef Łobodowski.
 — *Kassandrze* (6/248-7/249), przeł. z rosyjskiego Józef Łobodowski.
 — *Posiedzimy sobie razem* (6/248-7/249), przeł. z rosyjskiego Józef Łobodowski.
- MERTON Thomas: *Origen* (8/250-9/251), przeł. z angielskiego Wacław Iwaniuk.
- MERWIN W. S.: *The Wawe* (8/250-9/251), przeł. z angielskiego Wacław Iwaniuk.
- MIAŻEK Bonifacy, ks.: *Gałąź jabłoni* (6/248-7/249).
 — *Rozmyślanie* (6/248-7/249)
 — *Szkic do wiersza* (6/248-7/249).
 — *Zapis wiosenny* (6/248-7/249).
- MOORE Marianne: *Poetry* (8/250-9/251), przeł. z angielskiego Wacław Iwaniuk.
- NEMEROV Horawrd: *The first day* (8/250-9/251), przeł. z angielskiego Wacław Iwaniuk.
- OKUDŻAWA Bułat: *Podróż dorożką po nocnej Warszawie* (4/246), przeł. z rosyjskiego Józef Łobodowski.
- OLASEK Tadeusz: *O domu, rozbiórcę, i z ruin powstaniu* (11/254).
Piosenka amerykańskiego żołnierza (253), przeł. z rosyjskiego Wiktor Woroszyński.
- PLATH Sylvia: *Edge* (8/250-9/251), przeł. z angielskiego Wacław Iwaniuk.
- ROETHKE Theodore: *Mięsokórna makabra* (8/250-9/251), przeł. z angielskiego Wacław Iwaniuk.
 — *Wieczera z Lindsayem* (8/250-9/251), przeł. z angielskiego Wacław Iwaniuk.
- SHAPIRO Karl: *The bourgeois poet* (8/250-9/251), przeł. z angielskiego Wacław Iwaniuk.
- STEIN Gertruda: *Stance* (8/250-9/251), przeł. z angielskiego Wacław Iwaniuk.
- STEVENS Wallace: *Dom był cichy i świat był spokojny* (8/250-9/251), przeł. z angielskiego Wacław Iwaniuk.
 — *Niedzielnny poranek* (8/250-9/251), przeł. z angielskiego Wacław Iwaniuk.
- SZPOTAŃSKI Janusz: *Cisi i gęgacze* (3/245).
- WARREN Robert Penn: *Ile de Porte Cros: Jak to się stało* (8/250-9/251) przeł. z angielskiego Wacław Iwaniuk.
- WIERZYŃSKI Kazimierz: *Aleja w głębi czasu* (1/243-2/244).
 — *Czarny Polonez* (3/245).
 — *Nocna świeca* (10/252).
 — *O co?* (10/252).
 — *O wulkanach* (1/243-2/244).
 — *Pogrzeb* (1/243-2/244).
 — *Schodzenie w dół* (1/243-2/244).
 — *Sen mara* (10/252).
 — *Szczekają psy* (1/243-2/244).
 — *W czarnym kamieniu* (10/252).

WOROSZYLSKI Wiktor (tłumacz) ob. *Piosenka amerykańskiego żołnierza*.

WYGODZKI Stanisław: *I ty pójdziesz...* (11/254).

— *I znów obcy człowiek...* (11/254).

— *Nad ranem wicher...* (11/254).

— *Nieżyczliwe, trudne odjazdy* (11/254).

— *Poeci pamiętają długo...* (11/254).

— *Ptaki pod dachem...* (11/254).

— *Pytam o nadzieję* (11/254).

— *Uleciało ciemności drzewo...* (11/254).

— *Uleciało drzewo...* (11/254).

Najnowsza historia Polski

CIOŁKOSZ Adam: *W 25 rocznicę zgonu Sz. Zygielbojma* (6/248-7/249).

CZARNOGURSKY Pavel: *Słowacja prekursorem przemian* (253).

CZAPSKI Józef: *Czy list Lenina?* (6/248-7/249).

Gomułka 1956/57 (4/246).

Manifest Lipcowy (4/246).

MIEDZIŃSKI Bogusław: *Piłsudski i Sosnkowski* (1/243-2/244).

RACZYŃSKI Edward: *Próba, która się jeszcze nie powiodła* (253).

RIPKA Hubert: *O federację polsko-czeską* (253).

WANDYCZ Piotr: *Legion czechosłowacki w Polsce w r. 1939* (253).

Sprawy krajowe

ADAMSKI Bohdan: *Z pamiętnika architekta powiatowego* (1/243-2/244).

Awans w literaturze (12/255).

BAUMAN Zygmunt: *O frustracji i o kuglarzach* (12/255).

BRZESKI Andrzej: *Byłe z tej iskry nie było pożaru* (6/248-7/249).

Czarna lista (6/248-7/249, 12/255).

Deklaracja Ruchu Studenckiego w Polsce (10/252).

GIDYŃSKI Józef: *Projekt nowego kodeksu karnego* (12/255).

GRZĘDZIŃSKI January: *Konstytucja i Sejm* (1/243-2/244).

— *Zwierzęta patrzą na nas* (6/248-7/249).

HERTZ Zofia: *Humor krajowy* (1/243-2/244, 3/245, 4/246, 6/248-7/249, 8/250-9/251).

KROK-PASZKOWSKI Jan: *Podatek od mięsa* (1/243-2/244).

Kronika wypadków (5/247).

LEDERER Jiri: *Polska tych tygodni* (6/248-7/249).

LENIN W. I.: *Nauki wydarzeń* (6/248-7/249).

List z kraju (6/248-7/249).

MIECZKOWSKI Bogdan: *Bezrobocie w systemie komunistycznym* (11/254).

OLFENIUS Pierre: *Wrażenia z Polski* (10/252).

PELIKAN: *Dziad do obrazu* (6/248-7/249).

— *Koniec małej stabilizacji* (5/247).

— *Suma nienapisanych książek* (12/255).

- PREISS Paulina: *Mózgi na śmietniku* (12/255).
— *Próba syntezy* (10/252).
Protesty (6/248-7/249).
REDAKCJA: *Z ostatniej chwili* (1/243-2/244).
TYRMAND Leopold: *Kopanie i mówienie* (5/247).
— *W rok później* (4/246).
ZAMBROWSKI Antoni: *Oświadczenie dla Woj. Komisji Kontroli Partyjnej* (1/243-2/244).
Zebranie Warszawskich Literatów (4/246).

Sąsiedzi

- BIELINKOW Arkadij W.: *List otwarty* (8/250-9/251), przeł. z rosyjskiego Józef Łobodowski.
BRODZIŃSKI Bohdan: *Czeskie rozhovory* (6/248-7/249).
— *Noc w Pradze* (6/248-7/249).
„*Damoj*” (12/255).
GÖMÖRI George: *Literatura węgierska 1967* (3/245), przeł. z angielskiego Paweł Zdziechowski.
HANUS Pavel: *Do przyjaciela Moskala* (8/250-9/251), przekład z czeskiego.
HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Wilczy wiek* (6/248-7/249).
HRISNY Pavel: *Odpowiedź polskiemu koledze* (8/250-9/251), przekład z czeskiego.
KAWIERIN Wieniamin: *Do Konstantina Fiedina* (8/250-9/251), przeł. z rosyjskiego Józef Łobodowski.
KOZŁOWSKI S. W.: *Przegląd niemiecki* (1/243-2/244), 12/255).
ŁOBODOWSKI Józef: *Bielmo na oku* (3/245).
— *Znamienna napaść* (8/250-9/251).
— (tłumacz) ob. Bielinkow A. W. i Kawierin W.
MOND Jerzy (tłumacz) ob. Ruml Jiri.
RUML Jiri: *Studenci i policja* (5/247), przeł. z czeskiego Jerzy Mond.
SCHERER Olga (tłumacz) ob. Vesely L.
VESELY Ludwik: „*Wizy znikną wraz z drutami*” (5/247), przeł. z niemieckiego Olga Scherer.
WRÓŃSKI Henryk: *50-lecie sowieckiej ekonomii* (1/243-2/244).
Z prasy czeskiej (5/247), przekład z czeskiego.
ZDZIECHOWSKI Paweł (tłumacz) ob. Gömöri G.
ZNAMIEROWSKI Alfred: *Czyżby kontrrewolucja?* (12/255).
ŻAGIELL E.: *Emigracje wsch. europejskie w Australii* (12/255).
— *Sąsiedzi Litwini* (1/243-2/244).

Obserwatorium

- Apel czterech S* (8/250-9/251), przekład z czeskiego.
CHIAROMONTE Nicola: *Skazańcy moskiewscy* (3/245), przeł. z włoskiego Gustaw Herling-Grudziński.
CZAPSKI Józef: „*Bij Żidow, spaszaj Rassiju*” (5/247).

Dialog (12/255).

HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Drogi pisarzy* (12/255).

— *Nieskończona rewolucja* (3/245).

— *Praga i Warszawa* (4/246).

— *Słowo sprawiedliwe i śmiałe* (6/248-7/249).

— (tłumacz) ob. Chiaromonte N.

JELEŃSKI K. A.: „*Hańba*” czy wstyd? (5/247).

List „pięciu” (8/250-9/251).

MOSTWIN Danuta: Czy *Martin Luther King* zwycięży? (5/247).

Nowe oświadczenie pisarzy czeskich (12/255).

Oskarżenia i oskarżyciele (6/248-7/249).

REDAKCJA: *Protest i odpowiedź* (3/245).

Za nasz i wasz... stalinizm (8/250-9/251).

2000 słów (8/250-9/251), przekład z czeskiego.

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

CHCIUK Andrzej: *Pierwsza książka o Schulzu* (4/246).

CZAJKOWSKA Magdalena: *Sex dla kolekcjonerów* (4/246).

CZAPSKI Józef: *Lechoń i jego dziennik* (5/247).

— *Ten jest z ojczyzny mojej* (6/248-7/249).

CZERNIAWSKI Adam: *Jak blisko ziemi* (8/250-9/251).

— *Na marginesie „Poezji i rzeczywistości” Jastruna* (6/248-7/249).

— *Nowe wiersze Iwaniuka* (6/248-7/249).

— *Sumienie poety* (4/246).

DANILEWICZOWA Maria: *Małość w wielkości* (1/243-2/244).

GUZY Piotr: „*Czarny Polonez*” (6/248-7/249).

HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Realizm rosyjski* (10/252).

— *Upiory rewolucji* (5/247).

— *Z zeszytu lektury* (8/250-9/251).

HERTZ Aleksander: *Monologi arabsko-izraelskie* (3/245).

HEYDENKORN Benedykt: *Dobra robota* (4/246).

— *O Polakach w Kanadzie* (11/254).

IWANIUK Wacław: *Pożegnanie z awangardą* (6/248-7/249).

LIBRACH Jan: *Uczniowie Macchiavella* (5/247).

MEYNERT Piotr: *Widziane wprost* (10/252).

Nadesłane nowości wydawnicze (1/243-2/244, 3/245, 4/246, 5/247, 6/248-7/249, 8/250-9/251, 10/252, 11/254, 12/255).

NAGÓRSKI Zygmunt, sr.: *Pamiętniki George Kennana* (3/245).

— *Raporty amb. Lipskiego* (12/255).

NAKOV Andrzej: *Bajki z głuchej krainy* (8/250-9/251).

SCHERER Olga: *Antologia do czytania* (5/247).

SPLAWIŃSKI Mieczysław: *Toronto, Tronto, Trana* (11/254).

SUTKOWSKI Adam: *Albumy Historyczne PWN* (8/250-9/251).

— *Kołędy polskie* (5/247).

— *Rodowód polskiego rewizjonizmu* (6/248-7/249).

TARNAWSKI Wit: *Uwagi o nowych conradianach* (1/243-2/244).

WEINSTEIN Jan: „*Ostatni polscy rycerze*” (11/254).

WYGODZKI Stanisław: *Losy mojej książki* (12/255).

ŻAGIELL E.: *Encyklopedia litewska* (8/250-9/251).

— *Wspomnienia kowieńskie* (11/254).

Kronika kulturalna

GIDYŃSKI Józef: *Czesław Znamierowski* (4/246).

HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Człekopis czyli sukinsynologia* (1/243-2/244).

HOSTOWIEC Paweł: *Wspomnienie o przyjacielu* (4/246).

IWANIUK Wacław: *Dyskusja o „Kulturze”* (1/243-2/244).

KALUSKI Marian: *O wielkości Hruszewskiego* (6/248-7/249).

KOTARBIŃSKI Tadeusz: *Niezbędne przypomnienie* (8/250-9/251).

ŁOBODOWSKI Józef: *Po śmierci Małaniuka* (10/252).

MARISON Boyden: *Wspomnienie o profesorze* (8/250-9/251).

NAKOV Andrzej: *Kronika paryskiego antyprowincjonalisty* (3/245).

— *Obrazy Witolda* (1/243-2/244).

— *O „Dzienniku” bez namaszczenia* (6/248-7/249).

— *Sumienie krytyki* (12/255).

SKOLIMOWSKI Henryk: *Kongres Filozoficzny w Wiedniu* (11/254).

SUTKOWSKI Adam: *Galeria Wilanowska* (11/254).

— *Listy delfińskie* (12/255).

— *Międzynarodowa wystawa sztuki gotyckiej w Paryżu* (8/250-9/251).

— *Ostatnie dzieło Walickiego* (6/248-7/249).

TURKIEWICZ Zygmunt: *Kolekcja malarstwa emigracyjnego* (3/245).

WEINTRAUB Wiktor: *Dwugłos o Sępie-Szarzyńskim i baroku* (8/250-9/251).

ZBYSZEWSKI W. A.: *Dwaj Ledniccy* (8/250-9/251).

Komunikaty

Anna Weintraub Memorial (6/248-7/249).

Apel Ks. J. Bartosza z Nowej Gwinei (1/243-2/244).

Apel o pomoc dla szpitala w Mabledon (6/248-7/249).

Apel o utrzymanie „Zeszytów Historycznych” (11/254).

Białoruska sztuka drukarska (6/248-7/249).

Dr W. Sierpiński w Papieskiej Akademii Nauk (6/248-7/249).

Jubileusz Instytutu im. J. Piłsudskiego (11/254).

Komunikat o książce gen. Sosnkowskiego „Materiały Historyczne” (3/245).

Kongres Współczesnej Nauki i Kultury Polskiej na Obczyźnie (12/255).

Konkurs Polskiego Związku Ziemi Zachodnich, oddział w Chicago (4/246).

„Kultura” w Albany (1/243-2/244).

Nagroda im. Anny Godlewskiej (1/243-2/244).
Nagroda „Kultury” dla „Literarni Listy” (10/252).
Nagroda Literacka dla W. Iwaniuka (11/254).
Nagrody Fundacji Alfreda Jurzykowskiego (3/245).
Nagrody Polskich Oddziałów Wartowniczych w Niemczech (10/252).
Nagrody Roy Publishers im. M. Kistera (4/246).
Polski Instytut Naukowy w Ameryce (6/248-7/249).
POSK na nowym etapie (10/252).
Poszukiwane książki przez Red. „Kultury” (1/243-2/244, 3/245).
Spotkanie polsko-ukraińskie w Melbourne (10/252).
Stypendia „Polonia Technica” (3/245).
Subskrypcja na dzieło prof. St. Kościłkowskiego (11/254).
Walne Zgromadzenie Instytutu J. Piłsudskiego (6/248-7/249).

Sprawy i troski

FLEMMING George J.: *Antypody* (10/252, 11/254, 12/255).
 PUACZ Edward: *Nowy Kongres Polonii* (11/254).
 — *Wywiad z Prezesem Z.N.P. A. Mazewskim* (1/243-2/244).
Wywiad z min. Sneddenem (10/252).

O religii bez namaszczenia

CHCUIK Andrzej: *Duchowieństwo na emigracji* (5/247).

Wolna trybuna

MACKIEWICZ Józef: *Refleksje z Lindenfeld* (3/245).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

GÖMÖRI George: *Literatura węgierska 1967* (3/245), przeł. Paweł Zdziechowski.
 — *Praga — Bratysława — Budapeszt* (253), przeł. Gustaw Herling-Grudziński.
Najmniejsza Antologia (wybór współczesnych poetów amerykańskich: Aiken C., Auden W. H., Berryman J., cummings e. e., Dickey J., Dugan A., Kunitz S., Lowell R., MacLeish A., Merton T., Merwin W. S., Moore M., Nemerov H., Plath S., Roethke T., Shapiro K., Stein G., Stevens W., Warren R. P.) (8/250-9/251), przeł. Wacław Iwaniuk.

Z języka czeskiego

Apel czterech S (8/250-9/251).

HANUS Pavel: *Do przyjaciela Moskala* (8/250-9/251).

HRISNY Pavel: *Odpowiedź polskiemu koledze* (8/250-9/251).

RUML Jiri: *Studenci i policja* (5/247), przeł. Jerzy Mond.

Z prasy czeskiej (5/247).

2000 słów (8/250-9/251).

Z języka francuskiego

GARDER Michel: *Rewolucja czechosłowacka* (253), przeł. Zofia Hertz.

Z języka niemieckiego

VESELY Ludwik: *„Wizy znikną wraz z drutami”* (5/247), przeł. Olga Scherer.

Z języka rosyjskiego

BIELINKOW Arkadij W.: *List otwarty* (8/250-9/251), przeł. Józef Łobodowski.

KAWIERIN Wienjamin: *Do Konstantina Fiedina* (8/250-9/251), przeł. Józef Łobodowski.

MANDELSZTAM Osip: *Boże, pozwól jeszcze...* (6/248-7/249), przeł. Józef Łobodowski.

— *Kassandrze* (6/248-7/249), przeł. Józef Łobodowski.

— *Posiedzimy sobie razem...* (6/248-7/249), przeł. Józef Łobodowski.

OKUDŻAWA Bułat: *Podróż dorożką po nocnej Warszawie* (4/246), przeł. Józef Łobodowski.

Piosenka amerykańskiego żołnierza (253), przeł. Wiktor Woroszyński.

Z języka ukraińskiego

MAŁANIUK Jewhen: *Bezsensność* (10/252), przeł. Józef Łobodowski.

— *Już aniołowie...* (10/252), przeł. Józef Łobodowski.

— *Luty* (10/252), przeł. Józef Łobodowski.

— *Podkradł się luty...* (10/252), przeł. Józef Łobodowski.

— *W miesiącu Februarze...* (10/252), przeł. Józef Łobodowski.

Z języka włoskiego

CHIAROMONTE Nicola: *Skazańcy moskiewscy* (3/245), przeł. Gustaw Herling-Grudziński.

Bibliografie

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1968 (12/255).

Noty biograficzne

AIKEN Conrad (8/250-9/251).
AUDEN Wystan Hugh (8/250-9/251).
BAUMAN Zygmunt (12/255).
BERRYMAN John (8/250-9/251).
BIELINKOW Arkadij W. (8/250-9/251).
cummings e. e. (8/250-9/251).
DICKY James (8/250-9/251).
DUGAN Alan (8/250-9/251).
GIDYŃSKI Józef K. (4/246).
KUNITZ Stanley (8/250-9/251).
LOWELL Robert (8/250-9/251).
MACLEISH Archibald (8/250-9/251).
MERTON Thomas (8/250-9/251).
MERWIN W. S. (8/250-9/251).
MOORE Marianne (8/250-9/251).
NEMEROV Howard (8/250-9/251).
OLASEK Tadeusz (12/255).
PLATH Sylvia (8/250-9/251).
ROETHKE Theodore (8/250-9/251).
SHAPIRO Karol (8/250-9/251).
SKOLIMOWSKI Henryk (11/254).
STEIN Gertruda (8/250-9/251).
STEVENS Wallace (8/250-9/251).
WARREN Robert Penn (8/250-9/251).
WYGODZKI Stanisław (11/254).

Listy do Redakcji

BARTHEL DE WEYDENTHAL Jan (3/245), BISPING Józef (11/254), BORWICZ Michał (10/252), CHCIUK Andrzej (10/252), CIOŁKOSZ Adam (11/254), CYGAN Wincenty (8/250-9/251), CZERNIAWSKI Adam (3/245, 5/247), DAROWSKI Jan (1/243-2/244), DUBNOWA-ERLICHOWA Zofia (4/246), GRZĘDZIŃSKI January (6/248-7/249), HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw (4/246, 5/247), JELEŃSKI K. A. (8/250-9/251), JENNE Benjamin Józef (11/254), JĘDRZEJEWICZ Wacław (1/243-2/244), KAWECKI Bohdan (6/248-7/249), KONDRATOWICZ Ludwik (6/248-7/249), KORBOŃSKI Stefan (11/254), KOWALIK Jan (5/247), KWIATKOWSKI Hieronim, ks. (1/243-2/244), LASKOWSKI Janusz (3/245), MAURER Jadwiga (12/255), MIŁOSZ Czesław (12/255), NEATROUR Elizabeth (6/248-7/249), PEŁCZYŃSKA Wanda (1/243-2/244), POLAKIEWICZ Adam (3/245), RAINA Peter (11/254, 12/255), REWSKI Zbigniew (11/254), RUBIN Władysław, ks. bp (10/252), SŁOMKA Artur, ks. (1/243-2/244), SOJKA Wojciech, ks. (6/248-7/249), SYMONIEWICZ-SYMONS Konstanty (11/254), TARNOWSKI Artur (12/255), ULLMANN Tadeusz (3/245), WĘDZIAGOLSKI Karol (4/246), WIŁKOYC Jan J., (3/245), ZAREMBA Paweł (10/252),

ZUBRZYCKI Jerzy (8/250-9/251), ZWIĄZEK DZIENNIKARZY RP. AUSTRALIA (11/254), ŻOCHOWSKI Stanisław (1/243-2/244).

Różne

- Ankieta „Kultury”: Czytelnictwo na emigracji (3/245).
 Apel „Kultury” (6/248-7/249, 10/252).
 Fragment listu J. Piłsudskiego do Feliksa Perla (253) (omyłkowo podano w numerze za „Pismami, mowami i rozkazami”, że był to list do Ignacego Daszyńskiego).
 Komunikat o niewydaniu czerwcowego numeru „Kultury” z powodu wypadków we Francji (6/248-7/249).
 P.H.: Literaturna Gazieta o „Kulturze” (3/245).
 Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/243-2/244, 3/245, 4/246, 5/247, 6/248-7/249, 8/250-9/251, 10/252, 11/254, 12/255).

Wydawnictwa książkowe w roku 1968

Biblioteka «Kultury»

- Tom 153 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 13), str. 240.
 Tom 154 — Wierzyński Kazimierz: *Czarny Polonez* (Poezje), s. 40.
 Tom 155 — Dobek Czesław: *Drugi rzut i inne opowiadania*, str. 288.
 Tom 156 — Iwaniuk Wacław: *Ciemny czas* (Poezje), str. 80.
 Tom 157 — Mitkiewicz Leon: *Z gen. Sikorskim na Obczyźnie* (Seria „Dokumenty”), str. 400.
 Tom 158 — Iwańska Alicja: *Świat przetłumaczony*, str. 240.
 Tom 159 — Guzy Piotr: *Stan wyjątkowy*, str. 144.
 Tom 160 — Kulski Julian: *Stefan Starzyński w mojej pamięci* (Seria „Dokumenty”), str. 144.
 Tom 161 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 14), str. 240.
 Tom 162 — Sacharow Andrej: *Rozmyślenia o postępie, pokojowym współistnieniu i wolności intelektualnej* (Seria „Dokumenty”), str. 46.
 Tom 163 — Andrzejewski Jerzy: *Apelacja*, str. 112.
 Tom 164 — Reale Eugenio: *Raporty (Polska 1945-1946)* (Seria „Dokumenty”), str. 288.
 Tom 165 — Wygodzki Stanisław: *Zatrzymany do wyjaśnienia*, str. 208.
 Szpotański Janusz: *Cisi i gęgacze, czyli bal u Prezydenta*, str. 32 (Odbitka z „Kultury” Nr 3/245).
 Wykaz książek, które ukażą się do końca rb. będzie podany dodatkowo w nrze styczeń/luty 1969.
 W bieżącym roku zeszyty „Kultury” miały następujące ilości stron: styczeń-luty oraz sierpień-wrzesień po 240 stron, marzec i maj po 176 stron, czerwiec-lipiec 232 strony, kwiecień, październik, listopad, grudzień po 160 stron oraz wydano Specjalny zeszyt „Kultury” numer 253 poświęcony wydarzeniom czechosłowackim, zawierający 224 strony.

ALEKSANDER WAT
CIEMNE ŚWIECIDŁO

Poezje zebrane
Oktładka Jana Lebensteina
Stron 244.

CENA: We Francji Frs. 20,00
W Anglii Sh. 30/-
W USA i innych krajach \$ 4,25

**Książka do nabycia we wszystkich
polskich księgarniach lub u Wydawcy:**

LIBELLA

12, RUE SAINT-LOUIS-EN-L'ILE · PARIS IV

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.



Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.



Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 4^e Trimestre 1968

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolkowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	30.000 F. b.	560.00 F. b
BRAZYLIA : Jerzy Pomian-Piatkowski, rua Guiara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. : 488-5224; B. Krasuski, 857 King St. W., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel : 586-3825; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, Tel.: 233-7212; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. : LE 1-2491.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can	13,00 \$ Can
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ...	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, 1211 Genève 7. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping C°, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Osotynski, 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dzierzykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood, Cal. 90028; M. K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, tel. MU 8-0346, Polish Amer. Book C° 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Proca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave. Jamesburg, N. Y. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 9530 East Rosecrans Ave, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications, Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty portu
2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56.**

BIBLIOTEKI «KULTURY»

TOM 163 — JERZY ANDRZEJEWSKI

APELACJA

Str. 112.

Cena F. 9 (dol. 2,25)



TOM 164 — EUGENIO REALE

RAPORTY

POLSKA 1945-1946

(Seria „Dokumenty”)

Początki Polski Ludowej widziane oczami pierwszego po wojnie
ambasadora włoskiego.

Str. 288.

Cena egz. F. 18,50 (dol. 4,00)



TOM 165 — STANISŁAW WYGODZKI

**ZATRZYMANE
DO WYJAŚNIENIA**

Powieść-dokument obrazująca rzeczywistość Polski Ludowej przed
październikiem 1956, która obecnie nabiera ponurej aktualności.

Str. 208.

Cena egz. F. 16,50 (dol. 3,75)

Cena 5,00 F